



# BERSERK

SPOWIEDNIK

PAWEŁ MAJKA

FILIA

PAWEŁ MAJKA

**BERSERK**  
SPOWIEDNIK

**FILIA**

Copyright © Paweł Majka 2019

Copyright © 2019 by Wydawnictwo FILIA

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2019

Projekt okładki: © Mariusz Banachowicz

Zdjęcie: © BortN66/Shutterstock

Redakcja i korekta:  
Mirosław Ruszkiewicz

Skład i łamanie:  
MELES-DESIGN

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki  
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-815-5

**FILIA**

Wydawnictwo Filia  
ul. Kleeberga 2  
61-615 Poznań  
tel.691962519  
wydawnictwofilia.pl

## SPIS TREŚCI

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Prolog](#)

[C ZĘ Ś Ć P I E R W S Z A - Sam](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[C ZĘ Ś Ć D R U G A - Klasztor](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[C ZĘ Ś Ć T R Z E C I A - Pielgrzymi](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

## Prolog

Od czasu do czasu ktoś na ciebie spojrzy. W nie tak dawno minionych czasach, gdy ludzkość nie skurczyła się jeszcze do garstki zdolnej tańczyć tango z aniołami i szatanami na główce od szpilki, wszyscy bez ustanku patrzyli na siebie, mijając się na ulicach albo w sklepach czy restauracjach. Przynajmniej do dnia, w którym wymyślono smartfony i te przejęły całą ludzką uwagę. Jednak, jak mawiał pewien zmyślony detektyw, ludzie patrzyli, lecz nie widzieli. Mimo to zdarzało się, że jedna osoba spojrzała na drugą w ten szczególny sposób, pozwalający zobaczyć im siebie nawzajem. To zdumiewające wydarzenie mogło doprowadzić do zmiany historii ich dwojga na zawsze.

Marek przyglądał się straceńcom, którzy zastąpili drogę jego grupie. Stanowili barwną gromadkę, a ich determinacja budziła szacunek. Ale choć poczuł do nich dziwną sympatię, może ze względu na sprawę, której bronili, a może tylko dlatego, że wpadła mu w oko ta drobna szatynka o jakże zaciętym wyrazie twarzy, zdawał sobie sprawę, że za chwilę wszyscy oni będą tylko ścierwem, jeszcze jednymi zapomnianymi ciałami na drodze przemarszu pielgrzymki.

„Umrzecie. I ty, całkiem niezła lasko z siekierką, i ty,

dziwaku w kowbojskim kapeluszu, i ty, koleśiu wyglądający, jakbyś wszystkie szanse na lepsze życie przepuścił w pokera w pierwszym dniu po urodzeniu. I nawet ty, mała, umrzesz, choć twoje prawdziwe życie powinno dopiero się zaczynać. Bo tego życzy sobie nasz Pan”.

Marek potrząsnął głową, by odpędzić niechciane myśli. Powinien skupić się na robocie, na własnym celu. Wędrował pod przewodnictwem Cudownego Obrazu wraz z resztą pielgrzymów. Może i miał skrywane przed pozostałymi pobudki, ale tym bardziej powinien pozostawać wierny prorokowi. Czworo ludzi stanęło im na drodze: trzech dorosłych i dziecko. Jakie mieli szanse na powstrzymanie pielgrzymki wiedzianej przez najprawdziwszego proroka?

– Jaśniej! – zawołała kobieta. – Wszyscy lśnią! A ten ksiądz...

Krzyknęła i osunęła się na kolana, gdy spoczęło na niej spojrzenie proroka.

„Umrzecie – powtórzył w myślach Marek. – Bo Pan życzy sobie dzieci”.

Dzieci...

Przypomniał sobie Częstochowę. Obejrzał się na proroka.

Dzieci.

Otworzył usta do krzyku.

CZĘŚĆ PIERWSZA

**Sam**



## Rozdział 1

Siostra odwiedziła Marka po raz ostatni na tydzień przed Błyskiem. Wpatrywała się w niego ze wzrokiem jeszcze bardziej iskrzącym niż zazwyczaj, skupiona i rozgorączkowana równocześnie. Dłonie trzymała jak zwykle na kolanach i pochylała się ku bratu na ptasi sposób. Wydawało mu się, że gdy mówiła, składała się tylko z błyszczących oczu i wąskich ust poruszających się szybciej, niż potrafiłyby usta innych ludzi. Wyrzucała z siebie kolejne słowa z pasją, a jednak jednostajnie, bo umiała opowiadać tylko o rzeczach, które przejmowały ją do głębi: o Bogu, szujach u władzy czy zbliżających się okazjach w dyskontach. O wszystkim mówiła z pasją, lecz tak samo. Prędko, jakby miało jej zabraknąć czasu.

– ...i rozumiesz, bracie kochany, ja na początku nie wierzyłam, bo mi się to wydawało wszystko jakieś takie nieprawdopodobne, ale potem pomyślałam, że może Pan Jezus chciał, żebym się dowiedziała i żebyś ty się dowiedział, więc pojechałam sprawdzić, sama pojechałam, pięćdziesiąt dwa złote wydałam na bilet tam i z powrotem, a jeszcze przecież na miejscu musiałam coś zjeść, no i poszłam na Jasną Górę, tam dałam na ofiarę podczas mszy świętej, bo przecież nie mogłam nie dać, i trochę

wydałam w trakcie zwiedzania, ale przecież opłacało się, nikt nie powie, że nie, że nie warto, a już na pewno ja sama nie powiem, bo dla ciebie, braciszku kochany...

Słuchał jej i nie słuchał. Cieszył się z jej odwiedzin, jak ze wszystkiego, co przerywało więzienną monotonię: z planów zabicia byłej żony, choć już jej nie nienawdził (lecz ukrywał to przed chłopakami), z wizyt księdza, który uleczył go z nienawiści, odbierając tym samym niezłą rozrywkę, ale ofiarując Boga, z opowieści Doktorka potrafiącego bez końca gadać o stopniach rozkładu ludzkiego ciała, z partyjek szachów i warcabów. Odwiedzało go tylko dwoje ludzi: siostra i nasłany przez nią ksiądz. Oboje mówili mu, jak uznał, o zupełnie innym Bogu. Siostra przy tym interesowała się Markiem tylko pozornie, bardziej chciała opowiadać o sobie. A może, jak tłumaczył mu cierpliwie ksiądz, po prostu bała się słuchać o więziennym życiu, bała się dopuścić do siebie myśl, że brat nie był jednak niewinny?

– ...no więc pojechałam, bo równocześnie chciałam i nie chciałam wierzyć, nie chciałam, bo wiesz przecież, że naiwna jestem i chcę dostrzegać dobro w człowieku, nawet w złym, chciałam, bo przecież trzeba się przekonać, czy ta suka, twoja była, żeby ją szlag trafił, jeszcze zapłaci za całe zło, jakie wyrządziła, może być aż tak podła. No i była. Okazało się, że Baśka, pamiętasz Baśkę, ona cię pamięta, miło cię wspomina, szkoda, żeś ty na nią ani nie spojrział, tak żeś się za to na tę sukę swoją gapił jak zaczarowany, okazało się, że Baśka miała rację i że jak zobaczyła ją wtedy na pielgrzymce z bachorem, to przecież od razu coś ją tknęło i zrobiła fotki, ale że chciała ostrożnie, żeby ją tamta dziwka nie zauważyła, więc te zdjęcia wyszły byle jak i niczego się na nich dopatrzeć nie dało, chociaż te

nowe telefony niby wszystko potrafią, ale to nieprawda, może zresztą Baśka kupiła jakąś podróbkę, ona przecież jest naiwna, a do tego niecierpliwa, to daje sobie wcisnąć byle gówno, jak tego swojego pozał się Boże nowego faceta, co z niego za mężczyzna, mówię ci, zwyczajny szmaciarz, ona ma takiego pecha... No ale nieważne, ważne, że mnie to wszystko tak zdenerwowało, że pojechałam i okazało się, że jaka Baśka jest naiwna, tak miała rację, chociaż musiałam czekać chyba ze cztery godziny, żeby zobaczyć. Mówię ci, kryłam się po drugiej stronie ulicy, tam jest taki basen, więc musiałam zapłacić, że niby tam idę, i czekać przy oknie, na szczęście nikt się nie czepiał, a gdy pytali, mówiłam, że na syna czekam, to znaczy tak sobie wymyśliłam, że powiem, bo nikt nie pytał, ale przecież czuwałam przy oknie i zobaczyłam. I jest. Syn. Skóra zdjęta z ciebie. Nie ma wątpliwości. Że ci ta suka nie powiedziała, to już jej w piekle policzą.

Syn, zrozumiał Marek. Ma syna z Grażyną. On, nie ten kutas, z którym go zdradzała, którego omal nie zabił gołymi rękami, gdy tłukł jego łbem o ścianę, by nie robić tego samego z głową swojej żony, choć i jej solidnie przyłożył. Na szczęście nie dość mocno, by zaszkodzić dziecku, o którym nic nie wiedział. Syn. Ma syna. Siostrze można było wierzyć. Nikt nie dbał o szczegóły tak jak ona, nikt nie sprawdzał wszystkiego na dziesiątki sposobów.

– Siostra – szepnął mimo wszystko. – Jesteś pewna?

– Co to, mnie nie znasz? – zaperzyła się. – Sprawdziłam w przychodni, była tam wprowadzie taka młoda siksa, co nic nie chciała powiedzieć, ale przecież zadzwoniłam do Ewy, znasz Ewę, no, ona cię pamięta, żałuje, wie, że jesteś niewinny, że cię wrobili, dranie, że ta suka, twoja była, z sędzią się przespała, żeby zły wyrok wydał, ty nawet nie

wiedziałaś, że ona taka prędką do dawania; nie, ty ślepy byłeś, naiwny zupełnie jak Baśka, no więc Ewa, wiesz, że ona robi w tej firmie farmaceutycznej, co przecież wszędzie ma wejścia, i ona sprawdziła, i on się urodził tak, że może być twój, ale jest twój, ja ci to mówię, skóra zdjęta z ciebie, ja wiem, przecież ja mam oko.

To prawda. Miała oko chciwe na szczegóły, wprawione w dostrzeganiu tego, co inni chcieli ukrywać.

– Jak ma na imię? – zapytał na koniec tych ostatnich odwiedzin.

– Patryk. – Przewróciła oczami. – Boże, co za imię mu dała! Ja bym przecież na takie nie pozwoliła, ty zresztą też, ale ona tak lubi przyszpanować, pokazać, taka jest ta suka. Tak pomyślałam, że ci teraz od razu powiem, co miałam czekać tydzień, aż cię puszczą, nie?

Ostatnie pytanie zadała trochę z niepokojem, ale i z nadzieją, że jej nie zgani.

– Dobrze zrobiłaś – pochwalił. – Będę miał czas pomyśleć o wszystkim.

Uścześniełwiona pożegnała go ze łzami w oczach, pobłogosławiła, zapewniła, że będzie czekać pod bramą, choćby od samego świtu, i że już rozmawiała z Jadwigą, co to zna ludzi z takiej jednej kancelarii, szkoda, że nie знаła jej wcześniej, to sprawdzą, jak dziecko tej suce odebrać i zwrócić ojcu. Albo przynajmniej zapewnić mu prawa do własnego syna, krew z krwi, kość z kości.

Więcej jej nie zobaczył.

Gdy odzyskał świadomość po Błysku, stał w szczerym polu, nie wiedział gdzie. Jakieś drzewa majaczyły w rozjaśnionej porannej mgle na lewo do niego, na wprost ciągnęła się równina, też zamglona, zresztą jaskrawe poranne słońce biło Markowi prosto w oczy, oślepiając go,

kiedy próbował patrzeć przed siebie. Zachwiał się, upadł na kolana, podparł się dłońmi. Pacnęły miękko w wilgotną ziemię, zapadły się w niej. Kim był...? Aha... Prawda... Przypominał sobie siebie prędko, ale jeszcze niejasno. Siostra, dom, przerwana kariera i wreszcie szok po powrocie do domu, potem więzienie. Miał wyjść, odsiedział swoje. Co się stało? Pamiętał, brama zamykała się za nim ze zgrzytem, on rozglądał się zdumiony nieobecnością siostry. Ptaki, chyba wrony, darły się upiornie. Siąpiło. Zważył wtedy w ręce płócienną torbę mieszczącą prawie cały jego dobytek. Klepnął się w pierś, by wyczuć chudy portfel w wewnętrznej kieszeni kurtki. Rozglądał się niepewny, co robić, skoro siostra po niego nie przyszła. Poczeka, oczywiście, czemu miałby nie poczekać. Wolałby jednak iść gdzieś indziej, czekać z dala od tych przeklętych murów.

Wtedy wpadł na niego jakiś człowiek. Machał rękami jak szalenciec, oczy wywrócił tak, że było widać prawie same białka. I...

**BŁYSK.**

...ocknął się w szczerym polu, nie wiedział gdzie. Torbę gdzieś zgubił, nie dostrzegał jej nigdzie, choć rozglądał się za nią odruchowo. Wszystko go bolało. Oddychał głęboko, prawie boleśnie. Szukał myśli, które mogłyby mu przypomnieć o nim samym, kim był i po co.

Syn, naszło go nagle, miał syna. Którego nigdy nie widział. O którym dowiedział się... Tydzień wcześniej? Chyba dziewięcioletniego, bo tyle Marek odsiedział. Gdzie ten syn? Nie w Piotrkowie przecież. Jak mówiła siostra? Że pielgrzymka, że Jasna Góra, że basen. Jezu, nic więcej nie wiedział!

Nic to, zapyta ją jeszcze. Zresztą, ile może być basenów

w Częstochowie?

Wstał. Przy okazji odkrył, jak brudne ma nogawki spodni, ubłocone buty i dłonie. Przyjrzał się bliżej tym ostatnim. Czy to krew? Zaszła, wymieszana z błotem i trawą? I czemu tak pozwolił zarosnąć paznokciom? Jedne zachowały się długie, inne połamały się, odrastały teraz nierówno. Potarł włosy na głowie. Też urosły. W więzieniu golił się na łyso, teraz porastała go gęsta szczecina. Ile czasu mogły rosnąć takie włosy? Miesiąc? Dwa? Często przycinane rosną szybciej i gęściej, tak mu ktoś mówił. Matka?

Przymknął oczy, wsłuchał się w siebie, jak uczył go Doktorek, łebski facet, który tak perfekcyjnie zaplanował zabicie własnej żony, że nakryto go dopiero po pięciu latach. Specjalne cwaniaki z jednostki do spraw nierozwiązanych wzięły na tapetę jego akta i zaczęły odkrywać nieścistości. Podstawowe założenie Doktorka mówiło, że ludzie są z natury leniwi; jeśli podsunąć im proste rozwiązanie, wymagające mniej pracy, rzucą się na nie odruchowo. Miał rację, ale nie przewidział wyjątków. Ludzi, którym chciało się trochę więcej.

Marek odetchnął głębiej dokładnie siedem razy. Otworzył oczy. Słońce podniosło się już nieco wyżej, lecz nie grzało jeszcze. Czuł chłód, ale nie zimno. Stał w wysoko rosnącej trawie pokrytej rosą. Pochylił się, nabrał tej rosy w dłonie, ile zdołał, i przetarł twarz. Otrząsnął się. Chłód kropel przyniósł mu odrobinę ulgi.

Nie miał przy sobie płóciennej torby, a na sobie kurtki. Przepadło wszystko, w tym portfel z biletem do Piotrkowa i odrobiną gotówki. Tyle dobrze, że nie czuł głodu. Widać najadł się niedawno. Co się mogło stać? Może napadł go tamten facet, co machał rękami? Ale jak to, pod samą

bramą więzienia i nikt nic nie zrobił? Niemożliwe.

Bolało go całe ciało, lecz nie dlatego, że ktoś go pobił. To był ból wyczerpanych mięśni, zmuszanych zbyt długo do wysiłku ponad miarę. Najwyraźniej dużo biegał. Ale i mięśnie rąk dawały znać o sobie. Zacisnął dłonie w pięści, spojrzął na knykie. Jezu! Blizna na bliźnie! Musiał je zdzierać do krwi wiele razy!

No nic, nie może tu tak stać bez końca. Dokąd iść? W lewo, gdzie ciągle pełza mgła lśniąca od porannych słonecznych promieni? Tam lepiej nie, jeszcze wlezie w jakieś bagna. Lepiej przed siebie, w tę równinę. Gdzieś tam musi biec droga. Polska to nie Afryka, tu wszystko jest teraz poprzecinane asfaltem.

Marsz okazał się trudny. Mięśnie nóg protestowały, błagały o odpoczynek. Poruszał się więc z początku sztywno, ale wiedział, że rozrusza je nareszcie. I rzeczywiście, nim dotarł do szosy, która była tam, gdzie się jej spodziewał, szedł już całkiem sprawnie, choć każdy krok wciąż jeszcze sprawiał mu ból.

Dobrze, jest szosa, ale dokąd teraz? Trzeba do Piotrkowa, do siostry. Coś jej się musiało stać, skoro nie przyszła po niego. Tyle, że którądy niby ma iść do tego Piotrkowa? W lewo? W prawo? Naokoło żadnych zabudowań, tylko tych parę drzew, trawa, mgła.

Zdecydował, że pójdzie w lewo. Po półgodzinie dotarł do przystanku autobusowego przypominającego betonowy bunkier, całego w nabazgranych napisach, cuchnącego moczem. Ktoś zapewniał koślawym pismem o swojej miłości, ktoś o swojej nienawiści. Uchowała się na nim tabliczka z rozkładem jazdy, zdrapano z niej jednak nadruk, zastępując rysunkiem kutasa. Marek zaklął, lecz słabo, bez werwy. Nie spodziewał się niczego innego.

Spojrzał na nawę w betonie, może po to, by na niej przysiąść, poczekać na autobus?

Akurat by go wpuścili! Jeśli gębę miał równie brudną jak dłonie, najlepsze, czego mógł się spodziewać po kierowcy, to że nie wezwie policji.

Dopiero teraz dotarło do niego, że nie minął go żaden samochód. Dziwne. Choć może to była jakaś boczna droga? A jeśli na dodatek ocknął się w niedzielę, to nikt może nie przejechać tędy nawet przez cały dzień.

Zamarł nagle, odruchowo, przywarł do muru wiedziony wyrobionym w więzieniu instynktem. Może polskie więzienia nie są jak te amerykańskie z filmów, albo ruskie, o których nasłuchał się tego i owego, ale i w nich człowiek musi nauczyć się reagować błyskawicznie, bez zastanowienia. Nie wiedział więc jeszcze, czemu się kryje, lecz działał. Dopiero po chwili zorientował się, że to przez dźwięk dobywający się zza przystanku. Coś się tam poruszyło. Raz, drugi. Gramoliło się niezgrabnie. Mruczało. Głos wydawał się ludzki, mimo to dziwny. Marek wtulił się w ścianę, aż poczuł chłodny szorstki beton na policzku. Kto to? Jakiś pijak? Bełkocze, bo nie jest w stanie mówić?

Czekał długo, bez zegarka (prawda, zegarek też stracił; wcześniej nie zdawał sobie z tego sprawy) nie potrafił określić jak długo. Pięć minut? Kwadrans? Czas płynie inaczej, gdy się człowiek boi. Lękał się ruszyć, choć równocześnie chciał uciec albo stanąć z tamtym, nieznanym, twarzą w twarz. Przecież nie był ułomkiem, a w więzieniu jeszcze nabrał masy, bo jak inni ćwiczył z nudów. Ale dławił go jakiś dziwny strach, jakiego nie czuł nigdy wcześniej. Wszystko wydawało mu się teraz niepokojąco obce. Diabli wiedzą, co tak naprawdę tarabaniło się za przystankiem.



Wreszcie zobaczył. Na środek drogi wylazł człowiek. Człowiek! Marek odetchnął z ulgą. Mimo to nie ruszył się z miejsca, instynkt mu na to nie pozwolił. I dobrze, bo człowiek okazał się niepokojąco dziwaczny. Poruszał się powoli, niezgrabnie, jakby też bolały go przeciążone mięśnie. Cały czas mamrotał coś do siebie, ale słów nie dało się zrozumieć. I podobnie jak Marek był umorusany od stóp do głów. Nagle zamarł, zadarł łeb w górę, pociągnął nosem niczym zwierzę. Szarpnął głową w lewo, w prawo. A potem powoli obrócił się ku przystankowi. Gapił się nań, jakby nie dostrzegając Marka. A gdy dostrzegł, wyszczerzył zęby, zawarczał. Wychylił łeb do przodu, nie przestając warczeć. Kłapnął zębami, wyciągnął ręce przed siebie. Nie zaciskał ich w pięści, wykrzywił palce na kształt szponów.

Rzucił się do ataku nagle, wściekle. Ani nie zaklął, ani nie próbował zagadać czy wymusić kasy bądź poczęstunku. Raczej jak pies niż człowiek, który powinien przecież znaleźć jakiś powód do walki. Atakował w ciszy, bez zbędnych dźwięków. Marek znów zareagował odruchowo. Odskokczył od ściany, pochylił się lekko, by ukryć twarz za pięściami. Ugiął nogi. Czekał. Przeciwnik musiał być pijany albo szalony, nie zaplanował ataku, po prostu rzucił się przed siebie, młóćąc rękami i próbując dorwać się pazurami do twarzy ofiary. Marek uchylił się raz, drugi, przyjął chaotyczne uderzenie na prawe ramię, a potem uderzył szybko: lewą pięścią w brzuch, prawą w twarz. Czuł, jak gruchotał nos tamtego, lecz szaleniec ani jęknął. Owszem, skulił się, wciąż jednak młócił rękami, jeszcze bardziej bezwładnie niż poprzednio. Marek odskokczył, zaparł się na lewej nodze, prawą wyprowadził kopnięcie w twarz. Napastnik poleciał na plecy, spróbował się podnieść, wtedy zarobił drugiego kopniaka. Przez moment

widział jego oczy – puste, dzikie. Nawet nie zwierzęce, bo przecież zwierzęta mają swój umysł. A w oczach tego typa nie było widać nic, choćby złości.

– Masz dość? – zapytał, choć nie liczył na odpowiedź. – Masz dość?

Tamten tylko sapnął. Znów próbował wstać. Cóż było robić, przecież nie można zostawić za sobą takiego świra. Marek kopnął go z rozmachem w bok głowy, poprawił dwa razy, a gdy wariat przestał się ruszać, odsunął się od niego ostrożnie. Przyglądał mu się, aż się upewnił, że nieprzytomny oddycha. Dobrze, nie chciał mieć na koncie trupa.

Wahał się, czy nie przeszukać mu kieszeni. Bał się jednak, że gdy świr oprzytomnieje, może zgłosić policji, że został okradziony. A Marek nie zamierzał wracać do więzienia.

Oddalił się od przystanku truchtem, co chwila oglądając się za siebie. Na szczęście wariat nie wstawał.

## Rozdział 2

Zrozumiał, że wybrał właściwy kierunek, kiedy dotarł do Rozprzy. Na miejscu pojawił się jednak także coś innego.

Świata zdecydowanie przydarzyła się jakaś wyjątkowo paskudna rzecz.

Pierwsze ciała znalazł ledwie dwa metry od tabliczki z nazwą miejscowości. Leżały na skraju lasu. Marek przypatrywał im się, starając się przypomnieć sobie wszystko, co usłyszał od Doktorka na temat etapów rozkładu. Cholernik nie potrafił opowiadać prawie o niczym innym, bo też cały jego sprytny plan zapewnienia sobie alibi opierał się na ukryciu zwłok żony w zamrażalce. Ciała spod lasu zgniły już, odkształciły się tak, że pewnie trudno byłoby rozpoznać ich twarze, przez które zaczynały przeświecać kości. Ile powinno zająć coś takiego? Dwa miesiące? A nawet mniej, gdy leżały porzucone na wilgotnej ziemi, poddane wpływowi deszczu i... Cholera, Markowi wydawało się, że pamiętał dokładnie wszystkie wykłady Doktorka. Ale teraz, gdy stał nad ciałami ludzkimi o skórze przypominającej stopiony wosk, cała ta wiedza uleciała mu z głowy.

Czemu nie pożarły ich zwierzęta? Czemu nikt ich nie znalazł? Nie dało się przecież nie dostrzec ich z drogi.

Brak zainteresowania zmarłymi zrozumiał, kiedy wszedł między zabudowania. Ciała leżały wszędzie. Poniewierały się na ulicach, porzucone i zaniedbane, co ciekawe – rejestrował to na wpół świadomie, gdy rozglądał się zdumiony – znajdowały się w różnych stadiach rozkładu. Wydawało się też, że wszyscy ci ludzie zginęli z różnych, ale prawie zawsze gwałtownych powodów. Na świeższych zwłokach łatwo można było zauważyć ślady ran. Co gorsza, jak przekonał się po nachyleniu nad ciałem mężczyzny w całkiem niezłym garniturze, były wśród nich ślady zębów. Możliwe więc, że zwierzęta nie tknęły trupów pod lasem, ponieważ w centrum Rozprzy miały mięsa pod dostatkiem.

Poruszał się jak otępiały, wędrując od trupa do trupa, powtarzając w myślach wykłady Doktorka, przyglądając się zmarłym prawie obojętnie. Coś musiało wyłączyć się w jego mózgu, ogrom niezwykłości świata, jaki zastał po przebudzeniu, sprawił, że nie do końca wierzył w realność owego przebudzenia. Owszem, odsiedział swoich dziewięć lat, ale przecież świat nie mógł zmienić się w tym czasie aż tak bardzo, że zmarłych zrobiło się więcej niż żywych. Przysiadł wreszcie na krawężniku, opierając się o samochód wbity w latarnię. Zwłok kierowcy w nim nie było, został za to kluczyk w stacyjce. Marek spróbował w związku z tym uruchomić pojazd, lecz silnik ani zipnął.

Potrzebował chwili, by się zastanowić. No dobrze, powiedzmy, że to wszystko prawda. Ludzie zginęli. Jak? Poza rozbitym samochodem i dziesiątkami ciał na ulicach nie znalazł tak naprawdę zniszczeń. Domy stały nienaruszone, część z zamkniętymi, część z pootwieranymi oknami. Sklep spożywczy wydawał się nietknięty. Na murach budynków nie widać było śladów po kulach. Nie

doszło więc do ataku Ruskich, jak pomyślał w pierwszej chwili, nie wybuchł żaden pożar. Co zatem mogło się stać? Wybuchła epidemia i wszystkich ocalałych ewakuowano? Czemu w takim razie pozostawiono ciała? Nie zabrano ich dla bezpieczeństwa, albo choćby po to, by zbadać? Chyba że epidemia była tak groźna, iż obawiano się je tykać... Nie, to bez sensu, tym bardziej by je spalono...

Zaraz, zaraz, jeśli to epidemia, to czy on nie mógł się zarazić? Przestraszony zerwał się na równe nogi i odbiegł od samochodu, lecz natychmiast się zatrzymał. Niby dokąd miał uciec? Zwłoki zdawały się zalegać wszędzie, a on zdążył się przyjrzeć kilku z bliska. Jeśli miał się zarazić, to pewnie już zdążył. A może... Może już wcześniej był zarażony? Przecież nie pamiętał, co działo się z nim, odkąd wpadł na niego tamten wymachujący rękami wariat...

Przypomniał sobie szaleńca spod przystanku autobusowego, który zaatakował go nie tylko bez żadnego powodu, ale też w ten dziwny, raczej zwierzęcy niż ludzki sposób. Czy on nie próbował go ugryźć?

Niechętnie powrócił do zwłok kolesia w garniturze. Wstrzymując oddech, pochylił się nad jego szyją. Czy te ślady po zębach mogły być ludzkie?

Cofnął się ze wstrętem. Teraz, gdy o tym pomyślał, nie potrafił pozbyć się tego podejrzenia. Choć nie znał się na śladach ugryzień, nabrał pewności, że tak właśnie było: człowiek pogryzł człowieka, może nawet pożywił się ludzkim mięsem...

Poczuł, że potrzebuje broni. Jakiegokolwiek. Przypomniał sobie wszystkie filmy o zombiakach, jakie widział w życiu, i nagle owładnął go irracjonalny lęk, że te trupy w zasięgu wzroku zaraz wstaną i rzucają się na niego, tak jak typ spotkany przy przystanku. Poruszał się przecież dziwnie,

mamrotał, jakby nie potrafił mówić, i atakował bezładnie, bez planu.

„Nie, stary! – spróbował uspokoić sam siebie. – Jakie zombie? Przecież to durny pomysł z filmów!”

Trudno było jednak uwierzyć w racjonalne argumenty, gdy stało się pośrodku ulicy pełnej zwłok.

Nawet jeśli to nie zombie, tak czy owak potrzebował czegoś do obrony. Wrócił do rozbitego samochodu, sprawdził schowek. Nie znalazł tam nic przydatnego. Otworzył bagażnik, marząc choćby o łyżce do opon albo młotku. Niestety, właściciel auta najwyraźniej nie przewidywał problemów, nie spakował żadnych narzędzi. Marek uznał, że to pewnie typ krawaciarza przekonanego, że wszelkie jego problemy załatwi pomoc drogowa opłacona z drogiego ubezpieczenia. Posłał zmarłemu przepełnione złością spojrzenie.

Zdecydował, że sprawdzi sklep spożywczy. Powinni mieć tam chyba jakiś nóż do mięsa? Pewności siebie zabrakło mu w momencie, gdy stanął przed drzwiami. Zawahał się. Rozglądnął na boki. Czy wtargnięcie do środka można by podciągnąć pod włamanie? Niby mógłby się tłumaczyć wyższą koniecznością, ale znał już tych cholernych sędziów i prokuratorów, wszystko rozpatrywali na jego niekorzyść. Nawet fakt, że żona go zdradzała, wykorzystali przeciwko niemu.

Obiecał sobie, że więcej nie pójdzie siedzieć. Zmarnował dziewięć lat życia. Wystarczy. Nigdy wcześniej nie łamał prawa, w każdym razie nie bardziej niż inni. Zasuwał na swoim, kiedy okazało się, że z kariery oszczepniczej nici przez durną kontuzję. I przez wredne babsko...

Przymknął oczy, policzył do dziesięciu. Niewiarygodne, że myśl o Małgoście wciąż doprowadzała go do furii.

Nacisnął klamkę. Będzie, co ma być. Nie pił nic, sam nie wiedział od jak dawna. Nie czuł głodu i trochę bał się myśleć o tym, dlaczego tak się działo. Co jadł przez ten czas, którego nie pamiętał? Na jak długo urwał mu się film?

Na szczęście drzwi ustąpiły. Widocznie wszystko, co złe, zaczęło się w godzinach otwarcia sklepu. Czy to przydatna informacja? Diabli wiedzą.

Zmarszczył nos, ledwie przekroczywszy próg, bo w środku cuchnęło jeszcze bardziej niż na ulicy. Szybko znalazł przyczynę smrodu – zwłoki kobiety w fartuchu osunęły się za ladę, ale początkowo musiały spoczywać właśnie na niej, widać było smugi krwi na kremowym blacie. Co na swój sposób interesujące, w plecach trupa tkwił nóż. Ktokolwiek zabił tę tutaj, potrafił posługiwać się bronią. Czyli raczej to nie zombiak. Myśl ta dodała Markowi nieco otuchy. Rozważał, czy nie wyciągnąć noża ze zwłok, lecz nie zdecydował się na to. Po cholere zostawiać odciski palców na narzędziu zbrodni? Spece z policji pewnie potrafiliby dopasować kształt ostrza do rany, albo zrobić jakieś inne czary-mary, wystarczające, żeby skazać Marka za zbrodnię, której nie popełnił. Na dobrą sprawę powinien natychmiast wynosić się z tego sklepu.

Jednak potrzebował zarcia. I sprzętu. Zresztą nie oskarżą go chyba o zabicie wszystkich ludzi na ulicy? Jak powiadał ten cały Stalin? Że od pewnej granicy to już nie mord tylko statystyka? Niewiarygodne nagromadzenie trupów może sprawić, że nikt nie zainteresuje się jednym więcej. Chociaż z tymi mendami nigdy nic nie wiadomo. Gdy zorientują się, że Marek ma kartotekę, z czystej złośliwości postarają się mu coś przypisać. Zagłada świata czy nie, lepiej się pospieszyć.

Odnalazł stojak z butelkami wody mineralnej. Otworzył pierwszą. Dopiero gdy pociągnął łyk, przebudziło się w nim długo tłumione pragnienie. Pił chciwie aż do zachłyśnięcia. Zakrztusił się, oparł o ścianę. Upił jeszcze łyk, tym razem tylko po to, by przepłukać usta. Po chwili wahania resztę wykorzystał, by przemyć dłonie i twarz. Tknięty nagłą myślą pobiegł na zaplecze. Tam znalazł, tak jak się tego spodziewał, umywalkę i lustro nad nią. Niestety, światło nie działało, a gdy spróbował odkręcić wodę, rury zabulgotały kpiąco i wypuściły przez kran ledwie parę kropel, brudnych i gęstych. Zaklął. Wrócił do sklepu. Na szczęście był to jeden z tych zaopatrzonych we wszystko, co tylko mogło przydać się kupującym. Prowincjonalny supermarket. Znalazł i świece, i zapalki. Wrócił na zaplecze, obstawił świecami całą umywalkę, pozapalał je i nie bez obaw spojrzął w swoje odbicie w lustrze.

Aż się cofnął na jego widok. Spoglądał na niego wychudły, brudny koleś o dzikim spojrzeniu. Oczy miał podkrążone, przekrwione. Na czole dało się zauważyć kilka nowych blizn, niektóre dość świeże, inne zarośnięte młodą skórą. Dopiero teraz Marek uświadomił sobie, że nie tylko włosy na głowie mu urosły, także gębę pokrywała całkiem gęsta szczecina. Potarł ją zaskoczony. Pamiętał, że kiedyś próbował zapuszczać brodę, lecz po dwóch tygodniach zgolił jej załączki rozdrażniony swędzeniem skóry. Tym razem nic nie czuł, zarost musiał więc mieć więcej niż dwa tygodnie. Ile? Trzy?

Pętał się bez świadomości po świecie przez trzy tygodnie? Co wtedy robił? Był jak ten wariat spod przystanku?

Wolał nie myśleć o takich sprawach. Skupił się na najważniejszym: na sobie tu i teraz. Jeśli świat zwariował, jeśli jakaś epidemia zmieniała ludzi w szaleńców, będzie



musiał przetrwać, odnaleźć siostrę i...

I syna. Miał syna. Aż zachwiał się na nogach, gdy spłynęła na niego świadomość konsekwencji tego faktu. Gdzieś tam żył – oby! – dzieciak, który był przedłużeniem jego samego. Dziecko. Jedyne, co być może wyszło mu w życiu. A jeśli cała Polska wyglądała tak jak Rozprza, chłopak potrzebował pomocy.

Czemu, do cholery, nie zapytał siostry, jak mały miał na imię? Czemu sama mu tego nie powiedziała? A nie... Mówiła... Pamięć wciąż stawiała mu opór, wspomnienia powracały powoli, z trudem. Najpierw przypomniał sobie niechęć w tonie siostry, jej pełne wyrzutu spojrzenie, pogardę zawartą w skrzywieniu ust. Nastrój tamtej chwili otoczył Marka, wchłonął go. Wtedy napłynęły słowa. „Lubi przyszpanować ta suka”.

Patryk. Jego syn ma na imię Patryk.

Powtarzał to imię nieustannie, gapiąc się na swoje odbicie. „Skóra zdjęta z ciebie”. Czyli jak wygląda? Jak ten potwór w lustrze? Jak łyśy, zmęczony więzień o rozbieganym spojrzeniu? Jak skupiony młody sportowiec? Jak sprzedawca o mięśniach roztapiających się stopniowo w tłuszczu?

Patryk.

Znajdzie go. Stanie naprzeciw syna i ujrzy jakby siebie w wieku dziewięciu lat. Jaki był? Ciekawski i zadziorny, pewny, że wszystko ułoży się jak należy. Takim siebie pamiętał.

Przeszukał sklep dokładniej. Znalazł drugi nóż, o szerokim ostrzu. Coś tam o walce nożem dowiedział się od Krzyśka, zwanego Kruchym, starego recydywisty popełniającego przestępstwa już chyba tylko dlatego, że nie potrafił inaczej i niezbyt radził sobie w normalnym życiu.

Kruchy zdawał się wiedzieć wszystko o każdym więzieniu w Polsce, a paragrafy znał pewnie lepiej niż wszyscy prawnicy razem wzięci. Nie było też takiej roboty, której by przynajmniej nie liznął. Marek żałował teraz, że nie wziął od niego paru lekcji z włamywania się do domów i aut, mogłyby mu się przydać w opustoszałym świecie. Ale przecież planował uczciwe życie. Wygląda na to, że los znowu wyciął mu wredny numer.

Udało mu się zebrać niezły majątek: spory zapas wody, kilkanaście puszek z mięsem i warzywami, dwa noże, stos świec i pudełek zapalek... Znalazł nawet obcinacz do paznokci, z którego chętnie skorzystał. Tylko jak miał to wszystko ze sobą zabrać? Spakować do przeklętych małych reklamówek?

Ale jeśli wszyscy opuścili Rozprzę... Skoro już raz się włamał...

Resztę dnia spędził na przeszukiwaniu domów. Zaskakująco mało z nich zamknięto na klucz. Jakby mieszkańcy opuszczali domostwa, spodziewając się szybko do nich wrócić. Albo jakby zostali z nich wygonieni przez wojsko. Możliwe też, że wszyscy oszaleli. Znajdował ślady walki, natknął się też na nowe ciała. Choć szukał przede wszystkim rzeczy niezbędnych w dziczy: lepszych noży, narzędzi, wygodnych butów, kurtki przeciwdeszczowej, pojemnego plecaka, czasem trafiał na pieniądze. Za pierwszym razem, gdy w szufladzie pełnej skarpetek znalazł pokaźny plik banknotów, zawahał się. Czy przydałaby mu się taka kasa? Cóż, jeśli cywilizacja całkiem nie upadła, na pewno. Ale wtedy też ktoś mógłby go przymknąć za kradzież.

Nawet nie zauważył, kiedy zapadł zmrok. Był już wtedy nieźle wyekwipowany. Znalazł całkiem elegancką kurtkę

z brązowej skóry, według niego bardziej przydatną w podróży niż nowoczesne cudenka z tworzyw sztucznych, może i odporne prawie na wszystko i szyte pewnie w laboratoriach sterowanych przez komputery, jednak stanowczo mniej trwałe. Nie miał natomiast nic przeciwko nowoczesnemu plecakowi z regulowanymi pasami: biodrowym i piersiowym, zdolnemu pomieścić do dziewięćdziesięciu litrów pakunku. Udało mu się też znaleźć pasujące buty z wysoką cholewą i na grubej podeszwie oraz fajny nóż myśliwski w pochwie. Ze sklepu oprócz zapalek postanowił zabrać wszystkie chińskie zapalniczki. Tyle że kiedy zamierzał opuścić ostatni z przeszukiwanych domów, zaczynało się już robić ciemno. I Marek zatrzymał się na progu.

Nawet jako dziecko nie bał się ciemności, tym razem jednak myśl o włączeniu się po nocy przejęła go trwogą. Nie zapaliły się ani latarnie uliczne, ani światła w żadnym domu. Marek nie miał najmniejszej ochoty, by przejść choćby tych kilkaset metrów do sklepu w zapadającym zmierzchu. Więzienie pomagało oswajać się i z ciemnością, lecz tutaj znalazł się w obcym miejscu pośród setek trupów. Znów zawładnęło nim irracjonalne przeczucie, że zaraz wstaną. Nie było mu tak łatwo odegnać tej myśli, jak za dnia. Cofnął się o krok. Potarł czoło dłonią dla uspokojenia. Pewnie dotarłby na miejsce, nim zrobiłoby się całkiem ciemno, ale co dalej? Miałby spędzić noc z trupem sprzedawczyni? Albo wracać w ciemnościach, nie wiedząc, czy jacyś oszaleli napastnicy albo zwierzęta nie kryją się pośród cieni?

Cofnął się do domu. Starannie zamknął za sobą drzwi, a po chwili zastanowienia podparł je krzesłem przyniesionym z kuchni. Następnie obszedł wszystkie

pomieszczenia, pozamykał i pozasłaniał okna. I tego było mu mało. Wspiął się na piętro, starannie zamknął za sobą drzwi do sypialni, a potem zastawił je przewróconą szafą pełną prześcieradeł i poszew. Znaleziony nóż myśliwski włożył pod poduszkę. Na wszelki wypadek nie zdejmował ani butów, ani kurtki. Plecak oparł o łóżko, by w razie czego móc łatwo złapać go w ciemnościach, gdyby przyszło mu uciekać.

Zasnął, daremnie nasłuchując odgłosów z zewnątrz. Nic nie zagłuszało paskudnej, nieludzkiej ciszy. Jakby nawet owady uciekły.

## Rozdział 3

Nie znalazł siostry w jej mieszkaniu w Piotrkowie, do którego dotarł na rowerze wyciągniętym spod trupa o przegryzionym gardle. Zobojętniał już na porzucone, zmasakrowane ciała w różnym stadium rozkładu. Przestał też je badać, by przywołując więzienne wykłady Doktorka, starać się ocenić czas, jaki minął od zgonu. Kiedy na ulicach zalegają martwi, śmierć prędko powszednieje. Zasłaniał usta arafatką znalezioną w jednym z przeszukiwanych mieszkań, a potem przetrząsał kieszenie zabitych w poszukiwaniu czegoś wartościowego. Z czasem zaczął ściągać pierścionki z palców kobiet i wyszarpywać kolczyki z ich podgniłych uszu. Złoto zawsze będzie miało wartość. Nawet jeśli cywilizacja upadła.

Leżący w poprzek drogi rowerzysta stanowił przypadek szczególny. Wyglądało, jakby zginął niedawno. Ciało ostygło, stężało, ale rozkład ledwie zaczął o sobie dawać znać. Co więcej, zmarły musiał być kimś podobnym do Marka. Najwyraźniej również ocknął się po Błysku, splądrował domy i sklepy w jakiejś innej miejscowości. Przez bagażnik turystycznego roweru przerzucił przypominające siodło sakwy wypełnione jedzeniem w puszkach i torebkach, ale także lekarstwami i środkami

opatrunkowymi. Przywiązał do tego wielki plastikowy baniak wody, dociskając go elastycznymi pasami, a pod ramę roweru doczepił dodatkowe, mniejsze sakwy wypchane multoolami i tubami oleju oraz smaru. Znalazł nawet sposób na przywiązanie do ramy niewielkiego namiotu, tak by nie przeszkadzał mu podczas jazdy.

Przygotował się do podróży przez zniszczony świat najlepiej, jak potrafił. I umarł.

Marek starał się nie myśleć o tej śmierci, wyprzeć ją z pamięci. Ale nie był w stanie.

Rowerzysta bowiem wyglądał, jakby coś rozsadziło mu głowę od środka. Coś! Mózg nie wiedzieć czemu nie tylko urósł mu ponad miarę, spuchł, ale też stwardniał, uległ krystalizacji i rozerwał czaszkę. Gdy Marek stukał w niego czubkiem noża, udało mu się odkruszyć kawałek. Krzyknął, odskoczył odruchowo i upadł niezgrabnie.

Czy to jakaś zaraza? Ludzie wpadają w szal, tracą pamięć i próbują pozabijać się nawzajem, ponieważ ich mózgi zamierają i zmieniają się w coś, co przypomina kryształ? Czy i z nim dzieje się to samo?

Nie bez wysiłku wydobył rower spod ciała i uciekł stamtąd, pedałowując najszybciej, jak mógł. Dopiero po kwadransie zrozumiał, że poprzedni właściciel ustawił najłżejsze przełożenie, jakby szykował się do jazdy pod stromą górę. Marek potrzebował chwili, by zorientować się w mechanizmie działania nowoczesnych przerzutek, potem już podróż poszła mu gładko, choć sterowanie przeciążonym rowerem sprawiło mu początkowo nieco trudności, a od plecaka, którego nie zamierzał się pozbywać, szybko rozbolały go plecy i ramiona. Musiał docisnąć pasy do oporu, plecak chwiało mu się bowiem podczas jazdy i też nie ułatwiał manewrowania.

Na wiejskich drogach widywał zwierzęta. Raz prawie wpadł na grupę dzików. Locha z młodymi przecięły mu drogę. Usłyszały go, zatrzymały się i czym prędzej zbiegły na pobocze. Gdy mijał je, przyglądały mu się ukryte w wysokiej trawie. Marek nie mógł pozbyć się wrażenia, że bały się go bardziej, niż na to zasługiwał.

W Piotrkowie po raz pierwszy zobaczył żywych ludzi, którzy nie sprawiali wrażenia szalonych. Mimo to unikał ich. Kiedy wychodził z więzienia, wprost nie mógł się doczekać rozmowy z kimś z zewnątrz, teraz nie był pewien, jak zareagowałby na spotkanie z drugim człowiekiem. A i tamci nie wyglądali na spragnionych kontaktu. Słyszając nadjeżdżający rower, uskakiwali do kryjówek, skąd obserwowali przybysza na podobieństwo dzików ukrytych w trawie. Dopiero pod domem siostry jakiś starszy gość podbiegł do Marka.

– Niech pan zaczeka! – wołał zdyszany. – Niech pan zaczeka!

Chociaż w przeciwieństwie do typa, z którym Marek walczył na wiejskim przystanku, ten facet wydawał się normalny, no i mówił jak człowiek, a nie pomrukiwał niczym zwierzę, rowerzysta oparł dłoń na rękojeści noża przyczepionego w pochwie do pasa.

– Niech się pan mnie nie obawia! – Mężczyzna zatrzymał się natychmiast. – Jestem już zdrowy. Jak i pan!

– Zdrowy? – powtórzył Marek. A po chwili, gdy dotarło do niego znaczenie słów obcego, dodał: – Już?

– Pan też nic nie pamięta?

– Nic nie pamiętam i niewiele wiem.

– No tak. Jak wszyscy. Pewnie nie rozmawiał pan z nikim? Nic dziwnego. Ludzie teraz nieufni. Ale ja, na szczęście, przekonałem kilku. Nikt nic nie pamięta.

Wszyscy ocknęli się nagle, brudni i zakrwawieni. Jedni ranni, inni nie. Jedni blisko domów, inni przybyli tu z daleka. A pan?

– Tak jakby z daleka. Ale tu mieszkałem. Dziewięć lat temu. Wie pan, co się stało?

– Nikt nie wie. Większość ludzi zginęła. I sądząc po śladach... No cóż, wygląda na to, że pozabijaliśmy się nawzajem.

Do podobnego wniosku Marek sam doszedł podczas podróży. Poza rowerzystą wszyscy zmarli nosili ślady walki. U tych najpóźniej zabitych, których jeszcze całkiem nie pożarł rozkład, odnajdywał rany i blizny na dłoniach podobne do tych, jakie sam miał.

– Czego pan ode mnie chce? – zapytał.

– Potrzebuję pomocy... Nie, niech mnie pan źle nie zrozumie! Sklepy są pełne. Wszyscy, którzy przeżyli... Można nas uznać za milionerów. Niczego nam nie brakuje. Ale te ciała... Jeśli ich nie usuniemy, nie skończy się to dla nas dobrze. Ja i jeszcze parę innych osób szykujemy wielki stos. Na wszelki wypadek przy Bugaju. Wie pan, woda... Nie tak daleko stąd, wie pan, Wyzwolicieła do Wierzejskiej i dalej to już rzut kamieniem...

– Wiem, gdzie jest jezioro.

– No właśnie! I widzi pan, każda para rąk się liczy. Samochody można brać, jakie kto chce, tylko ciężko nimi jeździć, bo ulice zapchane. Ale można by do tego pana roweru podczepić wózek i zwozić tam ciała.

– Nie.

– Słucham?

– Mam własne sprawy. Idź pan szukać pomocy gdzie indziej.

– Pan nie rozumie! Z tego może się zrobić epidemia. Pan



też może zachorować!

– Rozumiem i mam to w dupie. Nawet tu nie zostanę. Spieprzaj pan.

– Niechże pan zrozumie... Ten świat... Wszystko się zmieniło. Musimy sobie pomagać!

– Pomagam swoim. Ciebie, gościu, nie znam.

Odwrócił się od zatroskanego, posmutniałego mężczyzny i ignorując jego daremne argumenty, zajął się zamkiem przy drzwiach. Te zaopatrzone niestety w mechanizm samozamykający. Marek bez wielkich nadziei spróbował zadzwonić domofonem do siostry. Gdy nic to nie dało, wcisnął po kolei wszystkie przyciski. Też bez rezultatu.

Za jego plecami starszy facet mówił jeszcze, przekonywał, ale coraz słabiej. Wreszcie poddał się.

– Nic nie rozumiecie, niczego się nie nauczyliście! – westchnął. – Mam nadzieję, że zmieni pan zdanie. Do widzenia.

Marek obejrzał się za nim. Może nie warto było zniechęcać dziadka do siebie? Przecież to pierwszy człowiek, który w ogóle chciał z nim rozmawiać. Dałoby się wyciągnąć z niego jeszcze trochę informacji. Miał ochotę pobiec za nim, przeprosić. Przekonać, że mógłby pomóc, tylko nieco później. Bo teraz, niestety, nie ma czasu. Bo ta resztką ocalałych musi poczekać, aż on przekona się, jaki los spotkał jego rodzinę. Przecież nie musiałyby zasuwać z trupami do upadłego, wystarczy poświęcić tyle czasu, by wyciągnąć od koleśka wszystko, co wie. A może zdobyłby też zaufanie innych? Choć wtedy pewnie zaczęliby go wciągać w swoje sprawy, namawiać, żeby pomógł im jeszcze trochę, z jakimś kolejnym drobiazgiem... Ale może znalazłyby się między nimi kobiety?

Nie. Nie może się rozpraszać.

To jednak byłaby strata czasu. Jeśli człowiek nie troszczy się przede wszystkim o siebie, znajduje się na straconej pozycji względem innych, mądrzejszych samolubów. Pewnie i świat zawaliłby się bez tych wszystkich dbających o dobro ogółu altruistów, ale ze świata wiele już i tak nie zostało. Tym lepiej dbać o siebie. Zresztą Marek był już zmęczony i zniecierpliwiony. Chciał się przekonać, czy siostra przeżyła, usiąść w mieszkaniu, w którym się wychował. Odpocząć choć chwilę po tej cholernej podróży drogami pełnymi trupów. Przez nieznośnie otwarte przestrzenie, puste i ciche. Za kratami marzył o takich właśnie miejscach. Teraz tęsknił za ciasnotą i obecnością kumpli. Bolały go ramiona, stopy, nawet kolana. Nic nie jest winien światu, którego nie obchodziło, że znudzony sędzia wlepił mu dziewięć lat tylko za to, że zareagował jak każdy normalny facet, gdy przyłapał żonę z gachem.

Wyjął z sakwy toporek zrabowany ze sklepu z narzędziami. Przyjrzał się drzwiom. Całe szczęście, że były drewniane. Siostra mieszkała w mieszkaniu po rodzicach, w jednopiętrowej kamienicy, której podwórka strzegła pomalowana na brązowo brama. Przypuszczalnie dałoby się wejść do środka, po prostu wybijając okna na parterze, ale Marek wolał uniknąć potencjalnego konfliktu z sąsiadami. A czuł, że jeśli przeżyli, prędzej wybaczą mu uszkodzenie bramy należącej poniekąd do wszystkich niż rozbicie ich prywatnych okien.

Uporanie się z zamkiem zajęło mu trochę czasu. Zdecydowanie powinien był wziąć parę lekcji włamań. Zwyciężył jednak. Po chwili zastanowienia wprowadził rower na podwórko. Może i wszyscy byli teraz milionerami, lecz łatwiej jest rąbnąć komuś zapasy niż zbierać je samemu. Uszkodzone drzwi podparł rowerem, by

wyglądały na zamknięte. Jeśli nikt nie będzie się im przyglądał, może się nabierze.

Wspiął się na piętro w półmroku, ale po znajomych schodach. Tyle lat go tu nie było, a wszystko pamiętał! I to zadrapanie na ścianie, której nikt nie odmalował chyba od dwóch dekad, i skrzynkę na listy z wgnieceniem z prawej strony. Nawet drzwi do mieszkania siostry nic się nie zmieniły – ciężkie, pancerne, gotowe do odparcia armii grzeszników, których siostra zawsze się obawiała. Na nie nie starczyłoby siekiery, gdyby Marek zastał je zamknięte.

Na szczęście okazały się uchylone. Pchnął je lekko ostrzem. Ustąpiły łatwo. Przekraczając próg, miał już pewność, że w środku nie zastanie nikogo. Miewał takie przecucia. Na przykład wtedy, gdy wrócił do domu zmordowany po dwunastu godzinach jazdy i już przekręcając klucz w zamku, wiedział, że coś jest nie tak, że zaszła jakaś zmiana, straszna, a nieodwracalna. Że Małgośka może nie żyje, może miała wypadek. Jedno, czego nie podpowiedział mu instynkt, to że rżnęła się z sąsiadem w ich wspólnie kupionym za ciężki szmal łóżku.

Wtedy też dopadł go jakiś rodzaj Błysku. Poczul lodowate zimno. Obserwował sam siebie jakby z zewnątrz: jak schodzi do piwnicy i przemywa twarz zimną wodą prosto z kranu wmontowanego w ścianę, i jak wraca z młotkiem, którym połamał potem sąsiadowi palce u obu rąk. Gdy znów był sobą, tamten leżał nieprzytomny, a Małgośka, krwawiąc z głowy i ze złamanego nosa, darła się jak opętana do telefonu, że mordują.

Przez to, że zszedł do piwnicy po ten cholerny młotek, sąd uznał, iż działał z premedytacją. Głupi sąd. To przecież było jak Błysk. Ciekawe, co teraz myśleli mądry sędziowie, jeśli przeżyli. Jakie mieli zdanie na temat

premedytacji, gdy ocknęli się z krwią na rękach, a może nawet z ludzkim mięsem między zębami.

Teraz wszyscy, którzy przeżyli, są mordercami – uświadomił sobie. Ale ta myśl wcale nie dodała mu otuchy.

## Rozdział 4

Przeszukał rodzinne mieszkanie tak, jak przeszukiwał wcześniej obce – w nadziei na znalezienie czegoś przydatnego. Nie zamierzał tracić czasu na poszukiwania siostry. Skoro nie wróciła do domu, to znaczy, że nie żyła. Teoretycznie mogła, jak on, ocknąć się gdzieś daleko. Nie wierzył w to jednak. Przebudzony w chwili przestąpienia progu instynkt podpowiedział mu, że zginęła. Nie mogło zresztą być inaczej. Była starsza od niego, słaba. Jeśli zmieniła się w potwora, musiał to być mały, fajłapowaty potwór, którego prędko pożarły inne monstra. Jej siła leżała w sprycie, niezachwianej woli i uporze nie do przewyciężenia. Zmieniona w bezrozumnego stwora nie mogła liczyć na te cechy.

Ukląkł przed reprodukcją obrazu Czarnej Madonny w sypialni i pomodlił się za duszę siostry. Pewnie była nieskalana w chwili Błysku, ale co potem? Czy Bóg odpuścił oszalałym mordercom? Co by na to powiedział ten mały cichy ksiądz tłumaczący łagodnym szeptem, że Bóg jest pełen miłosierdzia i niczego bardziej nie pragnie niż tylko wybaczać grzesznikom?

Ciekawe, co czuł taki klecha, kiedy ocknął się z krwią na rękach.

Marek nie zamierzał zostawać w mieszkaniu siostry ani w ogóle w Piotrkowie. Doszedł do wniosku, że łatwiej będzie przeżyć gdzieś na wsi niż w mieście. Jasne, dziadyga od palenia zwłok miał rację – sklepy były pełne żarcia. Ale to kiedyś się skończy. A wtedy mieszczuchy skoczą sobie do gardeł.

Na wsi, najlepiej w jakimś oddalonym od głównej drogi domu, będzie inaczej. Może jakieś kury będą kręcić się po obejściu? Niedojone krowy pewnie wyzdychały, ale może znajdą się świnię, które da się oswoić. Z pól można już zebrać przynajmniej ziemniaki. Marek wprawdzie nie znał się na rolnictwie i pojęcia nie miał, jak zrobić mąkę z zebranego ziarna, ale z wykopaniem i ugotowaniem ziemniaków jakoś sobie poradzi. O ile uda mu się je znaleźć, bo niby jak miałby odróżnić ziemniaki od... buraków na przykład? Zresztą buraki też można jeść. Zezre, co wykopie. Z czasem nauczy się wszystkiego, co niezbędne do przeżycia. Na wsiach z pewnością uchowały się też gdzieniegdzie studnie, ludzie mają sady i ogródki warzywne. Nie trzeba liczyć na zdobycze cywilizacji.

Co nie znaczyło, że Marek nie zamierzał szabrować ze sklepów, ile tylko będzie w stanie. Ale to wszystko później. Najpierw musi znaleźć syna. A żeby mu się to udało, trzeba się będzie dowiedzieć, jak dzieciak wygląda. Siostra pewnie trzymała w domu tę fotkę od Baśki.

Znając swą siostrę, Marek liczył na jej przywiązanie do tradycji. Mogła kupić komórkę zaopatrzoną w niezły aparat, ale i tak zdjęcia oddawała potem do wywołania. Jeśli więc Baśka przesłała jej fotki dziecka, siostra wywołała je. A jeśli tak, to mogła trzymać je tylko w trzech miejscach: w portfelu (oby nie, wtedy przepadły), pamiętniku albo albumie. Albumy odszukał pierwsze –

szesnaście ksiąg w okładkach o pastelowych kolorach czekało poustawianych w pokoju służącym za salon, na półce meblościanki odziedziczonej po rodzicach. Pierwsze z nich Marek przeglądał nie bez wzruszenia, gromadziły wszak zdjęcia z jego dzieciństwa. Zwalczył pokusę, by poświęcić im więcej czasu, i sięgnął po ostatni z albumów. Spotkało go rozczarowanie. Siostra traktowała te zbiory zdjęć jako oficjalne prezentacje, rzeczy na pokaz, a zatem starannie cenzurowane. Zawierały wyłącznie portrety uśmiechniętych bądź mądrze zadumanych ludzi uczestniczących w dziesiątkach pielgrzymek, okolicznościowych przyjęciach lub zorganizowanych wyjazdach.

Pozostawał więc pamiętnik. Wiedział, że siostra prowadziła go od dzieciństwa. Jeszcze jako smarkacz podkradał go, by szydzić z jej wpisów i tajemnic. W efekcie nauczyła się niestety starannie go ukrywać, a ponieważ nigdy nie wyrzekała się dobrych nawyków, a do tego nie ufała światu, najpewniej i teraz dobrze schowała swój sekretny dziennik. Mimo to sprawdził najoczywistsze kryjówki: pod łóżkiem i pod materacem. Przeszukał biurko i sekretarzyk. Zajrzał nawet do łazienki, gdzie spotkała go miła niespodzianka. Albo siostra gromadziła wodę, albo wybiegła z domu bądź wpadła w szal akurat wtedy, gdy napełniała kilka plastikowych wiader. Tym razem nie oparł się pokusie i skorzystał z okazji do kąpieli. Marzył o niej, odkąd się ocknął. Przelał wodę do wanny, napełniając ją do połowy. I choć woda była zimna, to i tak zaznał przyjemności największej od lat. Żaden gorący prysznic nie przyniósł mu dotąd takiej ulgi.

Choć sam uznał, że to głupie, nie skorzystał z ręczników wiszących przy wannie i umywalce. Zamiast tego,

ociekając wodą, powlókł się ku szafie w przedpokoju, otworzył drzwiczki do jej górnej półki, gdzie przed laty siostra trzymała świeże ręczniki. I tego zwyczaju nie zmieniała.

A co więcej, właśnie pod nimi Marek odnalazł pamiętnik – gruby zeszyt w twardej okładce, jasnej niczym dla dzieci i ozdobionej wizerunkami różowych jednorożców. Uśmiechnął się. Proszę, oto dodatkowy pożytek płynący z dbałości o higienę.

Nie zaczął lektury, póki nie wytarł się starannie i nie ubrał, niestety w stare rzeczy, bo nie chciało mu się schodzić do roweru po nowe. Pociągnął nosem z niesmakiem. Nieprzyjemny zapach znów go otaczał. Z drugiej strony całe miasto, ba, cały świat cuchnął trupem. Kto by zwracał uwagę na jednego mężczyznę!

Siostra pewnie by zwróciła, czystoszka. Miałaby też pretensje o mokre ślady na podłodze, wannę nieumytą po kąpielu i nierówno poustawiane na półce albumy.

W pamiętniku znalazł upragnione zdjęcia. Niewyraźne, powiększane na podstawie fotek z telefonu, ale były! Przedstawiały chyba niedużego (Marek uświadomił sobie, że pojęcia nie ma, jaki wzrost powinien mieć dziewięciolatek) ciemnowłosego chłopca. „Skóra zdjęta z ciebie” – zapewniała siostra. Ciekawe na jakiej podstawie... Jemu dzieciak wydawał się umiarkowanie podobny, choć może rzeczywiście było coś znajomego w jego oczach i kształcie czoła. Rozpoznawał w nich jednak prędzej swego ojca niż siebie. Ubrany w kurtkę Spider-Mana wykrzywił gębę w zuchwałym uśmiechu.

Marek sprawdził zapisy w pamiętniku. Dowiedział się z niego mnóstwo o życiu sąsiadów i parafii, lecz niewiele o wydarzeniach na świecie. Pan Adam spod trójki



wspominał, że dzieje się coś złego, ale że był starym komuchem i ateistą, to siostra nie przejmowała się jego gadaniem. Narzekał na wszystko, odkąd skończył sześćdziesiątkę, i głosił upadek ludzkości oraz obyczajów. I choć siostra pewnie łatwo by się z nim pod tym względem dogadała, to przecież nie chciała mieć z nim nic wspólnego, bo nie chodził do kościoła.

Więcej niż o świecie przeczytał Marek o Małgoście. Jednak i tu nie dowiedział się nic, czego już by nie wiedział. Z rozrzewnieniem przeglądał fragmenty, w których siostra pisała o nim samym. Wybacziała mu wszystko i usprawiedliwiała na wszelkie możliwe sposoby. Co i rusz wspominała, że przecież dobry z niego chłopak, że przyjmował księdza w więzieniu i chadzał na msze. „Niezbadane są wyroki boskie” – powtarzała, dodając, że trzeba było dziewięcioletniej kary, by jej brat na powrót odnalazł Boga.

Cała ta siostrzana miłość oszołomiła Marka. On sam myślał o siostrze czule, ale w kategorii okazji do zabicia czasu, odwrócenia uwagi od więziennej nudy. Cieszył się, że przychodziła, lecz nie sądził, by stosunki między nimi uległy jakiejś nadzwyczajnej poprawie, gdy wyjdzie. Jasne, zamierzał na początku zamieszkać z nią, póki nie znajdzie sobie czegoś lepszego, może w innym mieście, gdzie nikt go nie zna. Przecież gdy dorośli, ich drogi się rozeszły. Spotykali się od wielkiego dzwonu przy grobie rodziców, czasem na święta. Dzwonili do siebie nie częściej niż raz w miesiącu. Ona częściej i wcale nie po to, by pożyczyć pieniądze. Za dużo jednak gadała o religii, by chciało mu się ciągnąć tamte rozmowy.

Teraz była pewnie jeszcze jednym ciałem gnijącym tam, dokąd zagnało ją szaleństwo. A przecież ta dziwna, nieco

cierpiętnicza miłość nie umarła razem z nią, Marek znajdował ją na kartkach pamiętnika, zakłętą linijkami równego, trochę dziecinnego pisma, strona po stronie. W pierwszym odruchu zamierzał zostawić pamiętnik w mieszkaniu. Uznał jednak, że zabierze go ze sobą. W każdym razie ten ostatni, niedokończony tom. Bo pod rącznikami znalazł jeszcze dwadzieścia zeszytów. Czytał je przy świetle świec do późna w nocy, aż wreszcie zasnął. I po raz pierwszy od lat spał spokojnie.

## Rozdział 5

Do Częstochowy dotarł po czterech dniach. Powinien był się spieszyć, tak podpowiadał mu instykt, jednak jechał bez pośpiechu, oszczędzając siły. Robił około trzydziestu kilometrów dziennie, ale nie zmierzał prosto do celu, skręcał często w boczne drogi, zatrzymywał się przy porzuconych ciężarówkach i samochodach, które wydawały mu się nieść obietnicę interesującego łupu. Wciąż zbierał złoto. Do każdej z miejscowości mijanych po drodze zbliżał się ostrożnie. Zawsze najpierw chował rower w krzakach albo wysokiej trawie, nakrywał go plandeką w maskujące wzory znalezioną w garażu sąsiada. Potem, uwolniony od ciężaru plecaka, za to uzbrojony w nóż myśliwski i siekierkę, podkradał się do zabudowań. Potrafił czaić się choćby i godzinę, obserwując ludzi. Bywało, że nie dostrzegał nikogo. W innych przypadkach sprawdzał, jak się zachowywali. Gdy wreszcie nabierał pewności, przemykał się ku sklepom, aby uzupełnić zapasy. Choć nie spodziewał się, by mu ich zabrakło w najbliższym czasie, wolał się zabezpieczyć.

Ocaleli rozczarowywali go. Oczekiwał na przykład, że będą strzec sklepów. Wydawało się jednak, że nikt się tym nie przejmował. Rozszabrowywali spożywcza, ale

niedokładnie. Zabierali jedzenie z półek, lecz niekoniecznie przetrząsali magazyny, jakby spodziewali się, że nikt ich nie okradnie.

Czasem, podobnie jak dziadek z Piotrkowa, palili zwłoki, czasem zakopywali je w zbiorowych grobach, bywało też, że tylko spychali je z dróg. Jeśli zauważali Marka, nie próbowali z nim rozmawiać. Zamierali, przypatrywali mu się, ale wycofywali się ostrożnie. Wyglądali, jakby starali się udawać, że nic się nie zmieniło, a świat toczy się normalnym torem. Wszyscy, których napotkał, byli schludni, czyści, poubierani w szykowne ciuchy prosto z drogich sklepów, często poobwieszani biżuterią. Kobiety nie tyle pachniały, ile cuchnęły od perfum wylewanych na siebie litrami. Wyczuwał je z daleka. A i dostrzegał prędko, bo niemal świeciły od makijażu. Na ich tle musiał wyglądać jak dzikus – umorusany, bardziej dbający o broń niż ozdoby, częściowo w myśliwskim, a częściowo w sportowym ubraniu.

Bali się go, a może i gardzili nim, kto wie? Jego z pewnością przepełniała coraz większa pogarda do durniów uważających, że najgorsze mają już za sobą.

Jeszcze zmieniają się w barbarzyńców. Kiedy nadejdzie zima, a w sklepach skończą się zapasy.

Uświadomił sobie, że będzie musiał ufortyfikować swój dom na wsi, gdy już go sobie wybierze. Tacy jak oni, durnie przeszukujący sklepy z drogimi ciuchami, będą starali się rabować zaradniejszych od siebie. Doszedł do wniosku, że przyda mu się broń lepsza od noża, coś umożliwiającego obronę na dystans. Dotychczas nie myślał o broni palnej, bał się, co zrobią mu gliny, gdy znajdą ją u niego. Ale wyglądało na to, że nie ma już glin. Podobnie jak państwa, sędziów i strażników więziennych. Pewnie się kiedyś

odrodzą, wsze nie giną łatwo i zawsze wracają. Na razie jednak można się było cieszyć wolnością. Jeśli człowiek miał głowę na karku.

W Częstochowie podjechał więc najpierw pod komendę policji, wielki budynek o pięciu piętrach i trzech skrzydłach rozczapierzonych na podobieństwo wiatraka. Już ze skrzyżowania widział, że niczym mur otaczał go pierścień samochodów. Poprzewracanych, zachodzących na siebie. Gdy podjechał bliżej, dostrzegł między nimi ciała. Wciśnięte pomiędzy ciasno poustawiane auta, zalegające na ich maskach, czasem sprawiające wrażenie, jakby za życia próbowały dostać się do środka. Ciała, wiele ciał. Całe setki, jeśli nie tysiące wyglądające, jakby szturmowały owe zbudowane naprędce z samochodów umocnienia.

Marek poświęcił wiele uwagi ocenie tej sceny. Nie wiedział, ilu mieszkańców liczyła Częstochowa, ale tu mogło zebrać się i pół miasta. Czy byli to zdrowi ludzie szukający schronienia w policyjnej twierdzy przed szaleńcami ogarniętymi tym, co Marek na własną potrzebę nazwał Błyskiem? A może to właśnie opanowani gorączką starali się dorwać zdrowych? Przecież nie zachorowali wszyscy naraz, wirus musiał się jakoś roznosić. Świadczyło o tym chociażby spotkanie z furiatem na przystanku autobusowym. Facet ewidentnie był jeszcze chory, a Marek już wtedy wyzdrowiał.

Do czegokolwiek tu doszło, musiało dziać się to dawno, na początku zarazy. Kości przeświecały przez strzępy ciał. Markowi wydawało się, że dostrzega w nich ślady po kulach, nie miał jednak pewności. Czy jest możliwe, że to policja zastrzeliła tych ludzi? Zapewne byli więc zarażeni. Mógł mieć jak najgorsze zdanie o gliniarzach, ale nie

sądził, żeby zabijali cywilów szukających u nich schronienia.

Wszystkich powstrzymać nie zdołali. Części napastników udało się pokonać umocnienia, ich ciała leżały teraz na parkingu i trawnikach otaczających twierdzą. Najwyraźniej szturmujący nie przejmowali się losem towarzyszy, gnali przed siebie wiedzeni dzikim szałem. Ciekawe, jak działał Błysk, skoro nie atakowali siebie nawzajem, lecz starali się dorwać zdrowych? I, rzeczywiście niczym zombie z filmów, nie przejmowali się szalejącą wokół śmiercią.

Jakich cudów nie dokonywaliby gliniarze, niewiele zdołali zrobić. Nie pomogły im ani umocnienia z samochodów, ani zabarykadowane drzwi, ani nawet broń palna. Zarażeni dopadli ich w końcu, choć pewnie nie tak, jak się spodziewali.

Marek przekroczył ostrożnie roztrzaskane drzwi, częściowo zasłonięte przez pogruchotaną szafę na akta, opierającą się o rumowisko krzeseł i foteli. Może szturmującym udało się tu wedrzeć, a może nie. Trudno ocenić. Zdaniem Marka gliniarze odparli atak, może nawet odparli je wszystkie, a potem pozabijali się sami nawzajem. Bo tam, gdzie nie dali rady zarażeni, poradził sobie mikrob. Wirus, bakteria, dopust boży – cokolwiek to było, dopadło ich w końcu. Znajdował na korytarzach splecione ze sobą w krwawych zapasach ciała. Już nie strzelali. Starali się zatłuc gołymi pięściami, zadusić, przegryźć gardła. Szaleństwo, które opanowało świat, sprawiedliwie spadło w końcu i na nich.

Mimo wszystko należało zastanowić się nad tym, co tu się wydarzyło. Po raz pierwszy Marek napotkał ślad zorganizowanego oporu. Niby to naturalne, że doszło do

niego na komendzie policji. Oprócz wojska i może straży pożarnej to właśnie policja powinna reagować w zorganizowany, sensowny sposób na wszelkie zagrożenia. Czemu jednak właśnie gliniarze dłużej opierali się wirusowi? Przecież on nie wybierał i nie zwlekał z opętaniem mężczyzn w mundurach, z policyjnymi blachami w kieszeniach.

Czyżby więc wiedzieli? Zebrali samochody z okolicznych parkingów, może rekwirowali kluczyki do nich, a może zwyczajnie kradli te wozy i podjeżdżali nimi pod komendę, stosunkowo łatwo budując ten swój mur? Ktoś ich uprzedził, że mają być gotowi? A może nawet zaszczepił? Nie dość skutecznie wprowadzie, niemniej z pewnym powodzeniem.

To by znaczyło, że rząd zdawał sobie sprawę z tego, co nadchodzi. Ktoś musiał wydać rozkazy, dyspozycje. Koniec końców nie zdały się na nic. Ale do pewnego stopnia byli gotowi.

– Wydymali nas – mruknął, podnosząc się znad kolejnego przeszukiwanego trupa. – Najlepsze jest to, że ostatecznie też zostali wydymani.

Na trop odpowiedzi trafił w piwnicy, gdzie znalazł stertę nawet nie tyle ciał, ile kości za ciężkimi drzwiami, które najwyraźniej zdołały oprzeć się atakom. Zamknięto je na klucz, lecz Marek w nadziei na odnalezienie zbrojowni zbierał wszystkie klucze odnajdywane przy zwłokach. W bogatej po godzinie poszukiwań kolekcji odszukał, po długich minutach prób i błędów, klucz otwierający drzwi do piwnicy.

Szybko tego pożałował.

Sądził, że przywykł już do smrodu towarzyszącego rozkładowi, tu jednak odór był intensywniejszy niż

gdziekolwiek indziej. Nawet ponownie naciągnięta na twarz arafatka nie pomogła. Marek musiał wycofać się na schody. Zatrzasnął drzwi, zaczerpnął kilka głębokich wdechów i starając się nie oddychać, wrócił do piwnicy. Wytrzymał tylko kilkanaście sekund, ale to wystarczyło, by wylawiane światłem latarki stosy kości i resztki ciał w mundurach poniewierające się po podłodze podpowiedziały mu, co tu się stało. Czym prędzej opuścił piwnicę i na wszelki wypadek na powrót zamknął drzwi na klucz. A ten, wiedziony dziwnym odruchem, natychmiast wyrzucił.

Policja była przygotowana, a może nie. W piwnicy musiała zamykać pierwszych zarażonych w swoich szeregach. A ci, porzuceni i zapomniani, pozabijali się i pozjadali nawzajem. Obgryzione kości pożartych układano metodycznie na niewielkie stosy. Te, na których wciąż pozostało trochę mięsa, odkładano w innym miejscu. Być może zajmował się tym jeden, najsilniejszy drapieżca, a może zawiązały się tam jakieś koalicje? Marek wolał nie zastanawiać się nad takimi sprawami, chciał pozbyć się obrazu wnętrza policyjnej piwnicy z pamięci, ale nie potrafił. Myśli, niechciane, wstrętne, leżyły się same. Czy to mogło oznaczać, że zarażeni zachowali nieco rozsądku? Potrafili się porozumiewać? A może tworzyli sfory na wzór drapieżnych zwierząt?

I myśl najgorsza: kim ja byłem po Błysku? Działiałem sam? W grupie?

Co się z nią stało?

Nie wychodził po schodach, ale wbiegł po nich. Spojrzał na zegarek zabrany jednemu z trupów parę dni wcześniej. Dysponował całkiem niezłym zestawem odebranych umarłym czasomierzy, bo uznał, że i one mogą stanowić



towar na handel. Starał się wybierać zegarki starego typu, mechaniczne, zdolne do pracy, gdy wyczerpią się ostatnie zapasy baterii. Nie pogardził też jednak kilkoma elektronicznymi chronometrami zaopatrzonymi w dziesiątki gadżetów i zdolnymi wytrzymać, jak mu się zdawało, konfrontację z wodą czy wstrząsami. Na ręce miał akurat jeden z takich cudów, wyświetlane cyfry jaśniały w ciemnościach. Łaził po budynku policji już blisko trzy godziny, a wciąż nie znalazł magazynu broni. Co gorsza, martwi gliniarze też nie byli uzbrojeni. Nie mieli ani pistoletów, ani gazu łzawiącego, ani nawet pałek teleskopowych.

A to musiało oznaczać, że znalazł się w Częstochowie ktoś rozsądny, kto zadbał o to, by się uzbroić. I zapewne nie był sam, skoro zabrał cały ten sprzęt. Marek zastanowił się, czy chciałby go spotkać. Doszedł do wniosku, że nie. Ktoś, kto potrafił planować z wyprzedzeniem i myśleć nie tylko o sobie, ale i o zgromadzeniu wokół siebie ludzi, mógł okazać się niebezpieczny. Z drugiej strony właśnie ktoś taki mógł wiedzieć najwięcej. Koniec świata czy nie, informacja nadal musiała stanowić towar.

Choć rozsądek podpowiadał mu, że ów inny rozsądny człowiek pewnie oczyścił budynek policji ze wszystkiego, co użyteczne, nadzieja kazała Markowi kontynuować poszukiwania. Poddał się dopiero po dwóch kolejnych godzinach. Jedyne, co przydatnego znalazł, to niezła mapa miasta. Na niej odnalazł adres, który siostra na szczęście zapisała w pamiętniku. Spróbował obliczyć w pamięci, ile czasu może mu zająć dotarcie tam na rowerze... Piętnaście minut? Jeśli nie będzie korków – uśmiechnął się krzywo.

Z ulgą opuszczał budynek policji. Oby nie musiał wracać na to cmentarzysko. Poniewczasie docenił starania

dziadygi z Piotrkowa. Tak jest, powinno się to wszystko spalić! Nie tylko trupy, ale i całe budynki, a nawet całe miasta. Jeśli świat trafił szlag, niech zdechną wszystkie ślady po rozbuchanej durnej cywilizacji, która od lat i tak już nie sprawiała wrażenia rozwijającej się w jakimś sensownym kierunku. Wszyscy żyli bardziej z przyzwyczajenia niż dla spełnienia jakiegoś określonego celu. Marek zrozumiał to jeszcze przed Błyskiem, w więzieniu, gdzie sprawy wydawały się prostsze i konkretne, a czasu na rozmyślanie było aż za dużo. W dodatku chłopaki lubili pogadać. I choć większość z nich nie nadawała się na filozofów, przecież potrafili powiedzieć czasem rzeczy, o jakich filozofom pewnie by się nawet nie śniło. Na przykład taki Kruchy, który przysiadł kiedyś przy Marku chwilę po tym, jak sześciu chłopów wymyślało nowe sposoby na uśmiercenie tej suki Małgośki, co długo stanowiło jedną z ich ulubionych form spędzania czasu. Tym razem wpadli na pomysł podłączenia jej łóżka do prądu i długo dyskutowali, jak zmajstrować takie „łóżko elektryczne”, żeby zdechła w nim razem ze swoim gachem.

– Przecież ty tak naprawdę nie chcesz jej zabić – odezwał się Kruchy, po swojemu: cicho, a jednak stanowczo. – Nawet wtedy nie chciałeś.

– Sam już nie wiem.

– Po coś ty się z nią żenił? Kochałeś ją?

– Wtedy? Chyba tak.

– A jak ją tłukłeś młotkiem po głowie?

– To już chyba nie. A może właśnie wtedy kochałem ją najbardziej? Bo wiesz co? Wcześniej to już jakoś między nami było cicho, zimno. Zwyczajnie. No, żyliśmy ze sobą, ale jakoś bez uczuć. Jak ją tłukłem tym młotkiem, to pierwszy raz coś we mnie obudziła. Pierwszy raz znowu

mocno mi na niej zależało.

– Jesteś tak samo popieprzony jak wszyscy – zachichotał Kruchy. – I pieprzysz jak potłuczony. Zmyślasz to wszystko teraz, przyznaj się.

– Zmyślam – przyznał Marek, zaskoczony, bo przed chwilą święcie wierzył w każde swoje słowo. – Pojeb ze mnie, co?

– Nie bardziej niż z nas wszystkich. Nakręcamy się tu. Słuchaj, z tobą było jak z każdym. Trochę żeście się kochali, a potem za bardzo żeście ze sobą żyli, żeby się kochać. Cały świat tak ma. Zapieprza sam nie wie dokąd i sam nie wie po co. Mogłeś sobie podupycić i bez zeniaczki, nie? Laski pewnie leciały na sportowca.

– Leciały. Ale Gośka jakoś tak mną zakręciła...

Przerwali, bo oczywiście wtrącił się Doktorek ze swoją stałą śpiewką, że wszystkie kobiety to suki, sukuby, które nic innego nie robią, jak tylko wysysają z mężczyzn to, co w nich najlepsze. Kruchy przewrócił oczami, Marek mrugnął do niego i pozwolili Doktorkowi się wygadać. Wiedzieli, że jak już zacznie, to nie przestanie, póki nie wyleje całej żółci zalegającej mu na sercu. O ile Marek leczył się z goryczy wobec byłej żony, Doktorek własną goryczą żył, wręcz oddychał nią. Winił żonę nawet za to, że musiał ją zamordować, by odzyskać spokój, a nienawiść do niej przenosił na wszystkie kobiety. Chłopaki nieraz mówili, że jak wyjdzie, to na pewno zaraz rzuci się z nożem na pierwszą napotkaną babę niczym jakiś Kuba Rozpruwacz.

Ciekawe, co się stało z Doktorkiem? Co się stało ze wszystkimi chłopakami? Jeśli Błysk dopadł ich, gdy siedzieli w celach, to pewnie skończyli jak gliniarze z piwnicy. Przetrwał najsilniejszy, który pozjadał

wszystkich innych. A potem i tak zdechł z głodu.

W drodze do domu, w którym Małgośka zamieszkała z jakimś swoim nowym mężem, Marek znów nikogo nie spotkał. Lawirował bez większego trudu między porzuconymi samochodami. Zastanawiał się nad tajemniczym kołesiem – przyjął odruchowo, że musiał to być mężczyzna – który pozbiierał policyjną broń. Czy na tym poprzestał? A może zebrał pod swoim dowództwem wszystkich ocalałych? Marek będzie musiał się z nim spotkać, jeśli zamierza odnaleźć syna.

Pod wskazanym adresem stał jakiś fikuśny, fioletowy nowy budynek wgrzający się niezgrabnie między starsze kamieniczki. Naprzeciwko siebie miał ów kryty basen, w którym czaiła się siostra. Uliczka była, jak większość bocznych częstochowskich ulic, ciasna i niespecjalnie zadbana. Mijając porzucony już dawno budynek, zdaje się jakąś małą fabryczkę, Marek doszedł do wniosku, że wiele polskich miast nie tyle było gotowych na zagładę, ile wręcz jej wyczekiwało. Padały w nich zakłady pracy powstałe w szczęśliwych socjalistycznych czasach, gdy można było produkować byle co i byle jak, a czasem nawet zupełnie bez sensu. Osieroceni po nich pracownicy albo popadali w wieczne bezrobocie, albo próbowali zakładać własne firmy, z których tylko część była w stanie dotrzeć do następnego kryzysu. O ile duże miasta radziły sobie, z tymi mniejszymi bywało kiepsko. Niszczały w nich wielkie, nikomu już niepotrzebne hale produkcyjne, a mieszkańcy albo z nich uciekali, albo – zaciskając pięści – życzyli światu, żeby też posmakował totalnego zniszczenia.

Doczekali się.

Wejścia do budynku strzegły drzwi ze szkła i żelaza.

Marek, wciąż kierowany odruchami z dawnych czasów, rozglądając się, czy ktoś nie nadchodzi, i dopiero po tym roztrzaskał szklaną część siekierą, sięgnął przez wybity otwór, odnalazł klamkę, nacisnął. Udało mu się, trafił na samozatrząskowy mechanizm, który sprawił, że nikomu nie chciało się zamykać drzwi na klucz. Dzięki koleżance z firmy farmaceutycznej, potrafiącej przekonać kobietę z przychodni do złamania wszelkich możliwych przepisów, Marek nie musiał przetrząsać wszystkich klatek i mieszkań, by znaleźć to właściwe. Dysponował dokładnym adresem. Wspiął się na drugie piętro. Sprawdził drzwi, lecz te były zamknięte na klucz, co dało mu trochę nadziei. Oszałeli ludzie raczej nie przejmowali się kluczami. Może więc ktoś zabarykadował się w środku. Dzwonek oczywiście nie działał, Marek zapukał więc do drzwi. Dziwnie delikatnie, ostrożnie, czy to ze strachu, że może kogoś spłoszyć, czy też nie chcąc zaburzać wszechobecnej ciszy. Gdy nikt mu nie odpowiedział, zapukał ponownie, tym razem głośniej. Po piątej próbie po prostu rozwalił zamek siekierą, kopniakiem otworzył drzwi i wbiegł do środka przestraszony, że dzieciak mógłby spróbować uciec przez okno. Miotał się dobrą chwilę po całym mieszkaniu, nim przekonał się ostatecznie, że nikogo w nim nie było. I to raczej od dawna.

Przysiadł na łóżku w pokoju syna. Okno wychodziło na rząd drzew posadzonych ciasno naprzeciwko domu. Na biurku pod nim chłopak poustawiał figurki jakichś herosów, zdaje się z komiksów. Z plakatu na ścianie gapił się na Marka Hulka, zielony i wściekły. Mężczyzna siłował się z nim chwilę na spojrzenia, zastanawiając się, czy przypominał tego potwora, kiedy znajdował się pod wpływem Błysku. Czy takim mogła widzieć go Gośka, gdy

wpadł do mieszkania z młotkiem w ręce, dopadł próbującego wciągać spodnie sąsiada i zaczął go bić? Najpierw w twarz, potem w kolano. Później wykręcił leżącemu rękę, by miażdżyć młotkiem jego palce. Dalej... Już nie pamiętał.

Pokój wydał mu się zaskakująco uporządkowany. To musiał być wpływ szanownego mężusia, bo Małgośka nigdy nie przejawiała ochoty do sprzątanania. Rozpuszczona jedynaczka po tatusiu, właścicielu pięciu aptek, i mamusi prawnicze zrzucała z siebie ciuchy i już ich nie podnosiła, jakby przekonana, że nigdy więcej ich nie założy. Nawet do mycia naczyń musieli zatrudnić gosposię, bo Gośce samo odkręcanie wody wydawało się zbędnym wysiłkiem.

Tak w każdym razie ją teraz wspominał. Kiedy jeszcze byli razem, dostrzegał i inne, lepsze jej cechy. Obecnie nie potrafił przypomnieć sobie żadnej. Poza urodą i tym szczególnym talentem do okręcania sobie mężczyzn wokół palca.

Przetrząsnął mieszkanie w poszukiwaniu zdjęć chłopca. Znalazł tylko jeden album, niestety prawie pusty. Marek pamiętał, że Gośka lubiła robić tysiące zdjęć aparatem przypominającym kształtem i kolorem mydelniczkę, nigdy jednak ich nie wywoływała. Przerzucała je na laptopa i zapominała o nich, albo wysyłała znajomym w sieci przez Naszą Klasę. Teraz, kiedy z miast zniknął prąd, internet pewnie umarł wraz z miliardami fotek i milionami adresów. Ta myśl sprawiła Markowi nieco satysfakcji, nigdy nie przepadał za całą tą inwazją elektroniki. Przynajmniej koniec świata przydał się na coś.

Możliwe, że nowy mąż Gośki okazał się większym tradycjonalistą. Albo album sprezentowała im jakaś ciotka czy inna teściowa. Najważniejsze, że Marek znalazł w nim

zdjęcia syna. Ujrzał najpierw niemowlaka w ramionach tej niewdzięcznej dziwki, jego matki: pyzatego, wyłupiastookiego i – zdaniem Marka – niepodobnego do nikogo. Ojciec przyglądał się gołemu synowi zanurzanemu w plastikowej różowej wanience, potem posiadającemu już ciemny meszek na głowie pędrakowi w drewnianym łódeczku przypominającym więzienie przez rzędy białych krat. Znalazł zdjęcie dwulatka usiłującego pożreć samochodzik i dumnego trzylatka w czymś, co wyglądało na kozuch zrobiony z pomarańczowego pluszaka. Dzieciak stał w namiastce śnieżnej zasy, pośród błota i typowego miejskiego zimowego syfu, ale wyglądał na szczęśliwego.

Dotarł nareszcie do zdjęć najnowszych. Pokazywały chudzielca przyglądającego się fotografowi spode łba. Patryk miał ciemne włosy i oczy. Na wszystkich zdjęciach ganiał w kurtce udającej górę stroju Spider-Mana, tej samej, w której zdjęcie zrobiła mu znajoma siostry. Najwyraźniej niechętnie rozstawał się z wielką lalką przedstawiającą Hulka. Marek spróbował ją potem odnaleźć w jego pokoju, lecz zniknęła. Znowu rozbudziła się w nim nadzieja. Jeśli dzieciak zabrał ze sobą ulubioną zabawkę, to może uciekł, ewakuował się dokądś?

Nagle poczuł głód. Prawda, nie jadł nic od śniadania. Wyrwał najnowsze zdjęcia z albumu. Przeszedł do kuchni. Znalazł tam reklamówkę. Zawinął w nią ostrożnie zdjęcia, po czym schował je do wewnętrznej kieszeni kurtki. Dopiero wtedy sprawdził lodówkę. Była pusta, puściuteńka. Dobrze, to potwierdzało, że mieszkańcy się ewakuowali. Ciekawe, kto okazał się na tyle rozsądny? Mężuś czy może Patryk? Albo w Goście instynkt macierzyński uruchomił jakieś pokłady rozsądku. Podobno ludzie zmieniali się, gdy urodziły im się dzieci, tak kobiety,

jak i mężczyźni. Czy on też się zmienił? Może tak? Przecież łąził za tym obcym gówniarzem, „krew z krwi, kość z kości” – głos siostry nagle zabrzmiał w jego głowie jak żywy, aż rozejrzał się zaskoczony. Szukał szczeniaka, choć nie miało to sensu. Na co mógł mu się przydać dzieciak w takich czasach?

To tylko dodatkowa gęba do wykarmienia. Ktoś, na kogo trzeba będzie uważać, bo szczył pewnie nie uwierzy, że Marek jest jego ojcem.

A jednak. Nie miał poza nim nikogo w martwym świecie. Nawet celu w życiu mu zabrakło, stał się jeszcze jednym zagubionym ocalałym. Nie było pracy, której mógłby szukać, starych kumpli, ani nawet państwa, na które można by się poużalać.

Usiadł na taborecie, zastanawiając się, co teraz robić. Cokolwiek postanowili uciekinierzy, nie zostawili żadnej wiadomości, dokąd się udają. Mogli uciec do Piotrkowa, do starych Małgoški. Marek wyrzucał sobie teraz, że nie sprawdził najpierw tamtej lokalizacji. A jeśli nie? Może wojsko zorganizowało jakiś punkt zbiorczy? Jeśli tak, oby poradziło sobie lepiej niż gliniarze.

Dochodził właśnie do wniosku, że najlepiej będzie urządzić sobie bazę w mieszkaniu Goški, bo to jedyny znany mu punkt, do którego tamci mogli wrócić, kiedy nagle usłyszał bicie dzwonów.



CZĘŚĆ DRUGA

# **Klasztor**

# Rozdział 1

Pod bramą strzeżoną przez anioła uzbrojonego w nastroszone kolce odstrasżające gołębie zebrało się kilkanaście osób. Tworzyły teraz coś w rodzaju kłębiącej się i nieskładnej kolejki ludzi nieprzygotowanych, zdaniem Marka, ani na życie, ani na śmierć. Młodszy przyszli ubrani w dżinsy i T-shirty, starsi zabrali ze sobą swetry i parasole. Kobiety zaopatrzyły się w torebki, mężczyźni nie mieli nawet tego. Jakby wybrali się na popołudniowy spacer do knajpy. Gaworzyli też na podobieństwo tłumu zebranego pod supermarketem, w którym lada moment miała rozpocząć się szczególnie korzystna wyprzedaż pralek. Odzywali się na przemian podniesionymi od emocji i celowo przyciszonymi głosami. Coś tam tłumaczyli sobie nawzajem, przekonywali do swoich racji albo zwyczajnie starali się dowodzić własnej wyższości. Na widok zbliżającego się Marka zamilkli.

Nadchodził szerokimi alejkami biegnącymi pośród rozbuchanej trawy, której nie miał kto ścinać bądź zdeptać. Zsiadł z roweru i prowadził go obok siebie. Nie przybywał główną drogą, na wszelki wypadek objechał wzgórze klasztorne naokoło tknięty dziwnym niepokojem, pewny, że ktoś z klasztoru obserwuje wszystkich tych zebranych.

Może snajper? Kto wie, czy nie tu właśnie zgromadzono broń zrabowaną z komisariatu? Klasztor, widoczny z daleka, od razu wydał się Markowi idealną twierdzą. Aż zsiadł z roweru, by przyjrzeć mu się. Jechał wtedy aleją upstrzoną sklepami i kawiarniami. Przeszukał gnieźdzący się przy niej fast food w poszukiwaniu niepsujących się kurczaków, lecz odkrył, że akurat to miejsce ktoś spenetrował już dokładnie przed nim. Zadumał się przez chwilę pod dziwacznie uformowanym z żelaza posągiem Don Kichota. Nie rozpoznałby go, gdyby nie napis znajdujący się w pobliżu.

By uniknąć jazdy odsłoniętym szerokim podjazdem, skręcił w ulicę na lewo, minął szkołę, której mury zabazgrano graffiti, później musiał tylko zakreślić w prawo i dość łagodnie wyjeżdżając pod górkę, ruszyć ku klasztorowi. Dzwony wciąż biły, miarowo i niespiesznie, ale uparcie. Marek z szacunkiem przyglądał się wysokim murom klasztornym. Przypomniawszy sobie, że kiedyś Szwedzi połamali na nich zęby. Zapewne dałyby sobie radę i z oszalałymi po Błysku. Kiedyś wiedziano, jak budować. Gdyby Marek potrafił przewidzieć Błysk, pewnie powiedziała by siostrze, żeby schowała się właśnie tutaj. Ale kto mógł być jasnowidzem i wpaść na to, że ludzkość zbiorowo oszaleje i rzuci się sobie do gardeł?

Uznał, że zakonnicy mieli mnóstwo szczęścia. Pewnie to oni bili w dzwony. Może wydzielali ocalałym żarcie?

– Ty z daleka? – odezwał się do niego jakiś zarośnięty chudzielec zajmujący miejsce na obrzeżu kolejki. – Wyglądasz, jakbyś z Sybiru wracał.

– To pewnie jeden z tych... – Ośmielona niewysoka kobieta o ciemnych kręconych włosach wyszła przed szereg. Oczy miała brązowe, wielkie i przekrwione, usta

dziwnie krzywe, jakby zbyt długo uśmiechała się tylko w jedną stronę i już jej tak zostało. – Prepers!

Marek nie znał tego słowa, nie wiedział więc, czy powinien się obrazić, czy wręcz przeciwnie. Wydawało mu się, że tubylcy przyglądali mu się raczej niechętnie. Rozumiał ich. Pewnie się znali, a on był obcy. I mógł chcieć rywalizować z nimi o żarcie.

– Niech będzie pochwalony – zaryzykował. Mógłby dać po mordzie chudemu, ale przecież nie będzie bił się z całą grupą. Pewnie wystraszyliby się, gdyby pogroził im siekierką albo choćby i nożem, po co jednak robić sobie wrogów na początek. – Dzwony mnie tu przyciągnęły.

– Po to w nie biją – nie straciła rezonu kręcona. – A ty co, z lasu wylazłeś? Dawno odzyskałeś świadomość?

– Z sześć dni temu.

– To żeś długo berserczał...

– Co?

– Gadałeś z kimś?

Pokręcił głową.

– Znajdowałem tylko trupy. Pojechałem do was na policję, ale tam... Też tylko trupy.

– Gliny się okopały. – Zza kręconej wyjrzał niewysoki, właściwie mały mężczyzna o szczurzych oczach. Wyglądał jak chuchro, ale Marek odruchowo zjeżył się na jego widok. To musiał być jeden z tych, co tylko szykują się, żeby wbić człowiekowi nóż w plecy. A przyparci do muru stają się naprawdę niebezpieczni. – Skurwysyny. Nie chciały ludzi wpuszczać. Nawet tych, co jeszcze byli zdrowi. Wiem, bo próbowałem. – Splunął. – Ale i tak zdechli.

– To się nazywa berserk – tłumaczyła kręcona, nie zwracając uwagi na szczurzego. Z każdą chwilą wydawała się Markowi coraz atrakcyjniejsza, może przez tę

zadziorność w głosie? A najpewniej dlatego, że nie miał kobiety od dziewięciu lat. W jakim mogła być wieku? Przed czterdziestką, chyba. Zaimponowała mu, że nie wymalowała się jak pod latarnię, tak jak kobiety, które widywał po drodze. Poczuł, jak rosnąć w nim podniecenie i niecierpliwość, i spróbował je stłumić. Nie czas teraz na podrywy. – Tak mówili w telewizji, jeszcze zanim wszystko jebło. Berserk. Nie słyszałeś?

– Nie oglądałem za wiele telewizji.

– I radia nie słuchałeś, i internetu nie ogarniałeś. – Kręcona pokiwała głową. – Mówiłam, prepers. Pewnie siedział w jakiejś jamie w lesie i żarł korzonki. Jeden mój były próbował być prepersem, więc wiem. Śmiałam się z niego, ale wychodzi na to, że to wariaci mieli rację.

– Spotkałem jednego zarażonego. – Teraz Marek zaryzykował, by sprawdzić ich reakcję. Spodobała mu się. Aż się cofnęli. „Kiedy? Gdzie? Daleko?” – zaczęli krzyczeć jeden przez drugiego.

– Parę dni temu. Daleko.

– Uciekłeś mu na rowerze? – zgadywał chudy.

– Dałem mu po mordzie i skopałem.

Dopiero teraz zrobił na nich wrażenie! Kręcona pobladła. Szczurowaty splunął, odwrócił wzrok, na powrót schował się za babą. Pozostali pospuszczali oczy.

„A, tu was mam! – ucieszył się. – Tchórze, niedorajdy! Sami pewnie dalibyście się pozagryzać”.

– Szukam syna – oznajmił stanowczo, korzystając z okazji. – Patryk. Mam zdjęcie. Może go znacie?

Nikt mu nie odpowiedział. Nie podnosili głów, pozaciskali usta.

– Co jest? – Wyciągnął z kieszeni zdjęcie, podszedł do chuderlawego i wcisnął mu je przed oczy. – Patryk.

Mieszka w Częstochowie. Znasz go? Widziałeś?

– Dzieci nie ma. – Tamten aż cofnął się o krok. Nawet nie chciał spojrzeć na zdjęcie.

– Jak to: nie ma?

– Zniknęły – zebrała się na odwagę kręcona. – Jeszcze przed berserkiem. Zanim się to wszystko zaczęło. Jednej nocy, w całym mieście. Uciekły. Czuły, że będzie źle.

– Wszystkie dzieci? – nie uwierzył.

– Zwoływały się przez internet – bąknął chuderlawy. – Tak słyszałem. Widziałeś jakieś trupy dzieci po drodze?

Marek próbował sobie przypomnieć. Widział? Nie zwrócił dotąd na to uwagi. Chyba nie. Rzeczywiście, na ulicach i w domach zalegały głównie ciała dorosłych. Dziwne, że ani przez chwilę się nad tym nie zastanowił. Gdzie mogły przepaść dzieci? Może zginęły wszystkie jako ci najslabsi? Ale czy to możliwe, że były zabijane na bezdrożach, z dala od miast?

– Wszystkie uciekły? – zapytał.

Chuderlawy właśnie rozwierał blade, wąskie usta, by coś odpowiedzieć, ale przerwał, bo w tym momencie dzwony zamilkły. Wszyscy jak jeden mąż odwrócili się ku bramie, tracąc zainteresowanie Markiem. Ten zaś, rozumiejąc, że teraz odpowiedzi musiałby wyciągać z nich siłą, jak i to, że zaraz powinno zacząć dziać się coś interesującego, nie pytał więcej.

Nie czekał długo. Ktoś, kogo widok zasłaniali Markowi ludzie, nadszedł od strony klasztoru. Zazgrzytał przekręcany w zamku klucz, zaskrzypiały zbyt długo nieoliwione zawiasy i w końcu brama stanęła otworem. Inaczej jednak niż w przypadku szturmów na promocje, tu nikt nie wyrwał się do przodu. Wszyscy czekali cierpliwie z pochylonymi głowami, aż furtian odezwał się wreszcie

z wyraźną niechęcią:

– Można włązić.

Nawet wtedy oczekujący nie zerwali się, lecz ruszyli przed siebie powoli, drobiąc kroki, jakby wcale nie spieszyło im się do środka. Po co tu przyłazili, pozostawało wobec tego dla Marka tajemnicą. Może im kazano? Kto jednak miał nad nimi taką władzę i w jaki sposób ją zdobył? Przecież żadni zakonnicy nie patrolowali ulic, wyłapując na nich ludzi. Wszyscy przyszli tu z własnej woli.

Zaczął ich rozumieć, kiedy mijał furtiana, ponurego typu o nieogolonej gębie i nieprzyjemnym spojrzeniu.

– Ty! – Furtian złapał go za ramię i zatrzymał. – Ciebie nie znam. Skądżeś przyłazł?

– Jestem prepersem. – Marek uśmiechnął się lekko a krzywo. – Z lasu.

– Po co ci tyle sprzętu? To dom Boży, a nie pustynia.

– Przyszedłem prosto z drogi.

– Zostaw to wszystko przed bramą.

– Nie.

– Nie? Takiś kozak?

– Taki jestem przywiązany do swoich rzeczy. Rozumiesz, sentymentalny ze mnie człek. Aż się pocę na samą myśl, że mógłbym ich tu nie znaleźć po powrocie.

– A kto ci to niby rąbnie? – Furtian kopnął lekceważąco koło roweru. – Cykliści zombie? Kurwa, człowieku, tu prawie wszyscy nie żyją. Zresztą w sklepach sprzętu leży od cholery.

– Może i tak. Ale ten jest mój. Przywiązałem się do niego.

– No to spieprzaj – wydawało się, że furtian powiedział to bez złości, ale pchnął Marka mocno. Położył przy tym drugą rękę na kierownicy roweru. Szarpnął. I zaraz jęknął

boleśnie i zatoczył się pod ścianę, gdy otrzymał lewy prosty na gębę. Teraz to Marek ruszył na niego, korzystając, że tamten uniósł obie dłonie do złamanego nosa. Rower upadł na ziemię, lecz nim jeszcze gruchnął o kamienie, Marek poczęstował furtiana hakiem z lewej. Zaraz podciął go, a kiedy przeciwnik próbował złapać równowagę, trzasnął go jeszcze raz w gębę, żeby pomóc sile ciężenia. Gdyby to miała być walka fair, Marek mógłby się teraz odsunąć. Zamiast tego kopnął próbującego wstać furtiana, aż tamtemu zatrzeszczały zębra.

– Leż! – warknął, a gdy uznał, że pokonany raczej zamierza go posłuchać, obejrzał się, by sprawdzić, czy nikt nie nadciąga pobitemu z odsieczą.

Na razie nie musiał się o to martwić. Ludzie przyglądali mu się ze zgrozą. Co to za miasto ta Częstochowa? Nigdy nie widzieli tu bójki? A może pomyśleli, że Błysk znowu go dopadł?

– Nie ma się czego bać – sapnął, usiłując uspokoić oddech. – Sam nigdy nie zaczynam. Ale ta szuja próbowała mi zabrać rower. Moje jest moje. Zapamiętajcie.

Podniósł rower. Otrzepał sakwy z kurzu. Spojrzał na furtiana. Ten pozbierał się z ziemi, oparł o mur i siedział tak, przyglądając się Markowi bez słowa. Być może to rozbita warga napuchła mu dziwnie, ale wydawało się, że na twarzy zakwitł mu krzywy uśmiech.

„No tak, nie jest tu sam – uświadomił sobie Marek. – Czeka na pomoc”.

Powinien pomyśleć nad ucieczką, skoro jednak dotarł aż tutaj, nie miał ochoty opuszczać klasztoru, nim nie dowie się czegoś więcej o Częstochowie i reszcie świata.

Usłyszał tupot ciężkich, twardych podeszew, zapewne policyjnych albo wojskowych butów, na kamiennej drodze.



Ci, którzy czekali na wpuszczenie do klasztoru, rozpierzchli się, by ustąpić miejsca nadciągającym posiłkom. Marek przyjrzał się trzem mężczyznom sadzącym solidne susy, choć pewnie niewygodnie było im w białych habitach. Nie wyglądali na ułomków. Jeśli stanie okoniem, dobrze się to nie skończy. Ale jak mawiał Kruchy: „jak cię biją, tak cię piszą”. Lepiej skończyć poobijanym, a może nawet i połamanym, lecz pokazać, że ma się jaja, niż zostać uznanym za łajzę, z którą nikt się nie liczy.

Zważył w myślach szanse, oparł rower o ścianę i sięgnął po siekierkę.

## Rozdział 2

– Potrzeba nam takich jak ty – rzekł brat Szymon, wysoki mężczyzna, dobrze po sześćdziesiątce, chudy i żyłasty, siwy i na głowie, i na brodzie. Ubrany w biały habit siedział sztywno w fotelu, opierając łokcie o blat biurka wyglądającego na starsze niż świat. Spod białych nastroszonych brwi spoglądały na Marka brązowe oczy pełne troski. – Takich, którym nie zwiędły serca, którym berserk nie wykastrował duszy.

Rozmawiali w niewielkiej ciemnej salce zaopatrzonej jedynie w jedno wąskie okienko, umieszczone zresztą wysoko, tak że światło padało punktowo na ścianę, ponad głowami stojących przy drzwiach mężczyzn. Marek dał się tu zaciągnąć, gdy do pierwszych trzech „zakonników” dołączyło jeszcze dwóch kolejnych. Początkowo radził sobie nieźle, bo tamci byli wyraźnie zaskoczeni śmiesznym pomysłem stawiania im oporu. Szybko jednak pogodzili się z faktem, że tym razem spotkali nie pokorną owieczkę, lecz wkurzonego, upartego barana. I spuścili Markowi łomot, jakiego nie zaznał chyba od podstawówki, gdy odważył się oznajmić zdumionym drągalom w białych T-shirtach, że Legia nadaje się najwyżej do wdeptania w glebę przez lepszych od siebie, czyli resztę ligi.

„Zakonnicy” posadzili go siłą na fotelisku ukradzionym chyba jakiemuś biskupowi, bo wielkim i ozdobnym. Dwóch stało za jego plecami, dwóch po bokach. Zaimponowałyby mu to, gdyby nie czuł się dotkliwie obolały. Jeszcze raz sprawdził koniuszkiem języka zęby. Dwa się chwiały, jeden wydał się Markowi ukruszony. Ciekawe, czy w świecie po Błysku przeżyli jacyś dentyści? O ile znał swoje szczęście, pewnie żaden.

– Mówisz o tych spod bramy? – odezwał się, jak miał nadzieję, twardo, zawadiacko. Żeby przypomnieć im, z kim mają do czynienia. – Tych cichych i pokornych? Myślałem, że to oni odziedziczą ziemię.

– Świat nie dobiegł końca. – Brat Szymon powstrzymał gestem jednego z ochroniarzy, któremu odpowiedź Marka wydała się zbyt bezczelna. – Cokolwiek by mówiono. Co ty w ogóle wiesz o berserku?

– Wszyscy zwariowaliśmy i pozabijaliśmy się nawzajem. Nie ma niewinnych, ziemię odziedziczyli mordercy. Zdaje się, że niewielu. Słuchaj pan...

– Bracie – poprawił Szymon.

– Bracie – skinął głową Marek. – Ty mi, bracie, nawet wyglądasz na zakonnika. Ale ci twoi braciszkwowie to już jakby mniej.

– Żaden z nas nie służył Panu przed berserkiem. Dopiero potem odnaleźliśmy w Bogu nadzieję i siłę. Widzę, że ty niewiele wiesz. Posłuchaj zatem. Tak, ludzie oszaleli i rzucili się sobie do gardeł. Czemu? Wyjaśnień powstało dziesiątki, ale tylko jedno jest prawdziwe. Boga znużyła nasza grzeszność. Sam wiesz: pycha, odchodzenie od wiary i jej świętych zaleceń, bałwochwalstwo, folgowanie sobie na wszelkie sposoby, triumfy fałszywych proroków... Więcej było na świecie zepsucia niż w Sodomie i Gomorze. Niczego

się nie nauczyliśmy, nasz Pan powtórzył więc lekcję Sodomy i potopu. Ale że byliśmy tępi, zrobił to na mocniejszy, wyrazistszy sposób. By ukrócić naszą pychę, odebrał nam pewność, żeśmy panami stworzenia. Zmienił nas w zwierzęta. Nawet gorzej, w bestie. Bezmyślne, pozbawione choćby instynktu. Może nawet na jakiś czas odebrał nam dusze?

– Na jak długo?

– Tak do końca nikt nie wie. Około miesiąca. Może trochę dłużej. Ale Ziemia została oczyszczona.

– I zostali na niej sami sprawiedliwi?

– Nie. To jednak inne czasy niż potopowe. Może święci właśnie zginęli i poszli do nieba, a ocaleliśmy my, grzesznicy, którym dano nową szansę na zbawienie? Ważne, że przetrwaliśmy i nauczyliśmy się pokory wobec Boga. Niestety, nie wszyscy się ocknęli.

– Ci, którzy przyszli tutaj, wyglądali mi na przekonanych.

– Oni... – Szymon złożył dłonie, oparł na nich brodę, jakby modląc się przez chwilę. Gdy znów spojrział na Marka, w jego oczach widać było tylko smutek. – Większość ludzi źle zrozumiała lekcję Pana. Boją się jakiegokolwiek inicjatywy, brzydzą się przemocą. Nikt nie pamięta, co robił podczas berserka, ale w każdym z nas zachowało się mgliste wspomnienie szalonej, dzikiej przemocy. I większość ludzi nie potrafi go przewyciężyć. Stracili przez to ducha. Udając, że wyrzekają się przemocy, tak naprawdę uciekli od jakiegokolwiek aktywności. Siedzą w pustych domach, teraz każdy może mieć dla siebie kilka kamienic. Wychodzą czasem nabrać żarcia z pełnych sklepów. Niektórzy na początku wynosili telewizory, na które wcześniej ich nie było stać, choć nie ma już ani

elektryczności, ani żadnego programu, który mogliby oglądać. Wegetują, a nie żyją. Naszym zadaniem jest ich obudzić.

– Więc walicie w dzwony.

– Przyzywamy zagubionych. Pan nie oczyścił Ziemi, byśmy na niej umarli, lecz byśmy zbudowali na niej lepszy świat.

– A co z: „Królestwo moje nie jest z tego świata”?

– Żeby tam dotrzeć, należy żyć cnotliwie. Zepsuta, swawolna cywilizacja nie pomagała, tylko przeszkadzała w zbawieniu. Och, nadal jesteśmy grzeszni. I będziemy, jak nauczał święty Paweł. Lecz istotą nowego, lepszego świata jest walka z grzechem, a nie rzucanie mu się w ramiona. No, dość już tej teologii. – Usta brata Szymona wykrzywiły się w czymś, co mogłoby być życzliwym uśmiechem, gdyby sięgał on wzroku. – Ty jesteś inny. Może nazbyt brutalny, ale na pewno nie można odmówić ci ducha. Czemu tu przyszedłeś?

– Usłyszałem dzwony. Pomyślałem, że może bije w nie ten, kto tu rządzi.

– Rządzi?

– Jadę tu z Piotrkowa, bracie. Wszędzie widziałem głównie trupy i nieład. Czasem ktoś palił zwłoki, żeby zapobiec zarazie, ale to był szczyt możliwości organizacyjnych, jakie napotkałem. A w Częstochowie ktoś dokładnie oczyścił wasz wielgachny komisariat z broni. Pomyślałem, że chętnie poznałbym tego gościa.

– Bo?

„Bo chciałbym mu zadać parę pytań” – prawie odpowiedział Marek, ale zawahał się. Nie pierwszy raz przesłuchiwał go śledczy udający życzliwego. Choć po aresztowaniu Marek nie zamierzał niczego ukrywać ani

kręcić, gliniarze maglowali go na różne sposoby chyba dla praktyki. Trafiali się tacy, którzy uważali, że wrzask jest najlepszą metodą na dotarcie do zatrzymanego, i inni – zmęczeni, całą mową ciała pokazujący, że chcą mieć to wszystko już za sobą, a także fałszywi kumple udający, że rozumieją, co to znaczy nakryć żonę z sąsiadem, gdy człowiek wraca zmordowany z roboty i chciałby tylko usiąść w kuchni przy kawie albo piwie, wymienić parę zwyczajowych zdań i pogapić się na swoją kobietę, bo to kojący widok. Wszyscy kłamali.

No i wciąż pamiętał te dziwne spojrzenia, gdy zapytał o dzieci.

– Sam zdechnę – odpowiedział więc. – Nie dziś. Nie za miesiąc. Ale zapasy w sklepach się skończą. Potem nadejdzie jesień. A po niej zima. Nie będzie ciepłych kaloryferów i pizzerii. Ludzie, nieważne co myślą teraz, zaczną walczyć o żarcie. Samotni zostaną zgnieceni pierwsi. Nie chcę być samotny. Jeśli jednak mam się do kogoś przyłączyć, niech to będzie ktoś rozsądny.

– Być może dobrze trafiłeś... – szepnął brat Szymon. – Przekonamy się. Posłuchaj, ci, którzy do nas przychodzą, mają nadzieję na odmianę swego losu. Nie każdemu dajemy szansę, bo nie każdy jest powołany do służenia Panu. Być może tobie się poszczęści. Bracia odprowadzą cię do bazyliki, byś tam w modlitwie odnalazł spokój. Wybacz tę eskortę, ale zrobiłeś na nas wrażenie.

– Co z moimi rzeczami?

– Mówiono mi, że nadmiernie się o nie troszczysz. To wszystko marność, nie wiesz o tym?

– Może i marność, ale moja.

– Przywiązanie do dóbr doczesnych to słabość, czyli grzech. Jeśli przystąpisz do naszego zgromadzenia,

będziesz musiał pogodzić się z tym, że wszystko u nas jest wspólne. Ale jeśli okażesz się niegodny albo nie zechcesz z nami pozostać, wszystko zostanie ci zwrócone. Może nawet dostaniesz coś na drogę?

– Tak. Kopa – szepnął jeden z „zakonników” zza pleców Marka. Zbyt głośno.

Nikt się nie roześmiał.

– Bracie Adamie. – Spojrzenie Szymona stało się nareszcie szczere, bo twarde. – Zgrzeszyłeś. Zgłosisz się do brata Krzysztofa z informacją, że wyznaczyłem ci dziś noc pokuty.

– Przepraszam, bracie! – w głosie Adama zabrzmiał strach. – To dlatego, że ta wesz złamała mi nos! Boli!

– Dwie noce pokuty, bracie Adamie.

– Tak jest. Przepraszam.

– Nie mnie zawiniłeś, lecz Bogu. I naszemu gościowi. Boga przebłagasz pokutą. Gościa... Jak właściwie masz na imię, bracie?

– Marek.

– Dobrze, ewangeliczne imię. Zatem brata Marka przeproś, bracie Adamie, teraz.

– Przepraszam, bracie – ukorzył się Adam, aż mu zęby zazgrzytały ze szczerej skruchy. – Nie wiedziałem, co czynię.

– Rozumiem, bracie, i wybaczam. – Marek odwrócił się ku Adamowi, by ujrzeć ciemnowłosego dryblasa o szczęce zarośniętej kępkami włosów daremnie udających brodę. Mrugnął do niego. – I ja proszę o wybaczenie. Niepotrzebnie tak się uniosłem tam, przy bramie.

Gdy znów skierował wzrok na Szymona, odruchowo naprężył mięśnie. W spojrzeniu starszego zakonnika nie było świętości. Jedynie zimna furia i coś w rodzaju bardzo

nieprzyjemnej obietnicy. Marek zrozumiał, że jeśli zostanie w klasztorze, też może oczekiwać pokuty. Czymkolwiek by nie była.

– Chrześcijańska pokora i przebaczenie. – Szymon prędko doszedł do siebie i znów się uśmiechnął. – To cnoty. Wybacz, bracie Marku, ale czekają mnie ważne sprawy. Mam nadzieję, że zobaczymy się jeszcze.

Nie pozwolili mu wstać, lecz poderwali go z fotela i siłą wyciągnęli na zewnątrz.

– Jeszcze pogadamy, cwaniaku! – warknął Adam, z którego chrześcijańska pokora wyparowywała tym szybciej, im bardziej oddalali się od siedziby Szymona. – Sam na sam pogadamy.

– Aha, znam takie „sam na sam”. Dwóch będzie mnie trzymać, gdy ty będziesz mnie „sam na sam” tłukł, bohaterze? Jak tam, pod bramą?

Zarobił za to kuksańca w obolałe zebra.

– Opuść, nowy – poradził mu nieco mniej bojowy braciszek, podtrzymujący go za lewe ramię. – Już wiemy, że jesteś kozak. Pewnie tu zostaniesz. Po co robić sobie wrogów?

– Bo mnie jakoś mało przekonały wasze wyrazy przyjaźni. Wiesz, te wyrażane pięściami.

– Trzeba było nie zaczynać.

– Trzeba mi było nie zabierać roweru. Zresztą... Nieważne. Ty mi lepiej powiedz, jak to jest, że cały świat nawrócił się na pacyfizm, a akurat w Częstochowie zebrała się banda zakapiorów?

– To nie tak – pokręcił głową ten z lewej. – Byliśmy puści, słabi jak inni. Ale Ojciec wysłuchał naszych spowiedzi i pobłogosławił nam. I żeśmy się pobudzili. Jak będziesz miał szczęście, sam zobaczysz.



## Rozdział 3

Wewnątrz bazyliki Marek spotkał wszystkich tych, których widział pod bramą. Siedzieli jednak osobno, każdy w swojej ławie i udawali, że nie dostrzegają pozostałych. Jedni zatrzymali się w półukłęk, opierając kolana o specjalne klęczniki, a pośladki o ławki, inni klęczeli na podłodze lub po prostu siedzieli. Każdy modlił się zapamiętane, albo jeszcze zapamiętałej rozmodlonego udawał. Ci, którzy odważyli się podejść bliżej ołtarza, niemal wyłącznie klęczeli, opierając się tylko czasem o porozstawiane tam krzesła. Popołudniowe światło wlewające się dostojnie z góry przez wysokie okna muskało ściany ciepłym dotykiem dodającym szarym i brązowym marmurom godności, ale i blasku. Złote elementy zdawały się puchnąć od tych zmęczonych promieni słońca charakterystycznych dla dnia szykującego się do zmierzchu.

Światło mogło liczyć na wsparcie dziesiątek świec, wielkich i małych, porozkładanych w całym kościele, co ciekawe jednak, unikających okolic ołtarza, gdzie w półmroku ledwie majaczyły kształty Cudownego Obrazu.

W tym jednym miejscu zapachy świec i kadzideł zwyciężały nad słodkawym odorem rozkładu rządzącą w reszcie miasta. Marek, zapewne jak i inni, przestał już

zwracać na nią uwagę; towarzyszyła mu wszak przez całą drogę. Dopiero świątynne wonie uświadomiły mu, że świat może pachnieć inaczej. Nie trupem, a świętością.

Ochroniarze porzucili go zaraz na progu. Odnalazł własną ławę, przysiadł w niej. Rozglądął się. Poszukał wzrokiem chudzielca, który wydawał mu się najchętniej rozmawiającym pod bramą. Nie tak zaleźnionym jak kurdupel i nie tak bojowo nastawionym jak kręcona, z którą zresztą na razie wolał się nie zadawać, bo nie wiedział, czy zapanowałyby nad sobą. Nim jednak spróbował zagadać, ukląkł, pochylił głowę i pomodlił się. Trochę tak, jak uczyła go babcia, gdy był jeszcze smykiem niezdającym sobie sprawy, że spędzi część życia zamknięty za usiłowanie zabójstwa, a trochę tak, jak uczył go ksiądz rozbijający swymi wizytami więzienną nudę. Użył więc słów modlitw, których do końca nie rozumiał, lecz które zapamiętał na podobieństwo części wierszyków wkuwanych w szkole. A potem skorzystał ze słów własnych, może mniej pięknych i nie tak zgrabnie poukładanych, ale tworzących zdania mające dla Marka sens.

Modlił się wyłącznie za siostrę i syna. Nie przeproszał, nie prosił o wsparcie dla siebie. Choć księżulo ganił go, że nie wyrzeka się pychy, Marek chciał zawdzięczać wszystko wyłącznie sobie. Nie zamierzał się zadłużać ani u ludzi, ani u Boga. Jeśli mu coś nie wyjdzie, tylko on sam będzie temu winien.

Dlatego nie ukrywał nic przed gliniarzami, gdy przyszli do niego, by następnie wydzierać nań mordy, apelować do jego znudzonego człowieczeństwa albo łasić się. Powiedział, jak było: szlag go trafił, więc zszedł po młotek. Nie myślał wtedy, jedynie czuł. Jakby słońce rozpalało go od środka.

„Jezu! – westchnął później adwokat. – Czemuś pan to wszystko mówił? Czemuś pan nie milczał, póki nie przyjdę?”. „Bo to właśnie zrobiłem” – odparł.

I nikt nie miał nic do owego czynu. Ani do tego, że został popełniony, ani że został spartaczony.

Przeżegnał się, podniósł z kolan. Żał mu było, że nie mógł zobaczyć Cudownego Obrazu, ale nie chciał pchać się na sam przód. Nie widział go wcześniej, bo też mimo namów siostry nie odwiedził nigdy Jasnej Góry. Może gdyby postawili pod murami replikę słynnej kolumbryny, a na murach figurę Kmicica grzmiącego z dział do Szwedów, znalazłby tu coś interesującego. Ale zanim poszedł siedzieć, nic go nie obchodziły cudowne malunki i Bóg też niezbyt go interesował.

Podszedł do chudzielca, usiadł obok niego. Facet szarpnął głową wyraźnie przestraszony, lecz nic nie powiedział. Dalej udawał, że się modli. Pochylił niżej głowę, wbił wzrok w podłogę, na której brązowe ośmiokąty budowały ład z czarnymi kwadratami. Człowiek mógł znaleźć w ich układzie ukojenie, pod warunkiem że nie był akurat przerażony.

– Cześć. – Marek wyciągnął rękę do sąsiada. – Jestem Marek.

– Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego! – fuknął chudzielec.

– Czemu nie? Przyszliśmy tu obaj, żeby wstąpić do zakonu, prawda?

– Ty do zakonu! Widziałem, co potrafisz!

– Potrafię się przedstawić, na przykład. Też tak umiesz? No! – trącił go wciąż wyciągniętą dłonią. – Podróżnego nie chcesz w dom przyjąć? Urazy chętnie darować? Strapionego pocieszyć? Jestem Marek, a ty?

– Co ty mi tu z katechizmem wyjeżdżasz... – zachnął się chudzielec. Westchnął. Wyciągnął rękę, wymienili uściski: Marka stanowczy, ale nie za silny, tamtego zalekniony. – Jacek. Jacek Dymagała. Idź sobie, co?

– Pójdę, jak powiesz mi, co chcę wiedzieć.

– W cnotliwych uczynkach nie ma nic o zaspokajaniu ciekawości!

– W miłosiernych, nie cnotliwych, panie wierny katoliku. I napisali tam: „spragnionego napoić”. A ja jestem spragniony wiedzy. Mów, co wiesz. Jesteś z Częstochowy?

– Tak. Ty nie?

– Ja nie.

– A skąd?

– Skądinąd. Ci tutaj skąd się wzięli?

– Tego nikt nie wie. – Jacek nadspodziewanie się ożywił, zaczął mówić chętniej, a przy tym szybciej i głośniej. – Wszyscy się zastanawiają. Bo zakonnicy to się chyba powybijali jak wszyscy. No i porozłazili. Można było wcześniej znaleźć ich ciała po mieście, ale teraz zniknęły.

– Jak to zniknęły? Wstały i poszły sobie?

– No nie... Chyba... – Jacek przeżegnał się odruchowo. – Po prostu były i nie ma. A innymi mało kto się przejmował, bo wielu nas tu nie zostało.

– Ktoś je pozbiierał, tak? Ale nie wiesz kto?

– Nikt nie wie. Przecież ludzie, jak się już przekonali, że nic sobie złego nie robią, zaczęli rozmawiać. No i ktoś wymyślił, żeby pójść do klasztoru. Poszedł, ale zastał drzwi zatrzaśnięte. I jeszcze go kamieniami obrzucili i krzyczeli, żeby nie wracał, bo zabijają.

– Kto? Zakonnicy? Starzy? Nowi?

– Nie wiem. To taka... No więc tego gościa nie widziałem. Jadzka gadała z gościem, który z nim gadał. Ale ten gość

uciekł z miasta. Nie chciał tu zostać.

– Czeka! Jaka Jadzka?

– No ta... – Jacek skinął głową w kierunku kręconej. – Jadzka. Nie wiem, jak się nazywa. Myśmy się wszyscy dopiero po berserku poznali. Niby Częstochowa to nie jest wielkie miasto, ale człowiek z człowiekiem, żeby się spotkał, to się najpierw musi reszta ludzkości pozabijać. Znaczy... – nieśmiały uśmiech prędko zgasł mu na twarzy – ...Bóg tak chciał, oczywiście.

– Dobra. Był facet, ale go nie ma. Co dalej?

– Dalej to myśmy tu nie łazili. Każdy się trzymał swojego kąta, rozumiesz. Aż dzwony zaczęły bić.

– Kiedy?

– Jakiś tydzień temu. Może trochę więcej. Z dziewięć dni.

– To wyście już tyle przytomni?

– Ja to nawet dłużej! – Uśmiech znów zamigotał i zgasł. – Dwa tygodnie chodzę po ziemi, człowieku! Jak się obudziłem, to jeszcze ludzie w berserku ganią! Co się naoglądałem! Cud, że przeżyłem, bo ci, gdy tylko mnie zobaczyli, od razu chcieli mi się do gardła rzucić! Zamknąłem się w takiej jednej pizzerii, co ma drzwi mocne i piwnice długie jak lochy. Nie dopadli mnie tam. Ale przez trzy dni żarłem tylko paluszki i chipsy. Za to co piwa wypłem, to moje.

– Po co tu chodzicie? Ma ktoś coś z tego? Dają wam jeść, czy co?

– A co to za mecyje znaleźć coś do żarcia? Sklepy są pełne! Nie, przychodzimy tu, bo... Jak by to powiedzieć. Słuchaj, tu jest inaczej. Bezpiecznie. I człowiek się inny robi, jak się wypowiada, a Ojciec go pobłogosławi. Sam widziałeś. Jakaś śmiałość wtedy w ludzi wstępuje. Z tych, co tu są, tydzień temu paru bało się choć słowo powiedzieć.

Taki Adam, był drugi po mnie, co się ocknął. Zgadaliśmy się, ale ja musiałem się do niego z ulicy drzeć, bo się bał z domu wyjść. Czemu trudno się dziwić, nie? Też swoje widział. A teraz zobacz go, jaki kozak!

– I ty byś chciał jak on?

– Nie widziałeś nikogo w berserku, co?

– Jednego widziałem.

– Jednego! – prychnął Jacek. – Jeden to nic! Jakbyś pijanego świra spotkał. Ale zobacz ich, chłopie, całą ulicę, jak leżą, żeby nagle rzucić się na siebie nawzajem i szarpać. Albo sforę ścigającą innego, samotnego berserka. Tego widoku nie można zapomnieć! To nie jakieś zombie, co tylko rzeżą i kręcą głowami. To, rozumiesz, ludzie, ale jak zwierzęta. Chcą cię tylko zabić, ale jakoś tam myślą. Potrafili drabiny podstawiać pod okna, żeby sprawdzać mieszkania. Sam widziałem! A wszystko w ciszy, chyba że się sfora nawoływała...

Przerwał.

– Jak mnie gonili, to właśnie tak, w milczeniu. Rozumiesz, nie wiedziałem, co się dzieje. Jak się budzisz, to nie jak ze snu, że jeszcze pamiętasz. Tu w sekundę zapominasz o wszystkim, co się działo. Pamiętasz to, co przedtem. Że stałeś w kolejce po lody. Z dziewczyną. Ona ci wkładała dłoń do tylnej kieszeni, na pośladek. Taka trochę suka, ale chciała mnie, rozumiesz? Nie wyglądałem wtedy jak teraz. Nieważne. No więc stoisz po te lody z jej ręką na dupie, ona się złości, że nie ma jakichś tam gruszkowych, bo ona się ciągle złościła. O byle co. I nagle otwierasz oczy, a tu jej nie ma, tylko ulica, ta sama jakimś cudem. Ale robi się już ciemno. Żadnych świateł i tylko cisza. A ty czujesz ból, jakbyś przez tydzień biegał. I nie wiesz, co się dzieje. I wtedy jakiś facet wstaje z ziemi, bo rozumiesz siedział na

środku ulicy, i się na ciebie gapi. Nie jak człowiek, ale jak jakiś wilk. Pociąga nosem, jakby wąchał. I ja już nie myślałem, tylko rzuciłem się do ucieczki. Odruchowo, w stronę domu, bo ja przy Worcella mieszkam. Wiesz, gdzie to?

– Pojęcia nie mam.

– No tak, skąd możesz wiedzieć. Ale ja zapieprzałem Kościuszki, bo się akurat pod kinem ocknąłem, a tamten za mną. I nic, bez słowa czy warknięcia. Oglądam się za siebie, a tam się, jak jakieś cienie, w ciszy podnoszą następni i dawaj za mną! To już wiedziałem, że do domu nie dobiegnę. Za daleko. Zdechnę. Wiem, że zdechnę, bo nogi mam jak z kamienia. No i przypominam sobie, że tu zaraz jest Szuflada, a tam pewnie będą dobrzy ludzie. Może znajomi. Wpadłem, drzwi jakimś cudem otwarte. Ale w środku nikogo. Nie myślałem, tylko pognałem schodami w dół. Tam ciemno, że oko wykol, lecz ja to miejsce znałem na pamięć. Skoczyłem w piwnicy za bar, później za drzwi, znowu cud, że otwarte. Zatrzasnąłem za sobą, a potem korytarzem i do takiej niby kuchni. Tam już drzwi zastawiłem, bo kega tam stała. No i siedziałem tam i słuchałem, jak łażą za mną, węższą. Wszystko w ciszy. Przez całą noc się bałem wychodzić. I kawałek dnia. A jak wyszedłem, to zastawiłem drzwi do knajpy i siedziałem, aż mi się te chipsy skończyły. Miałem szczęście, że to nie sfera mnie ściagała, bo im bym już nie uciekł.

– I o tym chcesz zapomnieć?

– Zapomnieć chcę o tym, że byłem taki jak oni. Ty myślisz, że o czym rozmyślałem, jak żarłem te chipsy i chlałem browar? Domyśliłem się, co ze mną było. Wystarczyło, że popatrzyłem na swoją koszulę, całą we krwi. Na łapy. Na gębę... Ty myślałeś nad tym?

– Niewiele. Co było, to było.

– Pewnie dlatego, że ich nie widziałeś. Pomyśl: byłeś bestią. Ganiałeś, zabijałeś, pożerałeś ludzi. Rozrywałeś ich na strzępy, rękami i zębami. Ja to sobie ciągle wyobrażam. I dlatego chcę się wypowiadać. Mówią, że to przynosi ulgę.

– A dzieci? – zapytał Marek, licząc, że rozgorączkowanie Jacka sprawi, iż wymknie mu się coś, co wolałby ukryć.

– Jakie dzieci?

– No, dzieci, tak w ogóle. Żadnych żywych nie widziałem. A martwych też nie za bardzo.

– A! To nie wiem. Mówił mi ktoś, że dzieci wyczuły, co się święci, i uciekły. Może chowają się po lasach, bo nie wiedzą, że szal minął? Albo żeśmy wszystkie pozabijali, bo były słabsze. Kurde, człowieku, nie chcę nawet o tym myśleć! Weź mi już daj spokój!

– Opowiedz mi jeszcze o tym, którego nazywasz „Ojciec”.

– To jedyny tutaj prawdziwy ksiądz. Spowiada. Tyle wiem. Zdaje się, że był tu pierwszy, bił w dzwony i przywoływał do siebie innych.

– Wiesz czy słyszałeś?

– Słyszałem. On tu przychodzi. Do ludzi. Jak nie jesteś w zakonie, tylko tu możesz go spotkać. Wybiera tych, którzy są godni spowiedzi.

– Godni? Co to za pieprzenie? Kościół każdego dopuszcza do spowiedzi. To nie jakiś cholerny przywilej! To ich obowiązek!

– Teraz jest inaczej. – Jacek zwiesił głowę. – Ja już trzeci raz przychodzę. Daj mi się pomodlić, bo znowu okażę się niegodny!

Nie spodziewając się wiele od niego wyciągnąć, Marek zostawił pełnego pokory i nadziei chudzielca, by ruszyć w kierunku Jadźki. Niezbyt się cieszył na tę rozmowę, bo



podejrzewał, że kobieta nie da się podejść łatwo. Skoro jednak mogła wiedzieć więcej, postanowił spróbować. Poza tym wytrzyma czy nie, chciał się znaleźć bliżej niej. Popatrzeć. Powąchać. Może nawet dotknąć. Rozsądek coraz wyraźniej przegrywał z pragnieniem. Ale do diabła z tym! Dziewięć lat! Należało mu się!

Zły był trochę na siebie, że nie zapytał Jacka o Patryka i Małgoškę. Może akurat ich znał, albo przynajmniej coś o nich słyszał? Ale znów to samo przeczucie, które kazało mu trzymać język za zębami podczas rozmowy z Szymonem, powstrzymało go przed ujawnianiem swoich intencji.

Jadźka należała do tych, którzy podeszli najbliżej ołtarza. Marek musiał więc przejść przez prawie całą bazylikę, by do niej dotrzeć. Starał się iść niespiesznie, by nie zwracać nadmiernej uwagi. Choć zakonnicy zostawili ludzi samych, trudno było odpędzić myśl, że obserwują ich z ukrycia. Może badają, by przekonać się, kto okaże się godny tej całej spowiedzi? Marek szedł zatem powoli, z głową pochyloną jak do modlitwy, jak człowiek, który zdecydował się podejść bliżej Boga, ale nie jest pewien, czy mu wolno. Przez to spóźnił się i nim dopadł Jadźki, nagle otworzyły się drzwi w prawej nawie i do świątyni wkroczył ten, który nie mógł być nikim innym jak owym „Ojcem”. Widać to było nie tyle po jego postawie, okazał się bowiem niewysokim grubasem, łysym jak kolano, drobiącym śmiesznie kroki, ile w spojrzeniu. W nim nie było nic zabawnego.

– Witajcie, dzieci! – zawołał. Jego głos, mocny, niski a donośny, robił wrażenie. Czuć było w nim siłę. – Pomódlmy się.

Staął na środku, tuż przed ołtarzem, tyłem do wiernych,

przodem do Matki Boskiej. Przeżegnał się szeroko, niczym prawosławni, których Marek poznał, bo dwóch z nim siedziało. Ukląkł i zaczął odmawiać różaniec. Od pierwszej tajemnicy. Przy dziesiątkach recytował spokojnie, miarowo, ale jednak z siłą, której trudno było się oprzeć, pierwszą część *Zdrowaś Maryjo*, a wierni, między innymi „zakonnicy”, których Marek doliczył się ośmiu, kończyli. Gdy przemodlili wszystkie tajemnice różańcowe, na zewnątrz zapadł już zmrok i tylko światła świec rozpraszały ciemność, w której pogrążyła się świątynia.

Ojciec wstał i w ciszy przeszedł między klęczącymi. Pochylał się nad każdym, przyglądał długo, wychylając i przekrzywiając głowę na podobieństwo ptaka. Czasem coś szeptał, czasem trwał w milczeniu. Głowy Jadźki dotknął, ale tylko jej. Kiedy zatrzymał się przed Markiem, spojrział mu w oczy. Zamarł. Na długo. Stał przy nim dłużej niż przy innych. Wreszcie uśmiechnął się, wyciągnął pulchną rękę, by położyć ją na głowie Marka. Wtedy wyprostował się i odszedł, nie tracąc już czasu na pozostałych wiernych. Ktoś zaprotestował, cicho, bez gniewu, jaki takie lekceważenie wzbudziłoby przed berserkiem, gdy ludzie potrafili skakać sobie do oczu bez powodu.

Zadźwięczały dzwonki. Zgromadzeni zaczęli podnosić się z miejsc. Odchodzili powoli, niechętnie. Kilku mijających Marka posyłało mu spojrzenia, w których daremnie byłoby doszukiwać się chrześcijańskich uczuć. Wreszcie w kościele zostali już tylko Jadźka z Markiem. Wtedy brat Szymon wyszedł do nich, by oznajmić, że zostali wybrani i Ojciec dziś jeszcze wysłucha ich spowiedzi.

## Rozdział 4

– Jeśli pozwolisz, synu, rozpocznę od naszej siostry – Ojciec mówił cicho, spokojnie. Klęczeli teraz we trójkę w Kaplicy Sakramentu Pokuty, za dnia zapewne jasnym miejscu o białych ścianach zakończonych łagodnymi łukami, pomiędzy którymi niewielkie okrągłe okna pokazywały obecnie wyłącznie ciemność, jakiej miasta na całym świecie nie znały chyba od średniowiecza. Z powodu braku prądu i być może przez oszczędność tylko trzy grube świece rozjaśniały wnętrze. Choć po bokach rozstawiono tu niczym strażników drewniane konfesjonały, Ojciec nie zajął żadnego z nich, lecz ukląkł z pokutnikami przed niewielkim prostym ołtarzem, zza którego przyglądał się całej trójce ukrzyżowany Chrystus, cierpliwy jak zawsze. – Choć świat umarł, konwenanse wydają się wieczne.

Nie uśmiechnął się, mimo że ostatnie zdanie stanowiło rodzaj żartu. W każdym razie według Marka. Ksiądz, cały czas w czarnej sutannie, przeżegnał się, znów zamasyście, po czym wstał. Podeszedł do Jadźki od tyłu, wyciągnął dłonie nad jej głowę.

– Mamy wyznawać grzechy przy innych? – zachnęła się.

– Nie martw się, siostrzo. Przy tej spowiedzi nie używamy słów. Zamknij oczy. Przyjmę twoją spowiedź.

Dotknął obiema dłońmi skroni kobiety. Jęknęła, jej ciało wyprężyło się, mięśnie napięły się jak przy gwałtownym wysiłku. Zaraz jednak zwiotczały, głowa Jadźki opadła. Z jej ust wyrwało się westchnienie, smutne, może nawet bolesne. Nagle szarpnęła się, zawarczała. Targnęła głowę na prawo, na lewo. A gdy obróciła ją ku Markowi, ten zorientował się, że Jadźka otworzyła szeroko oczy. Nie wyglądało jednak na to, by go widziała. Potoczyła nieprzytomnym spojrzeniem, wydała z siebie charkot i odwróciła się w drugą stronę.

Marek z trudem opanował odruch, by zerwać się na równe nogi i uciec. Zerknął niepewnie na księdza. Ten wciąż trzymał dłonie na skroniach kobiety, zaciskał je nawet, by nie puścić. Milczał. Opuścił głowę, przymknął oczy. Trwał w bezruchu, przeciwstawiając własny spokój narastającemu wzburzeniu Jadźki. Być może kierowało nim doświadczenie i zdawał sobie sprawę, że jeśli przetrzyma pierwsze, burzliwe minuty tej spowiedzi, później będzie już łatwiej. Bo też kobieta uspokoiła się wreszcie. Zwiesiła głowę i oddychając ciężko niczym po wyczerpującym biegu, zamarła. Dłonie, dotąd złożone na piersi, opuściła wzdłuż ciała. Pozostała tak, aż ksiądz uznał, że spowiedź dobiegła końca. Oderwał ręce od skroni Jadźki, pochylił się nad nią prędko i złapał, gdy osuwała się bezwładnie na posadzkę. Ułożył ją ostrożnie, pogłaskał po włosach.

– Odpoczywaj, sostro – szepnął. – Wszystko wybaczone.

Gdy skierował się ku Markowi, ten znów poczuł nieodpartą chęć ucieczki. Spojrzał w oczy księdzu i ponownie napotkał spojrzenie drapieżnika. W panującym półmroku Ojciec wydał mu się raczej upiorem niż kapłanem, ciemną chmurą, nad którą oczy błyszczały

bladym blaskiem. Marek zerknął na Jadzkę. Była już chyba przytomna. Wpatrywała się w obu mężczyzn. Lekko skinęła Markowi głową. Coś przypominającego uśmiech wykwitło na jej twarzy.

– Ci, którzy towarzyszą sobie przy spowiedzi, zostają połączeni szczególną więzią. – Ojciec oparł Markowi dłonie na ramionach, być może wyczuwając jego obawy. Okazał się nadspodziewanie silny. Dotyk miał twardy, ciężki i Markowi wydało się, że gdyby chciał się wyrwać, równie dobrze mógłby próbować stawić opór opadającej skale. – Ty, bracie, i ta kobieta będziecie niczym rodzeństwo, brat i siostra. Zobaczysz. Zamknij oczy.

Więzienie mogło nauczyć Marka wielu rzeczy, ale z pewnością nie ufności.

– Wolałbym zostawić otwarte – odpowiedział. Nie poznał własnego głosu, zachrypniętego i drżącego.

– Jak chcesz. Wolna wola jest święta. Zaraz uwolnimy cię od brzemienia grzechu. Zaufaj Chrystusowi, bracie.

Gdy zaskakująco chłodne dłonie dotknęły skroni Marka, mężczyzna odruchowo zacisnął zęby, przygotowując się na wstrząs, może nawet ból, jaki z pewnością stał się wcześniej udziałem Jadzki. Z jego ust wydobyło się westchnienie, nie było jednak wynikiem nadzwyczajnego uniesienia, lecz zdziwienia i ulgi. Nie poczuł bowiem nic. Może należało czekać dłużej? Albo zamknąć te cholerne oczy? Niech będzie! Zamknie je! Ciekaw był, o co chodziło z tą całą spowiedzią.

– Interesujące – odezwał się Ojciec, wyraźnie zdziwiony. – Ktoś już cię spowiadał, bracie?

– Od czasów berserka? Nie, proszę księdza. Jest ksiądz pierwszym kapłanem, jakiego spotkałem.

– Fascynujące, mój synu! Twoja dusza jest czysta niczym

dusza nowo narodzonego dziecka! Nie wyczuwam w tobie słabości grzechu. Wygląda na to, że będę musiał wypowiadać cię inaczej. Wyznaj mi swe grzechy z całego życia. Jesteś to winien Bogu, mnie, ale i swojej siostrze, której spowiedź obnażyła ją przed tobą.

Obnażyła! Dobrze sobie! Marek widział tylko kobietę, która miotała się, jakby... Jakby była opętana?

Ponownie spojrzął w oczy księdza. I znów napotkał wzrok głodnego drapieżcy. Czy można było jeszcze wstać i uciec? Ale wtedy tyle tajemnic pozostałoby niewyjaśnionych. Marek niestety nigdy nie panował dobrze nad własną ciekawością. Nawet wtedy, tamtego nieszczęsnego dnia, gdy nakrył Małgoškę... Przecież w pewien sposób spodziewał się tego, co zastanie. Sygnały i tropy, jakie zaobserwował wcześniej, były niepokojące. Specjalnie, jak uświadomił sobie po raz pierwszy, wrócił do domu wcześniej. Aby zaspokoić ten przeklęty głód pewności, aby się przekonać.

Nauczony tym doświadczeniem powinien był wstać i odejść. Do diabła z rozwiązywaniem tajemnic! Przecież tak naprawdę interesowała go tylko jedna: co stało się z jego synem.

Przecucie jednak podpowiadało mu, że powinien zostać. Ta dziwna, utajona, nim Błysk odmienił wszystko, intuicja sprawiała, że cały klasztor aż jaśniał w oczach Marka od sekretów. I to sekretów związanych właśnie z nim.

Odetchnął głęboko, a potem, z początku cicho i słabo, ale z każdym zdaniem coraz głośniej, zaczął opowiadać Ojcu swe życie ukazane jako maraton grzechów. Od podkradania słodyczy, poprzez pierwsze bójki, podglądanie dziewczyn, aż po przepełnione z początku wstydem, a później dumą odkrywanie własnej seksualności.

Opowiadał o wszystkich kobietach – i tych przypadkowych, i tych świętych, o pierwszej wyprawie na dziwki i pierwszej zapalonej trawce. O wściekłości, gdy załamała się jego kariera sportowa, o kilku drobnych przekrętach. O tym, jak zdradził Małgoškę z hotelową kelnerką i jaki czuł się po tym zbrukany. I o tym, że druga zdrada, znowu gdzieś na trasie, już go właściwie nie obesła, a trzecia okazała się automatyczna, nawet nie zapamiętał tej kobiety. Wyspowiadał się też z pierwszego Błysku, wyznał, że ową lodowatą biel, jaka go spowiła, przyniosła furia wzbudzona zdradą żony. Wyznał wszystkie swoje upadki z czasów więzienia, poczynając od tysiąca i jednego pomysłu na zamordowanie Małgoški.

Jedynie informacje o synu zatrzymał dla siebie.

Gdy skończył, zerknął na Jadzkę. Przyglądała mu się uważnie, ale chyba bez złości. Znów skinęła mu głową.

– Prawdziwa spowiedź, w starym stylu – mruknął Ojciec.  
– Synu, mój synu! Chyba już rozumiem. Odpokutowałeś. Możliwe, że zostałeś dotknięty przez Pana. Witaj w szeregach Dzieci Matki. Tych, którzy odnowią ziemię. Zostawię was teraz samych, byście się modlili. O świcie brat Szymon zaprowadzi was na jutrznię. Potem, po śniadaniu, zostaniecie odprowadzeni do własnych cel. Dostaniecie dzień na odpoczynek, a później wdrożymy was do świętej pracy. Radujcie się, wasze stare grzeszne życie dobiegło końca. Od dziś służycie Panu. Błogosławię was w Jego imieniu.

Odwrócił się i odszedł bez słowa. Markowi wydało się, że w progu odwrócił się jeszcze, ale mogło to być tylko złudzenie – drzwi pozostawały poza zasięgiem wąskiego światła świec. Jednak dwoje jasnych oczu rozbłysło w mroku przez moment, nim drzwi zaskrzypiały

w ciemnościach i zaraz zatrzasnęły się skrzekliwie i pusto niczym wieko trumny. Zazgrzytał klucz przekręcany w zamku i zapadła cisza, głęboka i przytłaczająca. Tylko dwa rwane, przestraszone oddechy zaburzały jej spokój.

Marek podniósł się z kolan. Stęknął, gdy zaprotestowały zastałe stawy. Podszedł do Jadźki, pochylił się nad nią.

– Pomóc ci wstać?

– Usiądź obok mnie.

– Mamy tu krzesła i ławy. Nie musimy leżeć na zimnej podłodze.

– Siadaj, mówię!

Uśmiechnął się mimowolnie. Jędza. Lubił jędze. Usiadł obok niej i dopiero wtedy pomógł jej się podnieść. Oparła się o niego, poczuł jej ramię na swojej piersi, udo przy udzie, kciuk prawej dłoni dotykał jego pleców, gdy oparła rękę na podłodze. Kolano stuknęło o kolano. Wydawało mu się, że jej skóra zaraz spłonie od gorąca przepelniającego kobietę. Zadrżał. I w nim narastał żar.

– Zabiłabym za fajkę – zamruczała. – Masz?

– Zostały przy rowerze.

– Czyli żaden z ciebie palacz. Bobyś miał zawsze przy sobie. Po co je wozisz w takim razie?

– Czasem lubię zapalić. No i papierosy się przydają. Pomagają nawiązać znajomość. Albo na handel. Nie wiesz, ile towaru udało mi się wcisnąć, bo poczęstowałem fajką klienta albo z nim zapaliłem.

– Jesteś cynik i cwaniak, co? Wyrachowany. Zawsze wszystko obliczasz?

Miała rację. Ale nie o sobie chciał teraz rozmawiać.

– Gdybym obliczał, tobym nie siedział. Wiesz o mnie wszystko, nie? Wyspowiadałem się przy tobie. A ja o tobie nie wiem nic.



- Poważnie nic nie poczułeś? Gdy cię dotknął?
- Ręce miał chłodne. I silne. Jak drwał, a nie ksiądz.
- Nie wiem, czy ci zazdroszczę, czy mi cię żal. Widziałeś mnie. Jak wyglądałam? Co się ze mną działo?
- Nie pamiętasz?
- Widziałam tylko... – urwała. Zakłęła, mocno, wulgarnie, jak chłopaki z celi, gdy dowiadywali się, że nici z zaplanowanych przez rodzinę odwiedzin albo z przepustek. Albo gdy jakiś cwel doprowadził ich do furii.
- Kojarzysz takie momenty, kiedy jesteś tak wkurwiony na świat, że możesz zrobić tylko jedno?
- Dać komuś w mordę?
- Nie, głupku. Nie to.

Pocałowała go tymi płomieniami przebranymi za wargi. Szarpnął się, ale chwyciła go za bluzę, przyciągnęła ku sobie z siłą, o jaką by jej nie podejrzewał, i już nie puściła. Tę dłoń, której kciuk ocierał się o jego plecy, oderwała od podłogi. Ochłodzoną od zimnej posadzki wcisnęła mu pod bluzę i dalej, pod T-shirt. Marek wciąż jeszcze się wahał, lecz nagle zrozumiał, co miała na myśli. Że też jest tak zmęczony wszystkim, co się wydarzyło, zły na świat, który odmienił się w niezrozumiały sposób, równocześnie rozżalony i rozzłoszczony, że może zrobić tylko jedno, by spalić nareszcie tę nagromadzoną złość i rozczarowanie, pustkę i samotność.

Nie było nic pięknego w następnych minutach tych dwojga. Nic wzniosłego, wyrastającego z zachwyty sobą nawzajem. Nie nadeszły uniesienia, które mogliby potem wspominać z uśmiechem, żadne pieszczoty nie goiły blizn po okrucieństwie świata. Bardziej zajadli niż zauroczeni, pragnący spalić emocje zamiast je karmić, warczeli miast szeptać, kęsali miast całować. Aż wreszcie opadli na

podłogę raczej wyczerpani niż spełnieni. Leżeli obok siebie, oddychając ciężko i czekając, aż ich ciała ostygną. Marek sądził już, że zasnęła, kiedy nagle Jadźka, nie patrząc na niego, lecz w sufit, zapytała: „Chciałbyś wiedzieć, co zobaczyłam, gdy mnie spowiadał?”.

## Rozdział 5

Ludziom się wydaje, że jeśli złapałaś Pana Boga za nogi i zaczepiłaś się na robotę w budżetówce, w urzędzie, to spędzasz całe dni, przepijając ich krwawicę i malując paznokcie między jedną a drugą kawką.

I może rzeczywiście tak się właśnie dzieje. W jakimś urzędniczym niebie. Bo na pewno nie tam, dokąd ja trafiłam. Rozumiesz, nie ma gorszego miejsca na ziemi niż dziennik podawczy wydziału architektury. Zdychasz w nim od tych wszystkich obywateli, którzy „tylko chcą załatwić najbardziej podstawowe sprawy” i oczekują, że panienka z okienka dysponuje wiedzą Wikipedii i możliwościami prezydenta, albo przynajmniej dyrektora wydziału. A ty możesz tylko powiedzieć im, który druk mają wypełnić i jak, a potem poinformować ich, że czas oczekiwania nie zależy od ciebie. Od kogo zależy? Od architekta miasta, wodociągów, a czasem ekologów i archeologów, jak masz pecha. I od ministra, który nie zmarnuje dnia, żeby nie wymyślić czegoś nowego, co utrudni wszystkim życie.

Popijasz więc kawkę drobnymi łykami, bo może minąć pół dnia, nim nadarzy się okazja, żeby zrobić sobie następną. Wyskakujesz na fajkę pod pozorem wizyty w kibelku i wreszcie po ośmiu godzinach uciekasz z roboty

przepełniona wdzięcznością wobec czasu i ulgą, głównie po to, żeby od razu zapalić sobie w spokoju. To znaczy ja tak miałam, bo na przykład Baśka z Moniką zdawały się kochać to miejsce. Nauczyłam się od nich gadać o pierdołach nawet przy klientach, jeśli akurat nie tłumaczyli mi wszystkich wad systemu, za które odpowiadałam oczywiście ja. Ale nigdy tego nie polubiłam. Może dlatego, że miałam swoje życie. Swoje, rozumiesz, nie męża i dzieci jak tamte dwie. One wracały do swoich najukochańszych, a ja wrywałam na miasto z kumplami. Na koncertik, na piwko. Tłukłam się na te koncerty po całej Polsce, bo Częstochowa nasza kochana nie była jakimś wielkim centrum muzycznego świata. To cię pewnie nie dziwi, co? Boże, czemu Ojciec nas tu zamknął? Posłałabym cię po te fajki, które zostawiłeś przy rowerze. Następnym razem, panie cwaniak, pamiętaj, żeby nosić paczkę przy sobie. Zawsze. Wszędzie. Dla mnie, kurde. Jesteśmy ze sobą związani, tak powiedział. Pamiętasz?

No dobra, robiłam w urzędzie, chlałam piweczko bez soku i jeździłam na koncerty, wyjąc pogańskie pieśni. Męża kiedyś miałam, ale krótko i trochę boleśnie. Zresztą w łóżku był jeszcze szybszy od ciebie. Tak, wiem, dziewięć lat nie ciupciałeś. Poprawisz się. Nie obiecuj, tylko słuchaj. To teraz wiesz o mnie wszystko.

To była środa, jedna z tych takich ni to, ni sio. Równie dobrze mogła cię przypiec z zaskoczenia słońcem, jak i zawiąć arktyczną lodową, a potem zalać deszczem. Wiesz, jeden z tych dni, w których zawsze wybierasz źle. Weźmiesz parasolkę, to nie lunie, nie weźmiesz, to przemokniesz. Zadzwonisz do jednego kumpla, co to wiesz, że o tobie nie myśli tylko jak o kumpeli, to skończysz uwiązana ze złamanym życiem, nie zadzwonisz, to

skończysz samotna ze złamanym sercem. Wszystko zdupione. Wyszłam z roboty szybciej niż zwykle i bardziej wkurzona niż zwykle. Ręce mi się trzęsły, jak zapalałam tego papierosa. Nie wiem czemu. Przeczucie, rozumiesz, osławiona babska intuicja. I ostatnie, co pamiętam, to że szukam zapalniczki w torebce. Potem jakby mnie nie było, a następane, co zapamiętałam, to że stoję w strugach deszczu i rzygam jak struta kotka w ciąży.

A naokoło trupy. Jak okiem sięgnąć. Samochody stoją porzucone, żadnych żywych ludzi w okolicy. Wiesz, co zrobiłam? Chciałam uciec do domu, ale miałam daleko, musiałabym się tłuc przez całe miasto. To wlałam do hotelu. Akurat był pod ręką, ledwie kilkadziesiąt metrów się ocknęłam od ulicy Joselewicza. Taki trochę z burdelem się kojarzący, łososiowy z wierzchu, w środku w barwie papieskiej kremówki, z fikuśnymi udawanymi kolumnami. W sam raz na dziwkarską ulicę. Weszłam jak do siebie. Myślę, zobaczą mnie całą brudną i zarzyganą, może wezwą policję, a ta zrobi coś z tymi wszystkimi trupami. Oczywiście nic nie wezwali, bo nikogo w środku nie było, żywej duszy. Umyłam się tam, nie uwierzysz, wodą mineralną. Nie bardzo było jak w tej mineralnej zrobić pranie, a niezbyt byłam wniebowzięta tym, że cuchnęłam jak armia bezdomnych. No to przetrząsnęłam te pokoje, co to miały pootwierane drzwi, znalazłam jakieś babskie ciuchy, co nawet pasowały, i się przebrałam. Nawet się umalowałam, a co. Jeszcze nie wiedziałam, że świat się skończył. Zresztą co to ma do rzeczy?

Co ci będę dalej mówić... Chodzi o to, że do dziś pamiętałam tylko to i wszystko, co przyszło potem. Ale nic między tą kulawą środą i przebudzeniem pośród trupów.

Nie poganiaj mnie, muszę trochę odetchnąć. Nawet nie

wiesz, jak mi się nie chce o tym gadać. Jezu, co ja bym dała za papierosa!

Gdy Ojciec położył na mnie dłonie... Kurde, nie wiem, po co tu właściwie łąziłam. Chyba dlatego, że inni przychodzili. Wiesz, z czasem się trochę oswoiliśmy, choć nie wszyscy, zaczęliśmy rozmawiać. Ludzi ciągnie do siebie, nawet jak się siebie nawzajem boją. I byliśmy ciekawi, ty nie? Czy ktoś coś pamięta. Co się do ciężkiej cholery stało?

Uciekam od tematu.

No więc Ojciec położył na mnie dłonie. I jakby mnie prąd przeszedł. Taki zimny, nie bolesny, ale podnoszący wszystkie włosy na całym ciele, przenikający cię do głębi. Do najostatniejszej komóreczki. A potem najpierw... No nie wiem. Najpierw biel w głowie, później wszystkie kolory naraz. Potem jakbym patrzyła na siebie cudzymi oczami. I na końcu zobaczyłam wszystko własnymi.

Mnie się zdawało, że ja chyba z miesiąc klęczę. Bo w tym wszystkim to jest najgorsze, że ja cały czas wiedziałam, gdzie jestem. Ale równocześnie byłam tu i tam.

Nie rozumiesz, co?

No to słuchaj. Patrzyłam własnymi oczami. Tak jak normalnie. Ale widziałam to, co zapomniałam.

Wtedy, w tamtą byle jaką środę, upuściłam torebkę, co to w niej grzebałam w poszukiwaniu zapalniczki, bo w dupie już miałam i zapalniczkę, i torebkę. Upadłam na kolana. Jeśli zabolalo, to nie poczułam. Ludzie chodzili naokoło, coś tam bełkotali. Wszyscy. Jakby zamienili się w stado małą. Żaden nie potrafił nic po ludzku powiedzieć. Najpierw mnie to rozśmieszyło, a potem rozzłościło. Rozumiesz, czułam tę złość, nawet klęcząc tutaj, czułam, jak mi rozsadza płuca. Chciałam wrzeszczeć, ale ta wściekłość nie

chciała, żebym krzyczała. Kazała mi się podnieść. Rozejrzeć. Jakiś facet leciał z drugiego końca ulicy, też cichutko, bez słowa. Jedynymi, którzy wydawali dźwięki, byli ci, co bełkotali.

Ten drugi cichy był jak ja. Od razu to zrozumiałam. Nie myślałam, tylko czułam. Żadne słowa nie tłukły mi się po łepetynie. Podziwiałam, jak dopadł pierwszego z bełkoczących. Cisnął nim o ścianę, potem zaczął kopać. Paru bełkoczących zareagowało, ale nie była to chęć pomocy. Odsunęli się, przyspieszyli kroku. Nie wiedzieli, że idą prosto na mnie, a ja już czułam tylko jedno. Że ich nienawidzę.

Nie wyobrażasz sobie takiej nienawiści. Wiem, że chciałeś zatłuc kochanka żony. Ale to nic. Ta moja, i twoja też, ale jej nie pamiętasz, to była prawdziwa nienawiść... Pierwotna. Esencja. Jakby ktoś rozpałił żelazny pręt i wraził mi w mózg. Paliło. Pulsowało. Nienawiść płynęła moimi żyłami, sprytna, podstępna, dodająca mi siłę nienawiści. Mieszała się tylko z chęcią przeżycia. Wiedziałam, że muszę pozabijać wszystkich bełkoczących, nim oni pozabiją mnie.

No to zaczęłam zabijać. Rozumiesz, ja to teraz widziałam własnymi oczyma. Jak podbiegam do jednego gościa i wbijam mu palce w oczy. Tak po prostu, bez wydania choćby dźwięku. Bez uczucia satysfakcji. Wbijam mu paznokcie w gałki oczne. Te moje śliczności, dzień wcześniej wyszlifowane przez Sylwię, co to ślęczała nad nimi półtorej godziny, żeby wyglądały jak ósmy cud świata na piątkowym koncercie, te paznokcie wbijają się w błękitne źrenice. On wrzeszczy, ja czuję tylko dziką, palącą nienawiść, nic więcej. Żadnej satysfakcji. Pcham, on macha rękami, krzyczy. Widzę, jak moje nogi zadają mu

kopniaki. Widzę, jak próbuję mu zmiażdżyć krtań zakrwawioną pięścią. Skaczę po nim, gdy upadł. On się nie rusza, ale dalej go drapię i gryzę. Ktoś mnie łapie, próbuje odciągnąć, więc okładam go pięściami, kopię. Odpycham. To jakiś duży facet, ale jest przerażony. Więc dopadam go i załatwiam. Bełkotliwcy wrzeszczą. A ja już lecę ku następnemu.

Nie przyjechała po mnie policja. Nie wiem czemu. Może było już nas, berserków, za dużo? Wydaje mi się, że należałam do jednych z pierwszych, w każdym razie w Częstochowie. Coś tam się czytało o napadach agresji, ale nie było to jeszcze powszechne. To mogło przyjść nagle i spaść na miasto. Połapał nas berserk za gardła i zamienił w bestie. Zresztą policja się przestraszyła i ufortyfikowała. I zdechła, bo też już byli zarażeni.

No i właśnie to widziałam, Marku, ty mój nowy bracie. Cały ten czas mi przed oczami przeleciał. Jak gnam ulicami ze strachu przed sforą takich jak ja. Wszystko w ciszy, jakiej to miasto nie widziało. Gnam, ale widzę, że tam z boku ucieka ulicą bełkotliwiec. Wielu ich wtedy już nie zostało, bo z tych, co nie zginęli, prawie wszyscy żeśmy się pozmieniali. To ja za nim, ponieważ nienawiść jest silniejsza niż strach przed sforą. Gonię, on wrzeszczy, ale nie wiem co, bo bełkocze, zresztą ja już nie znam słów. Dopadam go. Może się bronić, lecz nie da rady, bo berserk jakoś tak działa, że zwiększa siły i żaden kozak z siłki nie podskoczy nawet takiej kruszynie jak ja. Łamię mu rękę, rozciągam go na asfalcie i wgryzam się w jego gardło.

Czekaj, muszę chwilę pomilczeć. To jest, kurwa, zbyt silne.

Dopadła mnie wtedy sfora. Ale rzucili się na niego, nie na mnie. Żarliśmy, rozumiesz, żarliśmy go jeszcze żywcem.



Chłeptaliśmy jego krew, nawet gdy już serce przestało ją pompować. A kiedy zostały z niego strzępy, podnieśliśmy się znad nich i pobiegliśmy dalej. Mnie już nie ruszali, stałam się częścią sfory. Gdyby nie ten bełkotliwiec, gdyby nie ta wspólna... Ja nie wiem, pewnie przez kościół mam takie skojarzenie, gdyby nie ta komunია, pewnie to mnie by zabili i zezarli. A tak stałam się członkiem sfory i to mi chyba uratowało życie, bo potem zaczęło się dziać tylko gorzej. Szturmowałam tę cholerną policyjną twierdzę. Jezu, Ojciec mi pokazał, jak to było. Tamci strzelali, my biegliśmy. Kule nas trafiały, mnie na szczęście nie, ale ci, co dostali, mieli to gdzieś. Biegli dalej. Jak dostali w kolano, to się przewracali i pełzli. Byłe dopaść tych, co jeszcze żyją i bełkoczą.

To wszystko widziałam, jak mnie Ojciec spowiadał. Jak biegam ze sforą i poluję na samotników. Jak walczymy z innymi sforami. Jak...

Co ci będę gadać. Całą śmierć. Całą siebie jako bestię własnymi oczami widziałam. Nie wiem, ile czasu to trwało, nikt nie zdzierał kartek z kalendarza. Mogę ci powiedzieć, ilu ludzi zabiłam sama, a ilu ze sforą. Mogę ci powiedzieć, ile ludzkiego mięsa zjadłam. Ile kobiet. Ilu mężczyzn. Co? Nie, dzieci nie. Podobno schowały się. Myślały szybciej i lepiej od dorosłych, co to mieli zbyt otępiełe łby, by pododawać dwa do dwóch. Dzieci się przygotowały i ukryły. Tak mi mówił, już po wszystkim, jeden taki, co to podobno ocknął się jako pierwszy. Stefan. Dzieci uciekły. Skryły się w najbezpieczniejszym, najbardziej ufortyfikowanym miejscu w Częstochowie. Tutaj.

## Rozdział 6

Wbrew obietnicy Marek nie odpoczywał zbyt długo. Podczas jutrzni okazało się, że Jadźka nie była jedyną kobietą w zakonie. Ubrane w takie same białe habity jak mężczyźni, kobiety nie siedziały w osobnych ławach, ale wymieszane ze swymi „braćmi”. Zachowywały się tak samo jak oni, śpiewały te same części pieśni i bywało, że przewodziły modlitwom, najczęściej improwizowanym i poświęconym wychwalaniu mądrości Bożej, której głównym przejawem miało być ponowne zgładzenie ludzkości. Wszystkiemu temu nowy członek zakonu mógłby poświęcać więcej uwagi, gdyby na samym początku nabożeństwa nie spostrzegł, że Adam nie tyle łypał nań, ile wlepił bezczelnie gały. Bez śladu sympatii czy choćby chrześcijańskiej pokory. Być może w zdobyciu się na nie przeszkadzał mu nos, wciąż obolały i spuchnięty. Ktoś mu go najwyraźniej nastawił, nie zapobiegło to jednak bólowi.

– Ty i ja – szepnął Markowi na ucho podczas śniadania, gdy nachylił się niby po to, by położyć przed nim tacę z chlebem. – Po śniadaniu. Pod dzwonem.

– To znaczy gdzie? – Zdaniem Marka klasztor był pełen dzwonów.

– Z głównego wyjścia z bazyliki skręcisz w prawo, potem

schodami na mury i znowu w prawo, aż zobaczysz dzwon.

Znaleźć go, jak się okazało, nie było trudno. Nie stanowił, jak sądził Marek, części dzwonnicy, po prostu leżał na pamiątkę jakiejś zapomnianej historii. Nie taki znów duży, pewnie stary. Jeśli kiedyś istniał w pobliżu opis przybliżający jego dzieje, zniknął podczas berserka.

Widać stąd było okolice klasztoru, między innymi wiodącą do niego drogę, którą Marek przybył ledwie dzień wcześniej. Za to dla przebywających w kościele mnichów dwaj mężczyźni, którzy zjawili się tu w niezbyt przepelnionych miłosierdziem zamiarach, pozostawali niewidoczni, bo zasłonięci przez zabudowania klasztorne. Puste, gdyż nie miał ich kto używać. Nowy zakon nie liczył wiele osób.

– Mamy do pogadania. – Adam zdjął habit, złożył go ostrożnie i położył na ziemi obok dzwonu. Pod strojem zakonnika nosił zwyczajne bojówki i T-shirt przedstawiający stwora przypominającego zwłoki wyciągnięte z grobu po jakimś tygodniu zasłużonego odpoczynku. Potwór ten wygrażał komuś z gałęzi drzewa.

– Taki z ciebie chrześcijanin, a ganiasz w koszulce Iron Maiden?

– Ojciec ufa nam bez względu na to, kim byliśmy. Zaskoczyłeś mnie wtedy przy bramie. Teraz inaczej pogadamy. Gotowy?

Nie. Ani trochę. Cóż jednak było robić? Marek skinął głową, ruszył ku przeciwnikowi. Adam był wysoki, barczysty i zdecydowanie pewny siebie. Sztuki walki znał jednak chyba tylko z telewizji. Wyrobiona zapewne na siłce masa mięśniowa dawała mu psychologiczną przewagę nad słabiej zbudowanymi rywalami, którzy też bili się wyłącznie w wyobraźni.

Marek z łatwością uchylił się przed prawym prostym, niewprawnym i przewidywalnym, za którym nie poszedł żaden inny cios, bo Adamowi wydawało się, że żadnego więcej już nie potrzeba. A że włożył w to uderzenie całą swą siłę, to poleciał za nim ciałem i wystarczyło lekkie szarpnięcie i podły hak, by wielki zakonnik wyłożył się jak długi, dodatkowo haratając sobie wcześniej już poobijaną gębule. Nie krzyknął, nie zaklął. Nie wydał najmniejszego dźwięku. Pozbierał się prędko, pewien, że Marek wykorzysta okazję i skoczy mu na plecy. Nic takiego się nie stało. Jako bokser Adam nadawał się co najwyżej do rzucania ręcznika. W zapasach, zważywszy na jego masę, mógłby się okazać groźniejszy.

– Taki z ciebie dżudoka? – zapytał niby to pogodnie.

„Nie, to z ciebie taka łamaga” – pomyślał Marek, ale zachował tę ocenę dla siebie. Odkąd Adam zagadał do niego podczas śniadania, zastanawiał się, jak rozegrać tę walkę. By podjąć decyzję, musiał się przekonać, z jakim zawodnikiem przyszło mu się zmierzyć. Wyglądało na to, że z kiepskim. Dobrze, to wiele ułatwi.

„Jakim cię biją, takim cię piszą” stanowiło dobre przykazanie, lecz tylko na początku. Zakonnicy wiedzieli już, że mają do czynienia z człowiekiem, który nie da sobie w kaszę dmuchać. Teraz należało się zastanowić, co dalej. Prawdopodobnie Marek byłby w stanie pobić Adama, może nawet uszkodzić go trochę, choć to pewnie byłoby źle przyjęte przez resztę zakonników. Czy jednak takie zakończenie pojedynku mogło się opłacić? Jeśli Marek miał żyć między tymi ludźmi, nie powinien uczynić sobie ze wszystkich wrogów.

Upokorzenie Adama w niczym by nie pomogło.

Zagrał więc inaczej.

Przyjął kilka niegroźnych ciosów tamtego, unikając co silniejszych. Odplacił mu własnymi, bardziej bolesnymi niż szkodliwymi. Dał sobie rozbić wargę i podbić oko. Wywrócił się ze trzy razy widowiskowo. Nie minęło dziesięć minut i obaj ślaniali się na nogach.

– Remis? – zaproponował.

– Gówno tam remis. – Adam splunął krwią. – Zawsze będę pamiętał, żeś mnie sponiewierał tam, przy bramie.

– Nie spodziewałeś się.

– Ano nie. – Zakonnik pomyślał chwilę. Opuścił pięści. – Zapalisz?

Oparli się o mur, plecami do miasta, twarzami do klasztoru. Adam wyjął paczkę obiecującą im obu impotencję, jeśli choć powąchają zawartość. Zakonnik zaciągnął się głęboko dymem, Marek tylko przepuścił go między zębami, wciągnął niechętnie, wypuścił nosem.

– Jak się obudziłeś? – zapytał Adam.

– W polu. Nie wiedziałem, gdzie jestem ani co się ze mną działo...

– Nie o to pytam. Jakżeś się obudził z otępienia? Bo te wszystkie owieczki – machnął ręką w stronę miasta – muchy nie skrzywdzą. Na samą myśl o przemocy robi im się słabo. Nie mówię, byłem taki sam. Rzygałem, jak pomyślałem, że będę musiał się bić. A wiedziałem, że będę musiał, głupi nie jestem. Lato minie, skończy się żarcie w sklepach. Zimą trzeba będzie walczyć, żeby przeżyć. Słowo daję, wolałem zdechnąć z głodu niż kogoś skrzywdzić. Na samą myśl mnie skręcało. A ty żeś mi ot tak przywalił.

– Też nie nadstawiałeś drugiego policzka.

– Bo mnie Ojciec wyspowiadał. To zmienia człowieka. Wiesz już, prawda? Wyzwała. Oczyszcza. Otrzymujesz

wybaczenie. I możesz być jak dawniej, a nawet lepszy.

– Trochę dziwne, nie?

– Bo co? Tak powinno być po spowiedzi. Masz wtedy lżejsze sumienie. Tak myślę. Wcześniej się nie spowiadałem, chyba że jako dzieciak.

– Nie to. Nie wydaje ci się dziwnie, że chrześcijański ksiądz wyzwala cię z pacyfizmu i przygotowuje do mordobicia?

– Tak ma być. Posiedzisz z nami, to zrozumiesz. Świat został oczyszczony, myśmy ocaleli. Musimy zbudować go na nowo. A nie zrobimy tego, jeśli nie będziemy umieli się bronić. Logiczne, nie?

– Logiczne – zgodził się Marek. – Jak tak stawiasz sprawę, to logiczne.

– No. To gdzie się przebudziłeś?

– Nie wiem. Zaraz na początku musiałem dać po mordzie takiemu jeszcze zberserkowanemu.

– Dziwne, że dałeś radę. W berserku byliśmy silniejsi.

– Może trafiłem na fajtlapę? Albo nie żarł od dawna? Albo był taki nie do końca przebudzony? Nie wiem. Nie myślałem nad tym, tylko naprałem go, jak na mnie skoczył, i tyle.

– I nic nie czułeś?

– Ból w pięściach.

Adam roześmiał się.

– Jajcarz z ciebie, co?

– Mówię, jak jest.

– Jajcarz. Widzę to. Nadasz się. Poruchałeś wczoraj, jajcarzu?

– Co?

– Aż podskoczyłeś! – zarechotał Adam. Poklepał Marka po ramieniu. – Tylko mnie nie bij! Każdy wie, żeś wczoraj

obracał tę czarnulkę. Norma. Ojciec tyle samo przyjmuje bab co nas.

– Do zakonu?

– Nowe czasy, nowy zakon. Przecież nie zaludnimy ziemi modlitwą. Mówię ci, Ojciec to spoko facet, nie jakiś księżulo z dawnych czasów, co to nic nie rozumiał, tylko gadał o życiu, którego sam nie znał. Ojciec wie, co i jak.

– Widzę...

– Każdy się rucha po spowiedzi. Normalna rzecz. Przed spowiedzią to ani o tym nie myślałem. Żaden z nas. Jakbyśmy już nie byli mężczyznami.

– Seks i przemoc, co?

– Seks i przemoc – pokiwał głową Adam. – A ty?

– Siedziałem. Przez dziewięć lat jedyne kobiety, jakie miałem, to były te ze zdjęć.

– A, to dlatego jesteś kozak! Za co cię zapuszkowali?

– Za niewinność. Jak wszystkich.

– To wiem. Ale pod jakim... pozorem?

– Usiłowania zabójstwa. Nakryłem żonę z gachem. I jakoś tak wyszło, że prawie dostali to, na co zasłużyli.

– To poużywałeś sobie przynajmniej. – Adam zmiażdżył niedopałek papierosa o mur. – Ty masz dzisiaj wolne, ale ja muszę zapierdalać do roboty, bo mnie brat Szymon zajebie. Już jestem u niego pod kreską.

– Czekał, pójdę z tobą.

– Ty masz dziś wolne.

– I co mam niby robić? Zwiedzać miasto? Pomogę ci w robocie. Co to ma być za praca?

– Nie uwierzysz.

– Co?

– Zwiedzanie miasta.

Chodzili od bramy do bramy. Od mieszkania do

mieszkania. Uzbrojeni w łomy i siekiery wylamywali drzwi, roztrzaskiwali okna. Nie przejmowali się zachowywaniem mieszkań w dobrym stanie na przyszłość. Zakładali, że nikt do nich nie wróci. Przetrzęsali wszystko dokładnie. Jeśli trafiali na konserwy, zabierali je ze sobą. Pakowali do worków środki czystości, sztuce, ubrania wyglądające na mocne i trwałe. Gardzili pieniędzmi, ale nie biżuterią. Jeśli znaleźli trupy, przeszukiwali je dokładnie, a potem porzucali. Marek przypomniał sobie dziadka z Piotrkowa pragnącego spalić wszystkie ciała. W Częstochowie nikt się nimi nie przejmował. Zapytał o to Adama.

– Nie będziemy siedzieć tu wiecznie – rzucił tamten.

Nie? Ciekawe.

Łupy pakowali na wózki z supermarketów, które potem musieli sami ciągnąć. Rola zwierzęcia pociągowego przypadła także Markowi, lecz nie protestował. Zdawał sobie sprawę, że musi zapłacić frycowe. Fakt, że przyprowadził go Adam, wiele ułatwił. Ale nie załatwiał wszystkiego.

– Na rowerach byłoby szybciej – ponarzekał trochę, żeby nie zrobić wrażenia zbyt cichego i pokornego. – Dałoby się je podczepić.

– Praca uszlachetnia – odparł Andrzej, ten, który dzień wcześniej straszył go u brata Szymona kopniakami. Najszybciej z zakonników zaakceptował nowego. – Poza tym Ojciec nie lubi rowerów. Pewnie przed berserkiem wkurzali go rowerzyści. Jak wszystkich.

Robili całkiem sporo przerw na papierosy, a czasem i na piwo. W małej, dwupiętrowej pizzerii mieli zachomikowane kilkadziesiąt butelek. Rozpalili tam piec, a Andrzej ulepił parę placków.



– Przed berserkiem dwa lata robiłem w pizzerii! – pochwalił się.

– Zawsze tu siadamy na obiad – wyjaśnił Adam, podając Markowi butelkę. – Ojciec pewnie wie, ale nie ma nic przeciwko temu. Mówiłem, rozsądny gość. Do piwnic klasztoru każe znosić tylko wino, a nam nie pozwala pić wody. Ale piwko... – cmoknął. – Piwko to boży napój.

Stuknęli się wszyscy butelkami: Adam, Marek, Krzywy – mały i faktycznie zgarbiony, brodacze zwany Rumcajsem, łysy jak kolano Mikołaj i jeszcze Damian wyglądający jak wcielenie przeciętności. Nawet Andrzej porzucił na chwilę piec.

– Kobiety nie szabrują? – zapytał Marek.

– To się nazywa „odzysk”. – Krzywy wycelował w niego palec. – Zapamiętaj sobie. Nikomu nic nie kradniemy, bo trupom niczego nie potrzeba.

– Broń z komisariatu też wy żeście odzyskali?

– A jak! Broń, hełmy, kamizelki kuloodporne, tarcze i pałki. Ojciec tam nas najpierw wysłał. Niby to Szymon kazał, ale wiadomo, że on się Ojca słucha. Jak samego Boga.

– Rozsądny gość. Ojciec.

– Mówiłem ci! – ucieszył się Adam.

Przez cały dzień Marek ani razu nie poruszył tematu dzieci. Wypytywał o kobiety, o to, czym jego nowi towarzysze zajmowali się w starym świecie. Niespodziewanie poczuł się całkiem swojsko. Zupełnie jak... w więzieniu, gdzie też gromada facetów opowiadała sobie historie z życia dla zabicia czasu. Pomogło, że ci tutaj też byli ciekawi jego przeszłości i podobnie jak chłopaki z celi uważali, że Małgośka i ten jej dupek dostali to, na co zasłużyli.

Wrócili do klasztoru lekko podchmieleni, weseli, z wózkami pełnymi dóbr. Pod ich nieobecność kobiety segregowały zdobycze z poprzedniego dnia. Jadźka rzuciła tylko okiem na Marka, mrugnęła do niego, nie powiedziała ani słowa. Nie widzieli się aż do wieczornego nabożeństwa, kiedy to brat Szymon kazał im położyć się krzyżem przed ołtarzem. W ciszy podszedł do nich Ojciec i pobłogosławił ich, kładąc im dłonie na skroniach. Jadźka szarpnęła się, jęknęła. Marek znowu nie poczuł nic.

– Wstańcie, synu, córko – oznajmił ojciec. – Witajcie w nowym domu.

Bazylika zagrzmiała śpiewem. Mocnym i pełnym radości, nawet jeśli pobrzmiewającym także fałszywymi nutami i głosami, których nikt nigdy nie trenował. Jadźka z Markiem przyjęli od swoich nowych braci i sióstr habity. Markowi pomogła go założyć młoda, szczupła dziewczyna. Oczy jaśniały jej z przejęcia, uśmiechała się wesoło. Nie mógł nie odpowiedzieć jej uśmiechem. Zastanawiał się przy tym, ile mogła mieć lat. Dziewiętnaście? Dwadzieścia? Dla niego wyglądała jak dziecko.

Przypomniał sobie chłopca w kurtce Spider-Mana. Patryk. Nie rozstawał się z jego zdjęciem.

Uniósł głowę i nagle napotkał spojrzenie Czarnej Madonny. Wydało mu się, że patrzyła na niego z dziwnym oczekiwaniem.

## Rozdział 7

Dni upływały mu szybko i podobnie. Gdy przypadał jego dyżur, musiał wstawać wcześniej, by pomóc w przygotowywaniu śniadania. Pracowali przy nim i mężczyźni, ponieważ ani Ojciec, ani brat Szymon nie widzieli powodów, by specjalnie dzielić płcie. Nie licząc prac związanych z większym wysiłkiem fizycznym, jak „odzyskiwanie”. Nowy zakon kierował się dość swobodną regułą. Choć Marek i Jadźka otrzymali osobne, pojedyncze cele, nikomu nie przeszkadzało, że odwiedzali się nawzajem. A któregoś dnia Marek zastał w swoim łóżku Grażynę, ową drobną młodą dziewczynę, która pomagała mu zakładać habit.

– Jeszcze za wcześnie? – zapytała spokojnie, widząc jego minę.

– Pod każdym względem – odparł, nie bardzo mając pojęcie, o czym mówi. Cel nie zamykano na klucze, co drażniło go, choć nie licząc ubrań, nie trzymał w swojej nic, co warto by ukraść, a ze zdjęciami dziecka się nie rozstawał. Każdy mógł wejść i przetrząsnąć jego rzeczy. Nie spodziewał się jednak takich odwiedzin.

Uśmiechnęła się, wstała i naciągnęła habit na nagie ciało.

– Adam mnie ostrzegał. Ale byłam ciekawa.

– Może nie rozumiesz. Jestem z...

Przerwała mu, podchodząc i kładąc mu palec na ustach.

– Nie gniewam się – powiedziała łagodnie. – Nie martw się.

I wyszła.

Odczekał, aż odejdzie, i natychmiast pobiegł do Jadźki. Z ulgą przekonał się, że była sama.

– Dziś nie – powstrzymała go uprzejmie, lecz stanowczo.

– Moja monstualna miesiączka znowu próbuje mnie zabić. Rozumiesz?

– Nie po to przyszedłem. Słuchaj, goła Grażyna czekała na mnie w łóżku! Wiesz, dziewczyna Adama. Czemu chichoczesz?

– Byłam ciekawa, jak zareagujesz.

– Wiedziałaś?

– Powiedziała mi. Była miła, zapytała o pozwolenie.

– I zgodziłaś się?

– Nie krzycz, kochanie. – Pogłaskała go po twarzy, z trudem tłumiąc śmiech. – Wiedziałam, że nic z tego nie będzie.

– Jezu...

– Uważaj z używaniem imienia Pana Boga swego nadaremno – znów zachichotała. – Brat Szymon jest dość czuły na tym punkcie.

Brat Szymon był czuły nie tylko na tym punkcie. Jako jeden z nielicznych przejmował się wiarą w starym stylu. Znalazł dla siebie odpowiednio zdewociałą Krysieńkę dobrze po pięćdziesiątce, modlącą się prawie każdym swoim oddechem i leżącą krzyżem w bazylice przynajmniej godzinę dziennie. Ku zakłopotaniu Szymona okazała się też wściekłą, nieprzyjmującą odmowy nimfomanką, o czym

Marek dowiedział się, a jakże, od Jadźki.

– No to: kurwa – poddał się. – Czy ja tu czegoś za cholere nie rozumiem?

– Nie gadałeś o tym z braciszkami, co?

– Wiedzą, że śpimy ze sobą, ale...

– Pytali, czy jestem dobra w łóżku?

– No wiesz...

– I na tym się skończyło, tak? Berserk nic was, facetów, nie zmienił. Nie umiecie rozmawiać. Pewnie gadacie tylko o nic nieznaczących pierdołach. I o piłce nożnej, nawet teraz.

– Stereotypy – stęknął, ale nie kontynuował tematu, bo dokładnie tego dnia Krzywy z Damianem wdali się w burzliwą dyskusję na temat przewag i słabości Legii Warszawa, której nadal zdawali się kibicować, choć zespołu ani ligi już nie było.

– Gdybyście rozmawiali o ważnych rzeczach, tobyś wiedział, że tu wszystko jest wspólne.

– Wiem. Zabrali mi rower z całym sprzętem.

– Wszystko i wszyscy, kochanie.

– No wiem przecież. Wspólnota. Zakon. Bez prawa własności, nie licząc tego pieprzonego habitu.

– Mężczyźni i kobiety. Wspólni są – warknęła wyraźnie zirytowana jego niedomyślnością. – Nie ma małżeństw do końca życia.

– O Jezu! – zrozumiał wreszcie. – To jest... przepraszam, o kurwa! To znaczy, że Adam przyszedł do ciebie?

– Po tym, jak opowiedziałeś wszystkim, co zrobiłeś facetowi, który dobierał się do twojej żony? Nie, obawiam się, że jestem skazana na ciebie. Będziemy musieli o tym porozmawiać.

– Czyli tobie się to podoba?

– Nie wiem – po raz pierwszy odpowiedziała poważnie. – Teraz na pewno nie chcę nikogo innego.

– Teraz!

– Posłuchaj mnie, zanim się wkurzysz. I zanim, co znacznie gorsze, wkurzysz mnie. Zwłaszcza dziś. W ogóle nie chcę nikogo innego. Ale Ojciec nie wprowadził tej zasady, bo marzą mu się wielkie orgie jak w jakiejś sekcie. To, co postanowił, ma sens. Mamy odrodzić ludzkość, tak? Pamiętasz?

– Coś mi się obilo o uszy.

– A trochę nas mało. Musimy dbać o różnorodność puli genetycznej tak, jak umiemy.

– A po polsku?

– Jeśli dziewięć par spłodzi dzieci, które też będą się pieprzyć między sobą w stałych związkach, to w trzecim pokoleniu przyjdą na świat ułomni. A im dalej, tym skaz genetycznych będzie więcej. Tak to działa, niestety.

– Więc musimy się wszyscy bzykać między sobą?

– Takie prawa genetyki.

– Bardzo wygodna ta genetyka.

– Nie złość się, proszę. Zresztą nie podoba ci się Grażynka?

Dostatecznie długo żył w małżeństwie, by nauczyć się właściwie odpowiadać na takie pytania.

– Ty mi się podobasz. Jesteś kobietą. Piękną kobietą. A to dziecko? Ile ona ma lat? Szesnaście?

– Dwadzieścia dwa. Nastolatki... – urwała.

Nastolatki nie przetrwały berserka. Te młodsze, chyba do trzynastego albo czternastego roku życia, nie zachorowały. O ile więc nie znalazły kryjówki, zostały rozszarpane, nierzadko przez własnych rodziców. Te starsze... Z jakichś powodów okazało się, że nie miały szans w starciu

z dorosłymi. Może berserk wciąż działał na nie słabiej i zabrakło im sił lub determinacji?

– Co mi przypomina o tym całym Stefanie. – Marek postanowił skorzystać z okazji.

– O niego też jesteś zazdrosny?

– Ciekaw jestem, czemu na przykład tutaj go nie ma?

– Odszedł. Nie pożegnał się, zresztą nic wielkiego między nami nie było. Wspominał wcześniej, że nie podoba mu się w Częstochowie.

– Nie był stąd?

– Był. Pewnie dlatego mu się nie podobało. Ludzie chętnie stąd uciekali, wiesz? Na przykład do Warszawy.

– Tylko on rozmawiał z dziećmiakami?

– Chyba tak. Czasem myślę, że to on je stąd zabrał. Słuchaj, nie mam ochoty dłużej o tym gadać, wiesz? Możesz zostać, jeśli chcesz. Poprzytulamy się grzecznie. Tylko nic nie kombinuj, bo to naprawdę nie ten dzień.

– A mogłem wybrać Grażynkę. – Teraz on się uśmiechnął.

Zapłacił za to. Najpierw bólem, gdy wbiła mu łokieć w bok, a potem trzema dniami znoszenia kąśliwych uwag.

– „Oto taka była wina siostry twojej, Sodomy: odznaczała się ona i jej córki wyniosłością, obfitością dóbr i spokojną pomyślnością, ale nie wspierały biednego i nieszczęśliwego, co więcej, uniosły się pychą i dopuszczały się tego, co wobec Mnie jest obrzydliwością. Dlatego je odrzuciłem, jak to widziałaś” – upajał się czytaniem Pisma brat Szymon, gdy przysiedli na murach klasztoru przed zachodem słońca. Jak dowiedział się Marek, postępowano tak co środę. Modlitwy, nabożeństwa i nauki Ojca wypełniały im dni na równi z pracą codziennie, jednak środowe popołudnia

miały być poświęcone rozmowie.

Ojciec, by podkreślić, że wszyscy są równi przed obliczem Boga, siedział pomiędzy swymi owieczkami. Szymon także nie wyróżniał się ponad miarę. Nie stał, lecz siedział naprzeciwko pozostałych.

– Sodoma! – przemówił grobowym głosem. – Cała Ziemia stała się Sodomą w dniach przed berserkiem. Dopuszczała się obrzydliwości i zapłacała za to. Pan przemówił głosem, który dotychczas znaliśmy tylko z Pisma. Głosem sprawiedliwego gniewu.

Ponieważ pochylił głowę i zamilkł, Marek uznał, że tym samym dał znak do dyskusji.

– Jestem tu nowy – zaczął – więc wszystkiego jeszcze nie ogarniam. Ale miałem w życiu trochę okazji pokombinować nad religią. – Rozległo się kilka tłumionych śmiechów. – No tak, wszyscy wiecie. Chciałbym więc spytać, co z miłosierdziem i wolną wolą. Pewnie to już przerabialiście, ale beze mnie.

– Każdy o to pyta – uśmiechnął się Szymon, unosząc głowę. – Nie będę udawał, nie jestem prorokiem natchnionym przez Boga. Mogę tylko zgadywać. I słuchać słów Ojca – skinął głową ku jedynej osobie ubranej na czarno. – O nim wiemy, że nasz Pan wybrał go i obdarzył darem.

Zebrani zaszumeli, przytakiwali, najbliżej siedzący poklepywali Ojca po plecach.

– Myślę – odezwał się Ojciec, jak zwykle cicho – że Bóg nie stłumił swego miłosierdzia, zsyłając berserk. To nie miała być kara, podobnie jak zagłada Sodomy, a wcześniej potop też nie służyły temu, by nas ukarać. Wszystkie trzy: potop, zagłada Sodomy i berserk miały nas ocalić.

– Zabijając jakieś dziewięćdziesiąt procent ludzkości?



– Cóż to jest śmierć? Wiem – Ojciec uniósł dłonie – do umierania nikomu się nie spieszy. Ale dla chrześcijanina śmierć to tylko kolejny krok przed bezpośrednim i pełnym spotkaniem z Bogiem. W berserku zginęli sprawiedliwi. Wiemy to, bo to widzieliśmy. – Znów podniósł się szmer pomruków. – Ale czy zginęli grzeszni? Powiecie: „tak, grzeszyli, bo zabijali”. Lecz przecież nie zabijali, bo chcieli. Wirus, może szatan, a może Bóg pomieszał nam zmysły. Dlatego, powiadam wam, nie ma winy w zabijających ogarniętych szaleń. Zesłano go, bądź dopuszczono do niego, by ukarać naszą pychę. Bośmy myśleli, że jesteśmy koroną stworzenia i wszystko nam wolno. Upokorzono nas. Staliśmy się mniejsi od zwierząt, bo nawet one mają więcej rozumu, niż myśmy mieli. I ja dziękuję Bogu za to upokorzenie. Dziękuję Bogu, że przypomniał nam o naszym miejscu. I dziękuję Mu, że nas uratował.

– Uratował? – nie ustępował Marek. – Jak?

– Wspomnij świat przed berserkiem, synu. Staliśmy się jak Sodom, podobni byliśmy Gomorze. Świat obracaliśmy w niwecz tylko dla własnej rozrywki. Każdego roku z Ziemi znikało ponad dwadzieścia tysięcy gatunków istot! Naukowcy mówili, że trwa kolejne wielkie wymieranie! A myśmy tylko żarli. Kupowaliśmy nowe, jeszcze większe telewizory, choć starsze ciągle działały. Sprzedawano nam co pół roku nowe telefony z jeszcze większymi ekranami i rosnącą rozdzielczością aparatów fotograficznych, choć ludzkie oko i tak już za nią nie nadążało. Każdy miał po trzy samochody, chociaż zabrakło dróg, po których mógłby z przyjemnością jeździć. Ziemia uginała się pod ciężarem naszych kaprysów. Ginęły pszczoły, bo obsiewaliśmy pola i łąki pestycydami. Zniszczyliśmy równowagę w przyrodzie, byle tylko wyhodować jeszcze więcej paszy

dla bydła, bo pragnęliśmy jeszcze większych steków na naszych talerzach. Pan widział, że wielka jest niegodziwość ludzi na Ziemi i że usposobienie ich jest wciąż złe. Wycinaliśmy lasy i pompowaliśmy ropę na potęgę. Naukowcy ostrzegali, że za chwilę będzie za późno, aby uratować planetę, a już jest za późno, by uratować ludzkość, jaką znamy. Ktoś ich słuchał? Nie, uczyniliśmy bożka z PKB, a to oznaczało, że musieliśmy zjeść jeszcze więcej. A do tego truliśmy się coraz wymyślniejszymi narkotykami. Przecież nawet antybiotyki pochłanialiśmy jak cukierki, przez co przestawały działać. Pytasz, jak Bóg nas uratował, dziesiątkując nas? Zatrzymując to wszystko. Czy przez ostatni tydzień, synu, marnotrawiłeś swój czas, oglądając ogłupiające filmy w telewizji? Żarłeś plastikowe mięso? A może wykonywałeś pracę, której sens nareszcie rozumiałeś i która wreszcie potrafiła sprawić ci satysfakcję? Zamiast zabijać czas przed telewizorem mogłeś pomodlić się, ale też porozmawiać z ludźmi. Nie oglądałeś pornosów, ale kochałeś się z kobietą. Nie zaprzeczaj, nawet dźwięk klasztornych dzwonów nie niesie się tak daleko, jak wasze krzyki. Powiedz, kiedy bardziej żyłeś? Wtedy czy teraz?

– Teraz – zgodził się Marek, choć miał na myśli głównie ostatnie dziewięć lat. Wcześniej i tak nie miał czasu na zbijanie bąków, zbyt mocno pochłaniała go praca. – Więc mówi Ojciec, że Bóg musiał zniszczyć cywilizację, by uratować ludzkość?

– Byliśmy na prostej drodze do wymarcia, synu. A w dodatku zabralibyśmy ze sobą wszystko, co żyje na naszej planecie. Zabijaliśmy stworzenia ocalone przez Noego. Nawet potop nie był tak okrutny jak my. Wiesz, czemu widzę Boga w berserku? Bo ocalił innych. Ocalił

Ziemię. Ale ocalił i nas. Czemu berserk nagle ustał? Bo Bóg uznał, że już wystarczy. Dał nam lekcję pokory i uratował nas. Kto umarł w czystości, ten jest już z Nim. My znów możemy robić, co chcemy, zgodnie z wolną wolą. Świat stoi przed nami otworem. Tym razem uczynimy go sobie poddanym w rozsądny sposób.

– Mówiłem ci, ma łeb na karku. – Gdy było po wszystkim, Adam zaciągnął się papierosem. Nad miastem i klasztorem zapadała kolejna z czarnych nocy. Smog nie opadł zupełnie i chmury przesłoniły niebo, wciąż więc nie widać było gwiazd. Gęsta, niemal dotykalna ciemność otaczała ich. Opierali się o starożytną armatę wycelowaną w dal, ale niezdolną wystrzelić. Spotkania przy niej stały się ich rytuałem. Czasem przychodzili tu we dwóch, czasem w towarzystwie kobiet. – Myślałeś, że zasunie ci gadkę o homosiach i cudzołożeniu, co? Islamistach, zgniłej Unii i ogólnym upadku obyczajów?

– Fakt. To właśnie myślałem.

– A on cię pojechał naukowcami – roześmiał się Adam. Opierał się o armatę, tuląc równocześnie do siebie Grażynę. Na ziemi stały puszki piwa. Ojciec nie miał nic przeciwko alkoholowi, o ile zbytnio nie przesadzali. Popijając chłodny, bo trzymany w piwnicach płyn, Marek poczuł, że miałby ochotę właśnie przesadzić, upić się do nieprzytomności. Wcześniej, w minionym świecie, obiecywał sobie, że będzie to jedna z rzeczy, które zrobi po wyjściu. Żałował trochę, że nie zdążył zrealizować planu, nim dołączył do zakonu. Zbyt jednak bał się stracić czujność, gdy wędrował sam. Nie wiedział wtedy, że ludzkość zachorowała na pacyfizm.

– Zanim powiedział mi o Bogu – odezwała się Grażyna – sądziłam, że to вина cywilizacji. Że się w niej pogubiliśmy

i mózgi nam się przeładowały. Słyszałam wcześniej taką teorię. Że rewolucja technologiczna postępuje zbyt szybko i nasze mózgi za nią nie nadążają. Stąd brały się te wszystkie nerwice. Bo internet pompował w nas tyle danych, że zwyczajnie nie byliśmy w stanie ich przyswoić i przetrwać. To jak z jedzeniem. Jeśli zjesz za dużo...

– To się porzygasz! – wpadł jej w słowo Adam.

– Brzmi prosto. Ale to rzeczywiście podobnie. Te dane w nas nie ginęły, tylko odkładały się w podświadomości jak szum. I nagle szumu zrobiło się za dużo i... BUM!

– Lepiej nie opowiadaj o tym Ojcu – poradziła Jadźka.

– Oczywiście, że mu o tym opowiedziała – zaśmiał się Adam. – Zaraz na pierwszej swojej pogadance.

– I co? – zainteresował się Marek.

– Powiedział, że wola boska korzysta z różnych narzędzi. I że mógł to być taki szum – odparła Grażyna z uśmiechem.

– Moja mała nie trzyma języka za zębami, nie ma takiego zwyczaju! – Markowi wydało się, że Adam ogłasza to z dumą. – Nawet o wilkołaku mu powiedziała!

– Wilkołaku? – głos Jadźki zadrżał.

– Widziałam wilkołaka – wyjaśniła poważnie Grażyna. – Dwa dni po przebudzeniu. Jeszcze niektórzy byli w berserku. Trzech takich, resztką jakiejś sfory, dopadło mężczyznę. Chyba był przebudzony, może jeszcze oszołomiony. Nie uciekał. Podniósł się znad zwłok, które obszukiwał. Patrzył na nich i nawet się nie ruszał. A gdy byli już blisko, zaczął się przemieniać. Urosł. Bary rozerwały na nim ubranie. Kurtka poszła w strzępy, taka, wiecie, przeciwdeszczowa. Dłonie mu urosły, palce zmieniły się w szpony, a usta przekształciły w pysk. Długi, straszny, pełen zębów. Wszystko jak na filmach. Nie wiem,

z pięć sekund mu to zajęło. Tamci nawet nie zwolnili. Wiecie, jak było w berserku: nie myślisz, niczego się nie boisz. Działasz instynktownie, ale bez instynktu samozachowawczego. Dopadli go. Zaatakowali z trzech stron. Rozszarpał ich w dziesięć sekund. Potem spojrział na mnie, przysięgam: ślepiec miał złote. Zawarczał. Czekał. A ja się bałam choćby drgnąć. Wtedy uciekł.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał. Wreszcie Adam zgasił papierosa, dopił piwo, oświadczył, że od tego gadania o berserku wzięła go straszna chcica, i odszedł, ciągnąc Grażynę za sobą. Dziewczyna obejrzała się jeszcze, by się pożegnać. Markowi wydawało się, że dostrzega coś w jej oczach, jakby żal. Ale może tylko sobie to wmawiał.

– Wilkołak – parsknął. – Wesoło.

– Myślisz, że do siebie pasują? – Jadźka nie podjęła tematu.

– Nic nie myślę o innych kobietach. Wcale.

– Nie kłam. Powiedz.

– Ty mi powiedz. Byłem żonaty, pamiętasz? Ty mi mówisz, co mam myśleć o takich sprawach.

– Głupek jesteś. Nie pasują do siebie. Ona jest wrażliwa, inteligentna. Oczytana. On to prostak i chamidło.

– Nie słyszałaś, że intelektualistki lecą na barbarzyńców?

– A niby czemu się z tobą zadaję, Conanie?

– Kto?

– Boże! Nic już nie mów. Dobrze, że przynajmniej jesteś przyzwoity w łóżku.

– Ha! Jestem! Zaraz, przyzwoity...?

– Tak powiedziałam, bo nie przyszedł mi do głowy żaden inny komplement. Chodźmy stąd, co? Nienawidzę tego miejsca.

– Miejsce jak miejsce. Jest fajna armata, ludzie się tu nie

kręca...

– Bo śmierdzi tu jak nigdzie indziej. Nawet poprzez dym papierosów to czuję.

– Śmierdzi? – Pociągnął nosem. – Że niby trupem? W całym mieście tak śmierdzi.

– Nie aż tak jak tu – upierała się. – Wiesz, co tu było?

– Skarbiec. – Przypomniawszy sobie plany, które znalazł w sklepie z pamiątkami. – Taki dla turystów. Pierścienie kardynałów, złote różańce... Złoto i klejnoty. Adam mówi, że wszystko stamtąd wynieśli.

– Zaglądałeś?

– Nie. Tam są pancerne drzwi, zamknęli je z powrotem. Właściwie nie wiem po co. Chyba odruchowo.

– Albo trzymają tam góry złota! – mrugnęła do niego.

– Chcesz sprawdzić?

– Nie. Po cholere mi złoto?

– Ja zbierałem po drodze. Złoto, klejnoty, one zawsze będą miały wartość.

– Zimą wartość będzie miała siła. A tę już mamy. Jak będziemy chcieli, zabierzemy złoto, komu tylko zechcemy.

– Moja mała piratka!

– Piratka o wrażliwym węchu. Chodźmy stąd! Więcej tu nie przyjdę. Pewnie jakieś zapomniane zwłoki leżą tuż pod murem. I to niejedne. Stefan mówił, że berserki próbowali szturmować mury i dzieciaki zabijały ich w obronie.

– Widziałaś to podczas spowiedzi?

– Nie – aż nią zatrzęsło. – Na szczęście tu nie dotarłam. Ale wielu mogło. Instynkt gnał nas do zdrowych. Polowaliśmy na nich chętniej niż na zarażonych jak my. Tyle że nasza sfera działała na drugim końcu miasta, czasem nawet za miastem. Może nie chciało nam się pchać do centrum, gdzie na początku było więcej ludzi? Albo

byliśmy za mądrzy na szturmowanie murów... Albo za głupi. Nikt się tu nie wdarł. Wszyscy zdechli.

– Ale dzieci zniknęły.

– Co ty masz z tymi dziećmi? A, syna szukałeś... Mówiłeś wtedy, pod bramą. Tu go nie znajdziesz.

– Myślę, że już go wcale nie znajdę. Zresztą nawet nie wiem, czy był mój. – „Skóra zdjęta z ciebie!”, ofuknął go znajomy głos w głowie. – Zwyczajnie dziwi mnie, że odeszły. Siedziały w bezpiecznej twierdzy, a porzuciły ją.

– Może skończyło im się żarcie? A może miały dość? Gdy zrobiło się bezpiecznie, poszły poszukać rodziców, albo uciekły z miasta, bo już nie mogły go znieść? Albo, tak jak mnie, odstraszył je zapach tych wszystkich trupów. Jeśli się nie ruszysz, pójdę sama!

– Trzeba by je wszystkie spalić. Żeby nie było zarazy.

– Ojciec nie chce. Mamy pamiętać. Zresztą nie będziemy siedzieć tu długo.

– Tak, słyszałem. Aż zbierzemy dwadzieścia cztery osoby. Ciekawe, skąd ta liczba.

– Bo apostołów było dwunastu – rzuciła. – Dwunastu apostołów i dwanaście apostołek.

– Mówisz poważnie?

– Nie, tak strzelam. Może Bóg przekazał Ojcu tę liczbę osobiście?

– Pokpiwasz sobie, co? Czemu odnoszę wrażenie, że nie podchodzisz do zakonu zbyt poważnie?

– Przed berserkiem byłam niewierząca. To, co się stało... kurde, przywraca wiarę w Boga. Ale jakoś mi z nią ciągle ciasno. Tylko wydaje mi się, że trzeba zapanować nad tym wszystkim, inaczej szlag nas trafi. A religia to całkiem niezły sposób organizacji życia społecznego w prymitywnych warunkach.

- Teraz zasunęłaś mi jakąś profesorską gadkę, co?
- Studiowałam socjologię. Coś mi tam w głowie zostało.



## Rozdział 8

Następnego dnia to Marek pełnił funkcję furtiana. Gdy, jak co tydzień, rozśpiewały się dzwony wzywające wiernych, stał przy bramie, szykując się do jej otwarcia. Przy pasie pobrzękiwał mu pęk kilkudziesięciu kluczy pasujących być może do wszystkich drzwi w klasztorze. Otrzymał je od brata Szymona, który sam poświęcił tydzień wyteżonej pracy na pozbieranie kluczy w całym klasztorze, a następnie sprawdzanie, które do czego pasowały. Może bał się, że jeśli je gdzieś odłoży, to znikną, a może wydawało mu się, że noszenie tak ciężkiego i pobrzękującego pęku dodaje mu powagi? Trzymał je wszystkie razem, a gdy wyciągał, by przekazać pełniącym dyżur przy furcie, wykonywał wszystkie gesty z przesadną uwagą, zachowując pełen powagi wyraz twarzy.

Nad miastem tego dnia unosił się dym, ciężki, gęsty i tłusty. Prawie wszyscy zakonnicy wyszli na mury, by komentować to nowe zjawisko.

– Palą ciała, nareszcie! – odgadła Grażyna.

– To znaczy, że przestali liczyć na to, że się do nas załapią – mruknął Krzywy. – Wiedzą, że będą musieli żyć tam, na dole. Przygotowują sobie miasto do życia.

Mimo to, gdy zagrały dzwony, znów przyszło kilkunastu

kandydatów. Tym razem przede wszystkim kobiety. Młode, najstarsza miała jakieś czterdzieści parę lat. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, podczas berserka starsi ludzie nie mieli wielkich szans na przeżycie.

Marek odczekał, aż ucichnie bicie dzwonów, i dopiero wtedy otworzył przed nimi furtę. Szał mógł minąć, ale Szymon nakazywał zamykać wszystkie bramy, jakby wciąż znajdowali się w oblężeniu. Marek szanował go za to. Ten facet myślał i nie udawał, że świat nagle stał się bezpiecznym miejscem. Może i ludzie dostawali mdłości na samą myśl o przemocy, ale lepiej było mieć się na baczności. Ojciec miał swoje wielkie wizje odrodzenia, lecz to praktycy tacy jak Szymon dbali o ich spełnienie.

Kilka osób rozpoznało Marka. Dwie kobiety skomentowały głośno jego obecność w habicie. Zawróciły i odeszły.

Chudzielec też mu się przyglądał. Był jednym z dwóch mężczyzn, którzy się zjawili. Po chwili zastanowienia podszedł do Marka.

– Jak to zrobiłeś? – zapytał.

– Jak się przemogłem, żeby dać tamtym po mordach?

– Nie. – Chudy aż się skrzywił. – Jak udało ci się zwrócić uwagę Ojca? Że cię wybrał!

– Nakładłem braciszkom po mordach.

– Nie chcesz, to nie mów – obraził się. – Sam się dowiem!

Dziś mnie wybierze! Zobaczysz!

– Będę trzymał kciuki.

Chudzielec, zdaniem Marka, miał teraz całkiem spore szanse. Ojcu brakowało dwóch mężczyzn do pielgrzymki. I tyłu akurat przyszło. Jeśli częstochowianie rzeczywiście pogodzili się z faktem, że muszą wziąć życie we własne ręce, może nie ma co liczyć na następnych kandydatów?

Nie pierwszy raz zaczął się zastanawiać, o co może chodzić z tą całą pielgrzymką. Ojciec sprawiał wrażenie rozsądnego faceta, czemu więc chciał opuszczać dobrze zaopatrzone, ufortyfikowane miejsce? Po zebraniu zapasów byłoby tu w stanie przetrzymać nawet zimę. A wiosną może obsiałoby się jakoś pola? Ziemi w okolicy nie brakowało. Dobrze zorganizowana grupa ludzi mogła dać sobie radę i przetrwać.

Chyba że kapłan wiedział coś więcej. Może w innych miastach żyło się lepiej, ocalały na przykład resztki władzy? Albo też planował przenieść się ze swoimi ludźmi na wieś, jak początkowo zamierzał Marek. To by miało sens. Dwadzieścia kilka osób, zdolnych do użycia przemocy, uzbrojonych w sprzęt zdobyty na policji, jest w stanie obronić się przed większością napastników. Mogliby wspólnie zająć jakąś porzuconą wieś, obwarować się tam i zwyczajnie żyć. Mieliby większe szanse niż w klasztorze. Pod warunkiem, że wyruszą przed jesienią. Zanim wybuchł berserk, rolnicy zdążyli obsiać pola, teraz przychodził czas zbiorów, a zająć się tym nie miał kto.

Tak, grupowa ucieczka na wieś to świetny pomysł. O ile o nią właśnie chodzi. Marek nie potrafił odegnać obawy, że cel Ojca może się okazać mniej racjonalny. W końcu ten facet rzeczywiście miał moc. Dziwną, pozwalającą tylko wywołać wspomnienia z berserka, i to nie u wszystkich. Niemniej było to coś nadzwyczajnego. Czemu nie miałyby dzięki temu pomyśleć, że Bóg go dotknął? Czemu nie miałyby słuchać głosów?

„A czemu – w głowie Marka niespodziewanie pojawiło się wyobrażenie zatroskanej siostry – tak łatwo i chętnie odrzucasz, braciszku, możliwość, że Ojca naprawdę prowadzi Bóg? Czy twoje nawrócenie w więzieniu nie było

prawdziwe?”

No cóż, było. Ale od księdza odwiedzającego go w więzieniu nasłuchał się o miłości i pokorze, a nie o planach podboju świata i zwalnianiu od odpowiedzialności za przemoc.

„A co z Patrykiem? – drażyła siostra. – Znalazłeś sobie nową lafiryndę i już zapomniałeś o synu?”

Nie zapomniał. Ale gdy nie znalazł dzieci w klasztorze, urwał się wszelki trop. W domu go nie było. To gdzie mógł go znaleźć? Jeśli dzieci odeszły z tym całym Stefanem i Patryk był między nimi, to dokąd się kierowały? Gdzie ich szukać? Prędzej pielgrzymka przypadkiem trafi na ich ślad niż Marek błakający się po bezdrożach. Zresztą, usprawiedliwiał sam siebie, jeśli Ojciec odniesie sukces, to jego ostoja cywilizacji będzie przyciągać ludzi, jak teraz przyciąga. I może przyciągnie też dzieci? Albo przynajmniej kogoś, kto może coś o nich wiedzieć?

Wyjął z kieszeni pod habitem zdjęcie syna, by uspokoić sumienie, przyglądając się podobiznie chłopca, którego nigdy w życiu nie spotkał. Musiał przyznać, że siostra miała trochę racji. Łatwo przyszło mu zapominać i o niej, i o chłopaku. Teraz, kiedy miał co robić, kiedy znalazł sobie kumpli i kobietę, jego życie stawało się normalniejsze niż przez ostatnich dziewięć lat. Miał po co żyć. Syn przestał być dla niego jedyną kotwicą i szansą.

„Krew z krwi! – przypomniał upiór siostry. – Kość z kości! Kto się zapiera rodziny, samego siebie się zapiera!”

– Kto żyje przeszłością i złudzeniami, ten zdycha – odpowiedział na głos, zmiął zdjęcie i odrzucił je jak najdalej od siebie poza mury klasztoru.

„Kto przywiązuje się do rzeczy i ludzi – mawiał Kruchy – ten już przegrał, bo ma co tracić. Inni są twoją słabością”.

Marek nie pamiętał, by Kruchy kiedykolwiek się pomylił. Z wyjątkiem, być może, tego pierwszego razu, gdy dał się złapać. Przez kumpla, który zawalił skok, a potem wsypał Kruchego. Nawet nie dla ratowania własnego tyłka, ale dlatego że miał ochotę na tyłek dziewczyny sprzedanego glinom partnera.

Kiedy z wnętrza świątyni dobiegły śpiewy, a odrzuceni kandydaci opuścili teren klasztoru, Marek zamknął furkę na klucz. Przez chwilę ważył ciężar pęku w dłoni. Chudzielec i ten drugi facet zostali w środku. A zatem Ojciec zebrał swoich dwudziestu czterech apostołów. Czas względnego spokoju dobiegł końca. Teraz wyjaśni się, czy ksiądz oszalał, czy też wie coś więcej o świecie i ma plan.

Ruszył w kierunku bazyliki. Zatrzymał się w połowie drogi. Wspomniał wczorajszą rozmowę z Jadźką. Klejnoty ze skarbcza. Co szkodzi sprawdzić, czy jakichś tam nie ma? Nasadziłby jej na palec pierścień po którymś z kardynałów, toby nie protestowała. Adam twierdził, że wszystko stamtąd wyniesiono, ale mógł zmyślać. Bo i po co mieli wynosić, skoro rządzą Jasną Górą?

Pierwszy raz miał w rękach klucze do wszystkich drzwi w klasztorze. I zapewne ostatni. Ile mu to zajmie? Dziesięć minut?

Uśmiechnął się pod nosem na myśl, że musiał wstąpić do zakonu, żeby zostać włamywaczem, po czym skręcił w prawo. Mijając armatę, pociągnął nosem. No tak, zapaszek faktycznie był tu niezbyt przyjemny, ale tak przecież było w całym mieście. Ba! Na całym świecie. Nawet spalenie trupów wiele nie pomagało, bo smród rozkładającego się ciała przenikał wszystko i utrzymywał się długo nawet po usunięciu zwłok. Doktorek opowiadał im i o tym.

Zbliżając się do drzwi skarbcza, zmarszczył nos. Tu faktycznie odór był wyjątkowo mocny. Zatrzymał się przed schodami. Odpiął klucze od pasa. Które mogły pasować do tych wielkich, ciężkich stalowych drzwi? Wybrał największy, sprawdził. Nic z tego. Za duży. Starzy zakonnicy, którzy zresztą zginęli co do jednego, lubowali się w wielkich zamkach. Może część z nich pochodziła jeszcze z czasów potopu szwedzkiego? Wtedy robiono wyłącznie klucze gigantycznych rozmiarów.

Nie zajęło mu to dziesięć minut, ale przynajmniej piętnaście. Skoro już zaczął, nie zamierzał się wycofywać. Szymon rozmawiał pewnie teraz z kandydatami. Trochę to potrwa, bo asystent Ojca należał do ludzi, którzy lubią sobie pogadać. A jeśli zorientuje się, że Marek trochę zamarudził, to trudno. Jakoś się z tego wyłga.

Trafił nareszcie! Klucz drgnął w zamku, ten szczęknął ochoczo. Marek przekręcił go jeszcze raz. Poszło. Chwycił drzwi, pociągnął je z całej siły. Otwierały się powoli, lecz bez przeszkód.

Smród prawie zwałił go z nóg. Odruchowo odskoczył, omal nie spadł ze schodów. Wybiegł na zewnątrz. Odetchnął głęboko kilka razy. Podciągnął habit tak, by zakrywał mu twarz, i wszedł do środka.

Stał w progu, wstrzymując oddech, długo niezdolny zrobić choćby kroku.

Skarbiec rzeczywiście ogołoco. Nie było w nim klejnotów, pierścieni ani złota. Niemniej wciąż skrywał pewne tajemnice.

Ciała, zupełnie małe i trochę większe, rzucone bezładnie jedno na drugie. Zalegały początkowo pod ścianą po lewej, ale zabrakło dla nich miejsca, a może piramida trupów osunęła się. Ze strachem pomyślał, że może wśród zabitych

znalazł się ktoś żywy, kto próbował wydostać się z tej pułapki, póki starczyło mu sił, i to on porozrzucił zmarłych.

Dzieci. Chłopcy i dziewczynki, sądząc po długości włosów i ubraniach. A pomiędzy nimi tylko jedno dorosłe ciało.

Zaczął od niego. Licząc na przywiązanie ludzi do cywilizacji i wymagań upadłego państwa, sprawdził kieszenie spodni i marynarki trupa. Udało mu się, znalazł portfel. Wyjął go ostrożnie, otworzył, przeszukał, aż natknął się na dowód osobisty. Ze zdjęcia patrzyła zupełnie pospolita gęba okularnika. W półmroku trudno było odczytać imię i nazwisko, Marek musiał więc znów opuścić skarbiec. Wypuścił z płuc stare powietrze, wciągnął nowe. I przeczytał dane z dowodu. Stefan Gruberski. Nic dziwnego, że się nie pożegnał.

Schował dowód do kieszeni, niepewny, po co to robi. Ponownie nabrał powietrza w płuca i wrócił do skarbcia. Poświęcił jeszcze nieco uwagi Stefanowi. Obrócił zwłoki na plecy. Nie musiał szukać długo. Krew na koszuli zrobiła się prawie brązowa, ale nie dało się jej nie zauważyć.

Wstał. Przemógł się. Pochylał się nad ciałami dzieci. Ciągle jeszcze były napuchnięte od gazów. Małe czaszki szczyrzyły do niego zęby. Oczy zostały dotknięte rozkładem najszybciej, ale tu nie było ptaków, które mogłyby je wydziobać. Dlatego Markowi wydawało się, że wypełnione cieniami oczodoły wodzą za nim wzrokiem. Przełamał wewnętrzny opór i zaciskając zęby, dotknął pierwszego z ciał. Odsunął rękaw pomarańczowej bluzki z wizerunkiem konika w kapeluszu. Przez gnijącą skórę przebijały już kości, robaki wiły się pod ubraniami. Cofnął się ze wstrętem, ale zapanował nad sobą. Sprawdził następne ciało i jeszcze jedno.

Obejrzał piętnaście, by pozbyć się wątpliwości.

Dopiero wtedy podszedł do kąta, w którym już na początku dostrzegł wątle ciało w czerwono-niebieskiej kurtce. Przycupnął przy nim. Cienie w oczodołach, włosy ciemne, odpadające od ciała, czaszka szczyrząca się przez gnijące mięso. Nie był w stanie rozpoznać twarzy, którą znał wyłącznie ze zdjęcia. Przypomniało mu się, że dzieci posiadały przecież legitymacje szkolne. Ostrożnie, delikatnie, częściowo z szacunku dla śmierci, a częściowo ze strachu, by nie poruszyć za bardzo napuchniętych od gazów zwłok, sprawdził kieszenie kurtki. Nie potrafił ocenić, czy i tym razem dopisało mu szczęście, czy przeciwnie. Nie znalazł bowiem nic.

Przyglądał się dokładnie spodniom trupa i jego butom. Jeśli chłopcy lubili jakieś buty, starali się je nosić przy każdej okazji. Z pewnością zabraliby je ze sobą, uciekając z domu.

Przeliczył ciała. Nie uwzględniając tych, które zniknęły pod stosem innych, doliczył się dwudziestu dwóch. Plus Stefan.

Wszystkie z dziurami po kulach.

Zamykał za sobą drzwi ostrożnie. Biegiem oddalił się od skarbcza. Dopadł furty. Otworzył ją drżącymi rękami, wybiegł na zewnątrz, szukając wyrzuconego zdjęcia. Czy wiatr mógł je porwać i unieść gdzieś w przeklętą Częstochowę? Któryś z odrzuconych kandydatów mógł je podnieść i ukraść? Nie, było. Wygladził je w miarę możliwości, spróbował przyjrzeć się spodniom i butom, ale dłonie mu się trzęsły, a oczy nie potrafiły się skupić na jednym punkcie.

Ruszył pędem do swojej celi. Zamierał i chował się, gdy słyszał głosy. Dotarł wreszcie na miejsce. Zdjął z siebie



cuchnące ubranie, otworzył okno i wyrzucił je. Habit zaczepił na haczyku i wywiesił na zewnątrz. Wyrzucić go nie mógł, powinien uprać. A jeszcze lepiej ukraść nowy. Wiedział, gdzie je trzymano i że było ich wystarczająco wiele, by nikt się nie zorientował. Założył prędko nowe rzeczy. Pobiegł do łaźni, gdzie zgromadzono zapasy wody zebrane w mieście. Zużył pięć litrów mineralnej, nim uznał, że nie cuchnie aż tak bardzo. Ubrał się z powrotem i dopiero wtedy, wypalając po drodze pięć papierosów i starannie okadzając dymem koszulę, udał się do celi brata Szymona, oddał mu klucze i wytłumaczył się z braku habitu, wymyślając, że jeden z odrzuconych zwymiotował na niego ze złości, a może ze zdenerwowania.

Podczas kolacji milczał. Gdy w trakcie wieczornego nabożeństwa inni głośno dziękowali Panu za dwie nowe siostry i braci, Marek także modlił się, ale zupełnie innymi słowami i możliwe, że do zupełnie innego Boga.

CZĘŚĆ TRZECIA

# **Pielgrzymi**

# Rozdział 1

przypadku Marka tradycyjne obwąchiwanie w więziennej celi skończyło się szybko. Wydawał się napompowany wściekłością. Furia przebudziła się w nim na powrót po rozprawie, gdy sędzia ogłosił wyrok. Siedząc w areszcie, Marek zaczął się powoli oswajać z nową sytuacją, godzić z konsekwencjami, jakie będzie musiał ponieść za tych kilka chwil, gdy biel przesłoniła mu świat. I choć nadal uważał za niesprawiedliwy fakt, że tylko on został poszkodowany w wyniku działań trzech osób („Czy tylko trzech? – syczał jakiś nienawistny głos w jego uchu. – Przyłapałeś ją, jak gziła się z jednym. Ilu ich było tak naprawdę?”), poświęcił wiele czasu, by jakoś poukładać sobie w głowie tę katastrofę, w jaką zmieniło się jego życie.

Ale wyrok znów sprawił, że w jego mózgu coś eksplodowało. Maleńka emocjonalna bomba, której lont tlił się jeszcze przed ostatecznym werdyktem, jakby jakiś cichy jasnowidz zaspoilerował Markowi zakończenie i podsycił jego gniew. Gdy sędzia zapytał go, czy ma coś do powiedzenia poszkodowanym, lont dotarł do celu i błyskawica przecięła umysł Marka.

– Poszkodowanym? – powtórzył ochryple, obracając się ku Goście odstawionej jak na bal, siedzącej ledwie metr od

tego gnoja, który pewnie posuwał ją przez cały czas, który Marek spędził w areszcie. Drań nie upilnował uśmiechu. Czy mrugnął kpiąco? – Poszkodowanym?

Widział bielejącą, kurczącą się ze strachu twarz adwokata. I miał to gdzieś.

– Mam im do powiedzenia tyle: kiedyś wyjdę. To wszystko, wysoki sędzie.

Usłyszał ciężkie westchnienie obrońcy i nie przejął się nim. Bo dostrzegł, jak uśmiezek na twarzy tego gnoja gaśnie, a Gośka blednie pod całą tą warstwą pudru i innych pachnideł kupionych za krwawicę Marka.

Jaśniał od tej furii, która być może zapewniła mu owe dziewięć lat, a współwięźniowie ją wyczuli, gdy przekroczył próg celi. Uszanowali to, a potem wspólnie z nim przez lata planowali zemstę.

Żaden nie przewidział, że po drodze świat się skończy.

Teraz, jadąc na rowerze, Marek znów słyszał cichy syk tłącego się w jego głowie lontu. Pomięte, umorusane krwią zdjęcie trzymał w kieszeni na piersi. Wspomnienie skarbcza zachował w pamięci, w tej samej jej części, w której tak długo ukrywał obrazek pośladek sąsiada podskakujących między rozłożonymi nogami Małgośki.

Udało mu się przekonać Ojca, że rowery przydadzą się podczas pielgrzymki. Początkowo ksiądz nie chciał o nich słyszeć. Uważał, że całą drogę należy pokonać pieszo, bo tak właśnie wędrowali apostołowie. Niespodziewanie Marka poparł Szymon, wspominając, że Jezus wjechał na osiołku do Jerozolimy, a i święty Paweł spadł z wierzchowca, gdy ukazał mu się Zbawiciel. Trochę się posprzeczali, czy upadek Pawła oznaczał, że rozstanie z pogaństwem musiało się wiązać z koniecznością pieszej wędrowni. Marek, który nie miał cierpliwości do takich

teologicznych gadek, wtrącił się, tłumacząc, że zwyczajnie więcej zapasów wody i żywności da się przewieźć na rowerach niż przenieść na grzbietach pielgrzymów. I choć sam nie był pewien, czy ma rację, Ojciec wreszcie ustąpił.

Choć nie do końca. Marek i dziesięciu innych wybrańców taszczyli więc dobytek pielgrzymki na obładowanych ponad wszelkie granice rowerach, poruszając się przy tym z prędkością zawstydzającą nawet starowinki. Pomędzy nimi zaś pozostali pielgrzymi maszerowali dziarsko, śpiewając pieśni sławiące Matkę Boską. Czworo z nich niosło w pięknej, pozłacanej lektyce Cudowny Obraz, który miał, zdaniem Ojca, odnowić ziemię.

– Istniał obyczaj, piękny obyczaj – opowiadał wzruszony kapłan. – Kopie Cudownego Obrazu wędrowały po Polsce, od domu do domu, od wsi do wsi i od miasta do miasta. Ludzie gromadzili się przy nich na całonocnych czuwaniach. Pamiętam, jak sam, jako dziecko, modliłem się przez pół nocy, w ciężkich latach osiemdziesiątych. I wtedy cała Polska wymodliła cud. Tak będzie i tym razem. Ale że żyjemy w czasach potopu, kopie już nie wystarczą. Wyprowadzimy Maryję z jej twierdzy i poniesiemy ją przez Polskę. A każde miejsce, którego dotknie Jej łaska, będzie uzdrowione.

Ojciec sam wyznaczył marszrutę. Według niej należało zacząć od serca Polski, Krakowa. Zdobyć wraz z Maryją Wawel, ukazać ją zmarłym królom i bohaterom. Uderzyć w dzwon Zygmunta, oświecić tych, którzy ocaleli, i dopiero wtedy ruszyć dalej.

– Jesteśmy armią Maryi! – zagrzemiał Ojciec w dniu wymarszu. – Kompanią Czarnej Madonny! W drogę z nami wyrusza Pan!

Nieliczni z ocalałych częstochowian przybyli popatrzeć na

ich odejście. Jakaś kobieta płakała. Przedwcześnie posiwiał mężczyzna próbował namówić Ojca, by go przygarnął. Okularnik w T-shircie z pogańskimi symbolami uśmiechał się kpiąco, zerkając ku opuszczonemu klasztorowi. Pewnie już szykował się do skoku na zapasy, których pielgrzymi nie zdołali zabrać ze sobą. Marek mrugnął do niego porozumiewawczo, a tamten zasalutował w odpowiedzi.

Lont tlił się, sycząc cicho.

W południe zatrzymali się na Anioł Pański. Ostrożnie położyli rowery na drodze, obraz ustawili na prowizorycznym, składanym ołtarzu ze starego stolika turystycznego. Padli na kolana. Przerzedzone przydrożne topole zapewniały ledwie skrawek cienia. Słońce prażyło najwyraźniej przejęte efektem cieplarnianym, przed którego najgorszymi konsekwencjami niedobitki ludzkości miały zostać ocalone przez berserk. Pomiędzy pięknie czerwieniejącymi polnymi makami obok drogi czyjeś nabrzmiące zwłoki dawały okazję do żeru chmarze much. Pielgrzymi nie przejęli się nimi. Obszary położone między miastami i tak wolne były od smrodu przepelniającego okolice zamieszkane przez ludzi. Marek dopiero teraz zorientował się, że zaczynało mu brakować tego zapachu.

– Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi! – zaczął Ojciec, pochylając głowę przed Cudownym Obrazem.

– ...i poczęła z Ducha Świętego! – odpowiedzieli pielgrzymi.

A kiedy inni recytowali *Zdrowaś Maryjo*, Marek szeptał ich imiona. Ojciec, Szymon i jego Krystyna, Adam i Grażyna, Damian, Krzywy, Sebastian o dziwnie miękkich ruchach, który związał się z ostrą jak brzytwa Danką, Rumcajs – zadziorny i trochę dziki, Mikołaj unikający

niepotrzebnych słów, Paweł gadający za trzech i Andrzej, podobnie jak Adam niegdysiejszy fan metalu. I kobiety: Monika zaplatająca czarne włosy w warkocz, Anka – wielka i brązowooka, o manierach damy z kiosku Ruchu, Renata – trochę za słodka i za ruda jak na gust Marka, Sylwia – cicha i pokorna, idealny materiał na tych, co posiadają ziemię, i Olga – wiecznie zdenerwowana, odpalająca jednego papierosa od drugiego Ukrainka, którą koniec świata zastał daleko od domu. Bała się wracać, bo póki nie stanęła w progu swego charkowskiego domu, mogła wierzyć, że jej bliscy przeżyli.

Wszyscy oni byli w klasztorze, zanim przybył do niego Marek. Chudy, który – jak się okazało – miał na imię Bartek, i stary łysol o zbyt prędkim i podejrzliwym spojrzeniu, noszący imię Łukasz, znajdowali się raczej poza podejrzeniami. Tak samo jak Jadźka i dwie nowe: Aneta i Bożena. Piątka potencjalnych sprzymierzeńców, gdyby przyszło co do czego.

„Do czego? – dopytywała się w głowie Marka jego siostra. – Nie dali ci broni, prawda? Nie ufają ci”.

Broń mogła stanowić trop – zgodził się Marek, gdy Ojciec zaintonował drugą zdrowaškę. Jak to nazwała Jadźka? „Krwawa komunia”? Połączeni zbrodnią mogli ufać sobie nawzajem. Jeśli więc Ojciec zabrał z klasztoru broń zdobytą na policji, rozdzielił ją między morderców. Ilu ich było? Marek nie pierwszy raz próbował przypomnieć sobie lekcje Doktorka. Jak długo trwał rozkład ciał ukrytych w skarbcu? Trzy tygodnie? Dzieci zginęły wcześniej niż ten cały Stefan, jego trup wyglądał ciut lepiej. No dobra, powiedzmy trzy tygodnie. Nabór do zakonu Ojciec urządzał co tydzień. Ale nie zawsze przyjmował tyle samo osób. Ile ich było na początku? Wcześniej Marek nie interesował się

takimi pierdołami. Teraz stały się dla niego ważne.

Czasem, na obrzeżach postrzegania, dostrzegał znajome przebłyski bieli. Ach, żeby tak nie przejmować się niczym i po prostu zaciągnąć takiego Szymona do lasu, by przepytąć go dokładnie przy użyciu młotka gruchoczącego kości. Choć Marek nigdy tego nie robił, była to jedna z pieśczęt, jakimi zamierzał potraktować Małgoškę, gdy wyjdzie na wolność.

Kiedyś, zanim się nawrócił. Na Boga, w imię którego kapłan najprawdopodobniej kazał zamordować dzieci ukrywające się w klasztorze.

Dlaczego? Bo był chory, oszalały z nienawiści? Bo broniły klasztoru, który uznały za swoją własność? A może wiedziały coś, co ksiądz starał się ukryć?

Na przykład na czym polegała jego moc, czym była ta cholerna spowiedź otwierająca umysły na wspomnienie zabijania i czyniąca ludzi na powrót zdolnymi do przemocy. Ojciec różnił się jakoś od zwyczajnych ludzi i Marek gotów był przysiąc, że Bóg nie miał z tym nic wspólnego.

„Może to szatan? – od czasu odkrycia dokonanego w skarbcu głos siostry powracał do niego częściej i jakby bardziej stanowczo. Niekiedy Markowi wydawało się wręcz, że dostrzega obok siebie ptasią postać kobiety. – „Diabeł kroczy pod sztandarem Matki Boskiej? Uzurpator?”

– Módl się za nami, święta Boża Rodzicielko, abyśmy się stali godnymi obietnic Chrystusowych! – zawołał pełnym przejęcia głosem Ojciec i Marek spojrział na niego, zastanawiając się, czemu ktoś mógł kazać zabić te dzieci. Przecież musiał istnieć jakiś motyw. Nie zabija się ot tak. Zabija się w szale, bo to ścierwo, które się kochało, zdradza człowieka z sąsiadem. Zabija się w porywie złości, w bójce,



przez przypadek przy głupiej szarpaninie podczas zwykłego rabunku, bo frajer podskakiwał i się stawiał, z zemsty, w kłótni, ze strachu, albo dlatego że ktoś zawadza naszym planom. W czym mogły zawadzać dzieci? Albo czym mogły kogoś przestraszyć?

„Co takiego było w moim synu, że zdecydowałeś się odebrać mi szansę spotkania z nim?” – zapytał w duchu Marek, gdy jego usta wypowiadały głośne „amen”.

– I pięknie! – zawołał radośnie brat Szymon, jako pierwszy wstając z klęczek. – Oto pierwszego dnia wędrówki, pod wesoło przyświecającym nam słońcem, modlitwą powitaliśmy południe. Teraz czas na coś dla ciała. Dziewczyny przygotowały nam kanapki na drogę, ale przydałby się łyk ciepłej kawy, prawda? Kto wiozł termosy?

Tak się złożyło, że Marek. Podniósł się więc z kolan, by wyjąć z sakw trzy pięciolitrowe termosy pozyskane z mieszkania kogoś, kto być może okazał się zapobiegliwy, a może tylko należał do ludzi lubujących się w gromadzeniu szpargałów. Nie były to żadne z supernowoczesnych termosów wyprofilowanych przez paryskich albo włoskich stylistów zajmujących się na co dzień nadwoziami samochodów za grube tysiące i skonstruowanych według zaleceń fizyków jądrowych. Takimi Szymon i Ojciec wzgardzili. Zamiast tego zabrali ze sobą cztery potwory radzieckiej jeszcze produkcji, wielkie, ciężkie i niezniszczalne. Ozdobione jedynie czerwono-złotą kratą miały zachować temperaturę kawy nawet w warunkach postnuklearnej zimy na Syberii. I spisywały się doskonale, choć mogły być starsze od każdego z pielgrzymów.

Popędzani przez Szymona wędrowcy rozkładali na środku drogi koce, jakby szykowali się do pikniku.

Zastępca przywódcy chodził między nimi, starając się wzmacniać ich zapał stosownymi cytatami z Biblii, którą najwyraźniej znał na pamięć. Krystyna dzielnie mu w tym sekundowała.

Przegryzając popijane kawą kanapki, przysiedli na środku drogi. Nie niepokoiły ich żadne samochody, choć zdaniem Marka mógł znaleźć się ktoś, kto uruchomiłby jakiś pojazd. Sam podsunął Ojcu takie rozwiązanie, tłumacząc, że na ciężarówkę mogli załadować więcej zapasów. Jednak tym razem ksiądz okazał się nieprzejednany. Może w dawnym świecie należał do tych ekologów, którzy uważali, że w ogóle powinno się zakazać używania aut?

O ile zapach trupów leżących w pobliżu drogi nie przeszkadzał Markowi, o tyle bzyczenie zwabionych nimi much doprowadzało go do szału. Tym bardziej, że kilka z nich, najwyraźniej prawdziwych smakoszek, uznało, iż kawałki wieprzowej mielonki wydają się apetyczniejsze od gnijącej ludziny, i zaczynało krążyć nad głowami pielgrzymów. Możliwe też, że w nosie miały mielonkę i po prostu spodziewały się, że ci dziwni, upierający się żyć ludzie zaraz wyzioną ducha.

Jedli w milczeniu, słuchając czytania z Pisma Świętego. Gubiąc rytm i walcząc ze śliną napływającą mu do ust, czytał Damian, na niego bowiem wypadał liturgiczny dyżur. Niestety, należał do pólanalfabetów, którzy odkąd poznali litery w pierwszej klasie szkoły podstawowej, starali się ich unikać. Damian dukał zatem, mylił słowa i frazy, powtarzał się, a czasem zwyczajnie zmyślał, dopowiadając sobie to, czego nie potrafił odczytać. Ojcu zdawało się to nie przeszkadzać, więc i Marek nie czepiał się chłopaka, choć w jego wykonaniu przypowieść o dobrym

panu, który powierzył sługom talenty, brzmiała nieco dziwnie. Przede wszystkim Damian zdawał się nie mieć pojęcia, że słowo „talent” dotyczyło środka płatniczego, a nie czegoś, czym popisują się ochotnicy w reality show, obiecujących zrobić z każdego gwiazdę pop.

– Bóg kocha ludzi prostych – oznajmił Ojciec na sam koniec, odbierając Biblię z rąk spoconego i zatrwożonego ministranta. – Przemawia ich ustami. Prorocy wywodzili się spośród pasterzy, a Jezus był synem cieśli. Liczy się to, co mamy w sercach.

Damian potakiwał z zapalem, starając się przy tym połykać w całości odłożone dla niego kanapki. Monika, z którą akurat był związany, głaskała go cierpliwie po głowie. W poprzednim życiu była farmaceutką, więc chyba przynajmniej czytać potrafiła lepiej. Gdyby świat nie zdechł, może nie spotkaliby się. A teraz wydawała się zadowolona z takiego partnera.

Przyłapała Marka na zagapieniu i uśmiechnęła się do niego łagodnie. No tak – przypomniawszy sobie – jeśli nic się nie zmieni, być może zastąpi Jadźkę i będzie głaskać jego, jak teraz tego półmózga.

Wątpił jednak, by do tego doszło. O ile się zorientował, Damian z Moniką należeli do pierwszych dzieci Ojca. Marek nie mógłby zaufać żadnemu z nich.

„To suka – judziła siostra. – Zabiła twoje dziecko, które wcześniej ukradła nam ta podła Małgośka. Tak jak ona gzi się ze wszystkimi”.

Odegnał te myśli. Czy tylko mu się zdawało, czy siostra radykalizowała się z każdym dniem? Nigdy nie uważała miłosierdzia za najważniejszą z cnót, ale dawniej przynajmniej zachowywała pozory.

„Gniew zostaw mnie” – uspokoił ją w myślach. I zaraz

sklął sam siebie za te słowa. Zaczynał na poważnie rozmawiać z duchami!

Gdy ruszyli w dalszą drogę, podjechał do Krzywego, by zapytać go o Monikę i Damiana.

– Wpadła ci w oko? – Czerwony na twarzy z wysiłku, najwyraźniej nieprzywykły do roweru niewysoki mężczyzna uśmiechnął się krzywo i mrugnął porozumiewawczo. – Niezła jest. Kolejka do niej czeka. Damian przyjmuje zapisy. Z prezentami. Jak mnie to siodełko rypie! Ty wymyśliłeś te rowery, co?

– Wolałbyś nieść pięćdziesiąt kilo na plecach?

– Wolałbym siedzieć na kanapie, pić browara i oglądać...

– zawahał się. – Mecze. Oglądać mecze.

– Jak długo jesteś w zakonie? Od miesiąca?

– Od trzech tygodni. I nie powiem, odzyskałem formę. Tak mi się zdawało, póki mnie nie posadziłeś na tę piekielną machinę. To pokuta, tak? Za to, że ciągle myślę o babach więcej niż o Bogu?

– Damian z Moniką byli przed tobą?

– Nie, przyszliśmy razem. To znaczy w tym samym czasie, bo ja ich wcześniej nie znałem. Przyjechałem sam, gdy usłyszałem dzwony. Bo przedtem trzy dni siedziałem w domu i bałem się nos wystawić.

– To kto był przed wami?

– A co cię to tak ciekawi? Będziesz pisał kronikę? Brat Szymon już to robi.

– Kronikę?

– Kronikę nowego świata. Marzy mu się, że to będzie księga Trzeciego Testamentu. On przed berserkiem był historykiem. To pewnie dlatego. Kurde, panie kolarz, znajdź se pan kogoś innego do gadania. Ja tu zdycham, nie widzisz?

– Zaraz będzie trochę pod górkę – pocieszył go Marek. – Ale w okolicach Warszawy powinno się zrobić równiej.

– A żebyś zdechł!

– Śpiewajmy! – zawołał niespodziewanie brat Szymon, maszerujący obok swej duchowej małżonki. Ona stanowiła część grupy dźwigającej lektykę z obrazem, on ugiął się głównie pod ciężarem organizacyjnych obowiązków. – „Pan kiedyś stanął nad brzegiem...” – zaintonował nieświadomy, że właśnie zepchnął Marka z pierwszego miejsca listy ludzi najbardziej znienawidzonych przez Krzywego.

– „...szukał ludzi gotowych pójść za Nim..” – dołączył do śpiewu Marek, mrugnął porozumiewawczo do Krzywego i nacisnął nieco mocniej na pedały.

– Hej, bracie! – upomniał go zaraz Ojcu. – Nie tak szybko! Nie porzucaj nas!

– Ojcie, nigdy was nie porzucę! – odparł Marek, zwalniając. Siostra śmiała się w jego głowie.

## Rozdział 2

Wieczorem, w niewielkiej wiosce, właściwie przysiółku, którego nazwę Marek zapomniał zaraz po tym, jak przeczytał ją na przydrożnej tabliczce, zatrzymali się na popas. Brat Szymon natychmiast wykorzystał okazję, by popisać się talentami organizacyjnymi. Mężczyzn wysłał, by zbadali najbliższe chałupy, kobietom nakazał zająć się przygotowaniem kolacji. Ojciec spojrzał na niego znacząco, pokręcił głową, ale uśmiechnął się przy tym. Potem wszedł do pierwszej chałupy, parterowego drewnianego domku pochodzącego najpewniej jeszcze sprzed ostatniej wielkiej wojny. Jakim cudem przetrwał czas przemian, podczas których wsie przekształcały się w zbiorowiska pudeł z pustaków, trudno było ocenić. Być może dbał o niego jakiś starzec niewyobrażający sobie przenosin w inne miejsce. Markowi łatwo byłoby zrozumieć takiego człowieka. Zanim państwo zorganizowało mu przymusową przeprowadzkę, sam też najchętniej spędziłby życie w jednym domu.

Małgośka miała na ten temat inne zdanie. To ona namówiła go na wzięcie kredytu, zakup nowego mieszkania w budynku przeznaczonym dla ludzi, którym się powiodło. Jej zdaniem takie miejsca przyciągały

szczęście. Miała też pewnie nadzieję, że pomogą jej w wyedukowaniu męża. Wśród rzeczy, które w nim ceniła, nie znalazłoby się ani obycie towarzyskie, ani zdolności społeczne. Ona kochała życie towarzyskie, a on nigdy nie należał do graczy drużynowych.

Teraz, jak uważał, charakter pomagał mu odnaleźć się w nowej sytuacji. Znów, jak w normalnym życiu, był sam przeciw wszystkim. Nawet ci, którzy nie mogli brać udziału w zabiciu jego syna, byli potencjalnie niebezpieczni, bo wydawali się całkowicie oddani Ojcu i podporządkowani Szymonowi. Zmieniała ich ta dziwna spowiedź. Co to miało w ogóle być? Hipnoza? Jeśli tak, czemu on okazał się na nią odporny?

Wspólnie z Adamem przeszukali jednopiętrowy dom, jeden z typowych nieotynkowanych sześcianów pokrytych „na chwilę, póki nie będzie więcej kasy” blaszanym dachem. Marek równie dobrze mógłby zwiedzać własne mieszkanie. Bordowe dywany, łososiowe ściany, kuchnia z meblami ze sklejki wykonanymi przez znajomego stolarza – wszystko było podobne. Kosz na śmieci, pusty, jakby przed chwilą zmieniany, znalazł pod kuchennym zlewem. Lodówkę zamknął natychmiast po tym, jak uchylił jej drzwiczki. Smród zepsutego jedzenia wydał mu się gorszy od woni rozkładających się trupów. Na szczęście zabrali ze sobą dużo własnego żarcia.

Elektryczno-gazowa kuchenka nie nadawała się już do niczego. Cokolwiek stało się ze światem, odebrało mu większość udogodnień, do jakich przywykli ludzie. Najwyraźniej elektrowniami i gazowniami nie sterowały jednak superinteligentne roboty i cała elektronika siadła, gdy zabrakło człowieka do jej obsługi. Może w Japonii było inaczej i tam ludzie żyli jak przed berserkiem? Miasta

wciąż lśniły od neonów, a w kranach nie zabrakło wody?

– Coś się tak zadumał nad tą kuchenką? – Adam stanął w progu kuchni. W ręce trzymał złoty łańcuszek, na końcu którego kołysał się ciężki, zielony wisior. – Patrz, co znalazłem dla mojej! Bierzemy piętro, w porządku?

Domów nie było na tyle, by każda para zajęła własny. Musieli się dzielić.

– Bierz. – Na parterze znajdowała się dodatkowa sypialnia, a nawet osobna łazienka. Oraz coś, co mogło okazać się prawdziwym skarbem: garaż z warsztatem.

Tam właśnie Marek zbiegł, by skorzystać z resztek światła mijającego dnia, gdy Adam pognał pochwalić się Grażynce swą zdobyczą. Wypucowany ford focus nie przyciągnął jego uwagi. Interesowały go szafki z narzędziami. Przetrzęsnał je dokładnie, lecz nie znalazł nic, czego nie zdobyłby już wcześniej. Szkoda. Przyglądając się pełnemu kanistrowi, rozważał możliwość zabrania go ze sobą. Przez chwilę bawił się wizją wypowiedzianą przez ducha Kruchego: widział siebie, jak podpala związanego Ojca, pochyla się nad nim, szepce: „To za mojego syna”, a potem sięga po zapalniczkę.

To mogłoby być nawet niezłe, gdyby nie okazało się pracochłonne. I gdyby nie wymagało najpierw pozbycia się innych apostołów.

„Nie daj się ponieść emocjom” – odezwał się nagle w myślach Marka Doktorek. Jak zwykle, gdy zaczynał przemowę, mówił spokojnie, rzeczowo, wręcz chłodno. Chciał pozować na mędrka, co to pozjadał wszystkie rozumy, genialnego superprzestępcę z amerykańskich filmów. Marek wiedział jednak, że z każdym słowem w Doktorcu będzie narastała gorączka i dystans zniknie z jego głosu. – „Powtarzałem ci to wtedy, gdy planowaliśmy



zabić twoją żonę. Ci inni głupcy wymyślali cuda, które miały nikłe szanse powodzenia. I na pewno by cię wydały. Lepiej zabij szybko, nie baw się ofiarą, jak by na to nie zasługiwała. To pomoże ci nie spieprzyć sprawy”.

„Gówno prawda! – upierał się Kruchy. – Za to, co skurwiel zrobił, musi cierpieć. Musi czuć, że umiera!”

„A jak go złapią, durniu?”

„Liczy się kara, jajogłowa mendo. Nieważne, co stanie się później”.

„Filozofia typowa dla recydywisty, który życia nie widzi poza więzieniem. Tacy jak ty chcą zostać złapani. My myślimy, co będzie potem. Jak przetrwać”.

„My, Doktoru? Jacy my? Myślisz, że Marek i ty...”

– Marek! – wołanie Jadźki odeгнаło duchy. – Gdzie się włóczysz, nierobie? Kolacja!

Przetarł oczy, potrząsnął głową. Musi panować nad sobą. Ten cały berserk namieszał mu we łbie bardziej, niż sądził, skoro pozwalał kumplom z celi urządzać w swoim umyśle wyimaginowane kłótnie. Posłał ostatnie spojrzenie kanistrowi. Obaj mieli rację, zmyślony Kruchy i zmyślony Doktor. Ojca trzeba ukarać tak, by wiedział, że płaci za grzechy. Ale nie można zrobić tego na gorąco, bo wszyscy ci oddani mu zakonnicy mogliby przeszkodzić w zemście...

„W sprawiedliwej karze” – poprawiła go natychmiast siostra i Marek zaklął szpetnie, zirytowany, że znów zmarli próbują rządzić się w jego głowie.

Wybrał nie najlepszy moment na upust złości. Przekraczał właśnie próg domu. Prawie zderzył się z bratem Szymonem.

– Wulgarność to właściwie nie grzech – odezwał się Szymon, jak zwykle spokojnie. – Ale nie pochwalamy jej w naszej wspólnocie. Będziesz dziś trzymał nocną wartę,

bracie. Chłód nocy pozwoli ci nieco ochłonać.

– Dostanę broń?

– Broń?

– Spluwy zdobyte na policji.

– Zebraliśmy je wyłącznie po to, by nie zabrali ich inni. Już ich nie mamy. A po cóż nam pistolety, bracie? Zwierzęta boją się ludzi nawet bardziej niż wcześniej. A ludzi bać się nie musisz. W przeciwieństwie do ciebie brzydzą się przemocą.

– Więc po co ta cała warta?

– Niestety, nawet berserk nie zdołał oczyścić nas z wszelkiego grzechu. Wstrętowi do przemocy nie towarzyszy wstręt do kradzieży. Po to jest „ta cała warta”, bracie. Ale przede wszystkim dla dobra twojej duszy.

– Nie przepada brat za mną, co? Nie zostanę odmalowany pozytywnie w kronikach?

– Kroniki... – Szymon uśmiechnął się z serdecznością, która Markowi wydała się pozorna. – Nie służą upamiętnieniu ludzi, lecz dzieła Bożego. Uwierz mi, bracie, o nikim nie piszę w nich tak surowo, jak o sobie. Ale dość już. Kolacja stygnie, a jak wiesz, nie zaczną bez nas.

Istotnie, Ojciec wprowadził zasadę, że każdy posiłek zaczynali wspólnie i nie wstawali od stołu, póki jeść nie skończyła ostatnia osoba.

Tym razem fragmenty Ewangelii czytała Grażyna. Szło jej to nieporównanie lepiej niż Damianowi, może nawet aż nazbyt dobrze. Najwyraźniej utalentowana aktorsko potrafiła nadawać swojej interpretacji dowolne tony, wchodzić w role występujących w opowieściach postaci. A czasami czytała ze zmysłowością sprawiającą, że brwi Ojca marszczyły się niepokojąco, zaś mężczyźni zapominali o jedzeniu.

– Opanuj się, zboczeńcu! – ofuknęła Marka Jadźka, choć uśmiechała się przy tym figlarnie. – Zaczekaj z tym do nocy!

– Nie poszalejemy. Nie dziś. Szymon skazał mnie na całonocną wartę.

– Zapłacisz mi za to. Czym podpadłeś?

– Zakląłem.

– Buc – ściszyła głos. – Ale i tak masz szczęście.

– Mógł mnie wybatożyć?

– Nie może cię skazać na prawdziwą pokutę.

– Prawdziwą...

– Posiłek spożywamy w milczeniu, słuchając słowa Pana – upomniała ich Krystyna. Siedzący obok niej Szymon natychmiast pokiwał głową.

„Prawdziwa pokuta”. Prawda, Szymon ukarał nią Adama, gdy Marek przybył do klasztoru. Nie spytał nigdy, na czym polegała. Założył, że chodzi o jakieś leżenie krzyżem przez pół nocy, albo coś podobnego. Jadźka jak zwykle zdawała się wiedzieć o tym coś więcej. Gdy Szymon pogroził jej placem, pobladła i umilkła natychmiast.

Prawdziwa pokuta – dumiał Marek, gdy pozostali położyli się już spać. Tylko jego pozostawiono na warcie. Obszedł wszystkie budynki przycupnięte wzdłuż ulicy. Sprawdził szopę, w której upchnęli rowery. Bawił się chwilę latarką, ale wyłączył ją, by nie marnować baterii. Zapasy, pod których ciężarem ciągle uginały się półki w sklepach, kiedyś się wyczerpią. Może jeszcze nie w tym roku, może i nie w następnym. Ale za trzy lata, pięć znowu wszyscy będą biegać z pochodniami. Chyba że odbudują cywilizację. Lecz w jaki sposób? Kim? Marek umiałby naprawić elektrykę w domu, dorabiał kiedyś przy remontach. Ale uruchomić elektrownię? Do tego potrzebni byli fachowcy.

Jeśli zakon Ojca był reprezentatywny dla ludzkości, której udało się przetrwać, nie ocalało ich wielu. Wprawdzie uczelnie i szkoły techniczne cieszyły się dużym wzięciem, jednak najwięcej wypuszczały informatyków. A co niby miał robić informatyk, gdy nie działał żaden komputer?

Właściwie nie był to taki najgorszy świat. Przestali liczyć się zadzierający nosy prawnicy i marketingowcy, informatycy nie byli już cwaniakami zarabiającymi krocie, podczas gdy porządny, ciężko pracujący człowiek, taki jak Marek, musiał się nieźle napocić, by zdobyć choć część ich zarobków. Co jeszcze lepsze, zniknęli bankierzy, a wraz z nimi kredyty.

Chociaż nie, te hieny z pewnością znajdą sposób, by przypomnieć ludziom o ich niezapłaconych rachunkach.

Chyba że ktoś taki jak Marek ich powstrzyma. Ktoś, kto nareszcie znalazł się wśród wyróżnionych zamiast na marginesie. Silny, sprawny i niechowający się za spódnicą mamusi, ledwie wiatr zawieje.

To mógłby być jego cel w życiu. Zapobiec odrodzeniu się świata w poprzednim kształcie. Bronić tego, co dał im berserk – prostego świata, w którym nareszcie znaczenia znów nabrały prawdziwe wartości. Bez biurokratów prostujących banany i nazywających marchewkę owocem, bez nieludzko skomplikowanych przepisów służących tak naprawdę zniewoleniu człowieka, który sam już nie wiedział, co mu wolno i co do niego należy, a co tylko mu wypożyczono. Bez banków, rachunków, kredytów...

Tyle że walka o taki świat oznaczałaby uwikłanie, na które Marek nie miał ochoty. Jego cel to spokojny własny dom z dala od pieprzonego świata. Kawałek pola, żeby nie zdechł z głodu. I może Jadźka, albo inna kobieta, którą nie będzie musiał się dzielić, bo jakiś nowy prorok zaczął

natychmiast wyznaczać zasady, by zniewolić nimi tych, którzy przetrwali.

„Zawsze tak będzie – szepnął Doktorek. – Umysły ludzi po prostu pracują w ten sposób, że budują społeczności zawsze według tych samych reguł”.

– Spierdalaj, mądralo.

Szlag, znowu gadam z duchami jak szalony prorok – zganił się i niespodziewanie roześmiał. Zapalił papierosa, zaciągnął się dymem. Znow zaczął lubić ten nałóg. Przyjemnie paliło się samemu w ciemnościach, gdy żar papierosa stanowił jedyne źródło światła na Ziemi w zasięgu wzroku. Kogoś innego może przytłoczyłoby poczucie samotności, ale tej nocy Marek właśnie tego potrzebował.

Oparł się o płot otaczający chałupkę zajęta przez Ojca. Mógłby wejść tam teraz, poderznąć draniowi gardło, a potem wsiąść na rower i odjechać. Pewnie by go ścigali, ale skąd mogliby wiedzieć, w jakim kierunku się udał?

„Za zabicie ich świętoby poświęciliby życie, żeby cię dopaść” – upomniał go Doktorek.

– Spierdalaj. Nie słyszałeś za pierwszym razem?

„Właśnie, spieprzaj, mędrku – poparł Marka Kruchy. – Co będzie, to będzie. Podpał ciula. Chałupa spłonie, a zanim tamci skończą gasić pożar, ty będziesz już daleko stąd. Niech cię szukają. Świat jest wielki”.

– Zamknijcie się obaj.

„Lepiej słuchaj starszych, dzieciaku”.

– Jeszcze nie wiem, kto w tym brał udział. Każdy z nich musi zapłacić.

„I nie wiesz, czym jest pokuta i spowiedź”.

– Co? Co powiedziałaś, Doktoru?

„Spowiedź. Pokuta. Dlaczego Ojciec ma takie zdolności?”

Dlaczego nie działają na ciebie? Myślisz, że berserk zmienił cię tak, że wariujesz i gadasz ze zmarłymi. Dlaczego?”

– Bo pewnie wykitowaliście w celi. Pozabijaliście się nawzajem, a potem Kruchy was zjadał, póki nie skończyło mu się żarcie. Albo zdechł z pragnienia.

„Czemu sądzisz, że akurat on przetrwał?”

– Bo jest najbardziej cwany i najbardziej zawzięty z was wszystkich.

„Dobrze gadasz! – ucieszył się Kruchy. – Ale nie zdechłem z pragnienia. Powiesiłem się, gówniarzu. Gdy dotarło do mnie, kim jestem i co mnie czeka”.

„Pieprzenie! W berserku nie liczyły się ani spryt, ani zawziętość Kruchego. A umarłby z pragnienia, zanim przebudziłby się z oszołomienia, by odkryć, że tkwi zamknięty w celi z górą zepsutego ludzkiego mięsa. Zmyślcie obaj!”

– Zgadza się, Doktorku. Zmyślam was sobie obu. I natychmiast zamierzam przestać.

Zabawne, ale tak naprawdę podobała mu się ta gadka z trupami. Pomagała w myśleniu. Kłótnie tamtych dwóch pozwalały ujrzeć sprawy jaśniej, dostrzec tropy, które normalnie mógłby przegapić, bo jak zwykle odpychał od siebie rzeczy, których nie rozumiał. Pokuta i spowiedź. Wymyślił, że to hipnoza, i spodobało mu się to wyjaśnienie. Było proste, jasne. Nie wymagało dalszego kombinowania.

A jeśli to nie była hipnoza? Jeśli berserk zmienił w ocalałych coś więcej niż tylko stosunek do przemocy? Może Grażyna rzeczywiście widziała wilkołaka? Może istnieli jeszcze inni odmienieni ludzie, zdolni nie wiadomo do czego?

Zgasił papierosa, ale zamiast cisnąć niedopałek na ziemię, przyglądał mu się jeszcze przez chwilę. Zapasy

papierosów też się kiedyś wyczerpią. Musi znaleźć ziemię, na której będzie mógł uprawiać tytoń. I najlepiej, żeby w pobliżu znajdowało się jezioro, źródło ryb. I jeszcze postawi ul albo dwa w ogrodzie. Ryby, warzywa i miód. To plus woda ze studni powinno mu wystarczyć, by przeżyć. Do diabła, nigdy więcej niczego nie chciał w życiu. To Małgośka, napompowana oczekiwaniami sączonymi z telewizyjnych reklam, pchała go do jakiejś kariery, zarabiania większej kasy. Wtedy był jej za to wdzięczny. Zabijała w nim wrodzonego lenia, budziła w nim chęć, by żyć lepiej i intensywniej. Teraz dochodził do wniosku, że to wszystko bzdury wynikające z chęci, by wpisać się w galopujący przyrost PKB, czy jak tam się nazywało to narzędzie zmieniające wszystkich w niewolników. On chce tylko żyć spokojnie. Czasem trochę pochlać, czasem trochę pobzykać. Może kiedyś wychować parę dzieciaków...

„Zabili twój syna – wykorzystała okazję siostra. – Krew z krwi. Kość z kości”.

Prawda. Lepsze cele w życiu muszą jeszcze trochę poczekać. I choć to Ojciec wydał rozkaz („Dlaczego? – warknął Doktorek. – Zastanów się dlaczego? Motyw może wiele wyjaśnić!”), to chyba nie strzelał sam. A to znaczy, że nie można tak po prostu zabić księdza i uciec. Każdy, kto był zamieszany w tamtą masakrę, musi umrzeć.

„Muszą zapłacić!” – entuzjazm aż rozpierał siostrę.

## Rozdział 3

Następnego dnia to on należał do pedałówujących najslabiej. Bywało, że prawie przysypiał na siodełku. Choć i nocą zdrzemnął się krótko, budząc się co chwila ze strachu, że Szymon przyłapał go i wlepił dodatkową karę, brakowało mu snu. Zerknął kilka razy na przełożonego. Wydawało mu się, że i tamten patrzył na niego, uśmiechając się przy tym znacząco. „Poznałeś swoje miejsce w szeregu” – mówiło jego spojrzenie.

– Czym jest pokuta? – zagaił jadącego obok Adama zachowującego się, jakby trzymał się blisko Marka, by czuwać nad nim. Kilka razy, gdy Marek przymykał oczy, tamten trącał go niby przypadkiem.

– Nie ma o czym gadać.

– Muszę gadać, bo zasnę, spadnę z roweru i się połamię.

– To gadajmy o czym innym. O laskach. Jakie miałeś przedtem?

– Nie boisz się, że Szymon wlepi ci pokutę za takie gadanie?

– To nie przechwalaj się, tylko dziel się ze mną doświadczeniami poprzedniego grzesznego życia. Żebym wiedział, jakich pokus unikać.

Markowi na chwilę zabrakło słów.



– Sam tego nie wymyśliłeś – zrozumiał wreszcie.

– Grażynka, kochanie moje. Łeb ma prawie tak dobry jak tyłek. Ona lubi słuchać o moich byłych. No, gadaj.

Opowiadał więc, cały czas próbując zagadać Adama o pokutę. Ten jednak pozostawał nieugięty. Dopiero wieczorem, gdy oczyścili z trupów okolicę kolejnej przejętej wioski, Marek mógł porozmawiać z Jadźką. Padali wprawdzie oboje z nóg, bo tym razem zwłok było wyjątkowo dużo, jakby zeszyły się z całej okolicy, lecz Jadźka w końcu niechętnie dała się nakłonić do zwierzeń.

– Mnie jeszcze na szczęście nie ukarali. Ale to podobno jest jak spowiedź, tylko gorzej.

– Boli?

– Nie boli, kretynie. Ojciec nakłada na ciebie dłonie i znowu wszystko widzisz, jakbyś był w berserku. Tylko tym razem z poczuciem winy. Za każdym razem, gdy zabijasz, to jakby ciebie zabijali, rozumiesz?

– Nie.

– No jasne, że nie. Słuchaj, jak byłeś w berserku, czego szczęściarzu nie pamiętasz, to nie miałeś poczucia winy. Potem wszystko zapomniałeś, ale mózg jakoś to zapisał, dlatego pozostał w tobie wstręt do przemocy.

– We mnie nie.

– Bo z ciebie jest wyjątkowy kawał bydlaka. – Szturchnęła go. – No więc u prawie wszystkich ludzi taki podświadomy wstręt pozostał. Grażyna mówi, że zepchnęliśmy wspomnienie mordów do podświadomości, żeby nie zwariować. Ale coś jednak się z niej przebija. Rozumiesz?

– Rozumiem. Chyba. A co to ma wspólnego z pokutą?

– Jak Ojciec mnie spowiadał, wszystko widziałam, zdawałam sobie sprawę z tego, co robiłam, ale mentalnie

byłam, rozumiesz, jak w berserku. Nie czułam wyrzutów sumienia, dopiero po spowiedzi. Trochę. Bo ta spowiedź była jak wielkie uwolnienie. Przestałam się bać. Przedtem było we mnie takie napięcie. W tobie też je ciągle widzę.

– Napięcie?

– Cały czas. Masz takie czujne spojrzenie, jakbyś w każdej chwili spodziewał się ataku. Jesteś trochę dziki. A kiedy Ojciec mnie wypowiadał, to ze mnie zeszło. I nawet nie czułam potworności tego, co robiłam. Raczej ulgę, że już wiem, nie muszę się zastanawiać.

– Lepiej mieć za sobą najstraszniejszą rzecz, niż na nią czekać.

– Coś jakby to. A pokuta podobno budzi w tobie ten strach i obrzydzenie do samego siebie. Odcina cię od błogosławieństwa Ojca. Bo to Ojciec sprawił, że staliśmy się czyści. Że nas tamte wspomnienia nie bolą. A w każdym razie nie aż tak, jak by mogły.

– Dla mnie to brzmi jak tresura.

– Głupek jesteś!

– Nie widzisz tego? Zachęcili cię, żebyś przystąpiła do grupy. Pomachali nagrodą. A jak zrobisz coś nie tak, zaraz cię karzą. Pokazują, że nietrzymanie się zasad prowadzi do cierpienia.

– Można tak na to spojrzeć – przyznała po chwili. – Ale lepiej nie dziel się z nikim takimi przemyśleniami.

– Bo podburzę stadko?

– Bo ktoś na ciebie doniesie.

– No to nie prześpij kolejnej nocy. Jakoś przeżyję.

– No nie wiem, Marku. Martwię się o ciebie. Może masz rację z tą tresurą, choć dla mnie to normalna spowiedź i pokuta. Robisz coś złego, więc musisz swoje za to odcierpieć. Aż nauczysz się zasad. Tak, wiem. – Uniosła

dłoń, powstrzymując jego komentarz. – Tak właśnie wygląda tresura. Ale co w tym złego? Kazań nam źle żyć? Modlimy się, pracujemy, pielgrzymujemy. To takie złe? Wolałbyś, żebyśmy ćpali przed telewizorem?

– Nie tęsknię do starego świata – przyznał.

– No właśnie! A zasady Ojca w czym są złe? Chcemy, to pijemy, ale się nie zachlewamy. Pieprzymy się, gdy mamy ochotę. Palimy. Tylko zamiast zapieprzać w robocie bez sensu, zasuwamy z Cudownym Obrazem przez Polskę. Dla zdrowia to lepsze niż siedzenie za biurkiem.

– Wszystko to prawda, ale...

– Ale co? Jesteś z tych, których wkurza, że w ogóle istnieją zasady? Myślałeś, że świat po apokalipsie to raj dla kowbojów, którzy będą mogli galopować polami na wiernym koniu, czasem strzelając do jakiegoś złowrogiego mutantu?

– Teraz nawet nie wiem, o czym mówisz. Znowu odjeżdżasz w tę swoją fantastykę?

– Zapomniałam, że jesteś profanem, książek nie czytałeś, a z filmów oglądałeś tylko pornosy.

– No nie, Gośka ciągała mnie do kina, ale ona akurat nie lubiła fantastyki. No dobra... Ten świat bywa lepszy od poprzedniego. Choć zobaczysz, inaczej zaśpiewasz, gdy nadejdzie zima i skończy się żarcie w sklepach. Powinniśmy teraz obsiewać pola albo zbierać... Nie znam się na tym. W każdym razie powinniśmy pracować, by przetrwać zimę. Urządzać sobie życie. Na przyszłość.

– Zrobimy tak. I to jako społeczność.

– Ale na razie zasuwamy z obrazem po Polsce.

– Nie wierzysz, że Matka Boska nas prowadzi?

– Jadźka. Weź, proszę cię. Wierzę w Boga. Ale jestem realistą. Pamiętasz dowcip o tonącym kolesiu, który odsyła

łódki, bo wierzy, że Bóg go uratuje?

– Utonął, co?

– Utonął. Bo to Bóg mu te łódki wysyłał, a ten tępy ciul czekał na cud. Nie chcę odsyłać łódek, dziewczyno. Może Bóg zesłał berserk i pozwolił przetrwać garstce. Teraz musimy o siebie zadbać. Nie widzisz tego?

– Zadbamy, ty mój niewierny Tomaszku. Ale najpierw musimy odbębnić pielgrzymkę. Nie dlatego, że Ojciec jest fanatykiem, jak ci się wydaje. Dlatego, że musi z nas stworzyć jedność, społeczność. Wiesz, jak się ją tworzy?

– My albo oni. Daj mi wroga, a stworzę ekipę.

– Tak najczęściej bywało. Ale teraz nie ma z kim walczyć o zasoby, bo jest ich zbyt wiele. W dodatku ludzie nie potrafią się już bić. Nienawidzą przemocy.

– Przejdzie im, jak zrobią się głodni.

– Może. Ale nie o to chodzi. Nie zjednoczy nas głód, bo jedzenia jest pod dostatkiem. Nie zjednoczy nas wróg, bo wrogów nie ma. Może kiedyś nadejdą, lecz my musimy być zwartą grupą już wtedy, żeby być na nich gotowi. Więc wiesz, co nas zjednoczy?

– Wiara? Charyzma Ojca? Tresura?

– Idea i przeciwności. Pielgrzymka. Moglibyśmy wsiąść w autobus i objechać Polskę w tydzień. Ale to by nas nie zahartowało. Musimy męczyć się pieszo, padać ze zmęczenia, czyścić domy z trupów. Z braku innych przeszkód musimy je sobie stworzyć sami. Bo wspólny cel i pokonywanie przeciwności cementują grupę, rozumiesz?

Musiał to przemyśleć. Rzeczywiście, człowiek, który obrabował komendę policji z broni, przejął najbardziej strategiczny punkt w mieście i przeprowadził selekcję kandydatów do zakonu, mógł wymyślić coś takiego. Dotąd sądził, że Ojciec to inteligentny nawiedzeniec. A ten facet

mógł nawet nie wierzyć w Boga!

– Myślisz, że on rzeczywiście tak kombinuje? A nie tylko ślepo wierzy w misję od Boga?

– Tego się pewnie nie dowiemy. Słuchaj, na studiach uczyłam się, że te wszystkie śpiewy, modlitwy i rytuały, to znaczy msze, komunie, święcenie pokarmu, takie tam, że one są genialnie powiązane. Z jednej strony mają swoje duchowe znaczenie, z drugiej zaś budują poczucie więzi i wspólnoty, a przez to mocniej przywiązują do religii i jednocześnie wzmacniają ją samą. Rozumiesz, na tym poziomie nie ma znaczenia, w co wierzy Ojciec i co nim kieruje. Ważne, co dzieje się z nami. I dlatego się o ciebie martwię.

– Bo raz podpadłem Szymonowi? Daj spokój, każdy mu podpadł.

– Ja nie.

– Bo ty jesteś święta.

– Buc.

– No dobra, nie jesteś święta. Ale taki Adam odbył pokutę parę razy. A ja raz.

– Ale to ty odstajesz od reszty. Bo nie przeszedłeś spowiedzi. Ludzie to wiedzą. Zastanawiają się, czemu Ojciec mimo to cię zatrzymał.

– Ty też?

– Ja też. Ale ja inaczej. Ja z obawy, bo cię, durniu, lubię. Odstajesz, Marek. Proszę cię, pamiętaj o tym i uważaj. Uważaj, o czym z kim rozmawiasz. Nie podpadaj.

– Nie jestem pewien, czy potrafię – odparł, zwalczając pokusę, by opowiedzieć jej o stosie dziecięcych ciał ukrytych w skarbcu. – Jakąś taką rogatą mam duszę.

– Spróbuj. – Pocałowała go i przyciągnęła ku sobie. – Dla mnie.

## Rozdział 4

Doktorek siedzący w głowie Marka upierał się, że zrozumienie, na czym polegał fenomen spowiedzi, może się okazać kluczowe, by pojąć zagadkę śmierci dzieci. Kruchy przekonywał, że to wszystko brednie i zamiast dumać jak jakiś docent, Marek powinien wziąć się do roboty, nim dotrą do pieprzonego Krakowa. Tym bardziej, że z Częstochowy nie było tam wcale tak daleko i powinni byli przybyć do miasta lada dzień. O ile nie robiliby tylu postojów, a Ojciec zarzuciłby zwyczaj omijania większych miejscowości, przez co schodzili często z wygodnej szosy i dreptali jakimiś bocznymi ścieżkami. Nawet najwierniejsi zakonnicy zaczęli już sarkać na te obyczaje.

– Mamy dla siebie cały czas świata – odpowiadał nieodmiennie Ojciec. – Żadnych deadline’ów, bracia i siostry.

– Moje podeszwy mają swój deadline – mruknęła na jedną z takich odpowiedzi Jadźka. – Ty nie narzekasz, kochanie?

– Posłuchałem twojej rady, złotko.

Klął jednak pod nosem, bo pchał przesadnie obciążony rower pod górę po ścieżce z miękkiego piasku. Koła

zapadały się w nim tak, że nie sposób było jechać. Rower zmienił się w oporną bestię, z którą trzeba było walczyć o każdy przebyty metr. Tyle z tego było pożytku, że zmęczony Marek nie miał głowy do myślenia o zemście i śledztwie.

Które, prawdę mówiąc, szło mu kiepsko. Skoro za radą Jadźki nie wypytywał pielgrzymów tak obcesowo o ich przeszłość, stracił główne źródło danych i skupił się na obserwacji. Ci, którzy związali się z zakonem najwcześniej, niekoniecznie okazywali się najbardziej oddani Ojcu. Część z nich trzymała się raczej z Szymonem. Miało to sens, bo zastępca Ojca był w istocie tym, który przydzielał prace i kierował organizacją pielgrzymki, podczas gdy duchowy przewodnik grupy wyznaczał jej cele. Marek podejrzewał, że właśnie ci ludzie, tak kobiety, jak i mężczyźni, mogą ukrywać broń, może nawet nosić ją stale pod coraz mniej białymi habitami. Ojciec mógł wierzyć w niezawodność swoich mocy, Szymon jednak liczył się z buntem. Albo nie i wszystkie te spiski i podziały podpowiadała Markowi jego paranoja.

Ale przecież ktoś zabił dzieciaki w klasztorze. Zastrzelił je. A broń z komisariatu przejęli zakonnicy na rozkaz Ojca. I tę broń teraz ukrywano, choć wszyscy wiedzieli o jej istnieniu.

Jaki to miało sens?

Zbyt wiele pytań. Każde prowadziło do następnego. Skąd brała się moc Ojca, jeśli nie była tylko hipnozą? Powiedzmy, że pochodziła od Boga. Ale jeśli tak, czemu nie zadziałała na Marka? Bóg temu zapobiegł? Miał w stosunku do Marka jakieś specjalne plany? „Oczywiście – szeptała siostra. – Masz ukarać grzesznych, jak wtedy tę sukę i jej gacha. Jesteś mieczem sprawiedliwości. Zawsze

byłeś!”

Gdyby nie to, że siostra istniała wyłącznie w jego głowie, Marek uznałby, że z nich dwojga to ona była bardziej szalona. Niestety, teraz zaczynał się obawiać o swój rozum.

Z drugiej strony na własne oczy widział skryształizowany mózg tamtego faceta, któremu odebrał rower. Więc berserk zmieniał jakoś ludzi. Mógł zmienić Ojca, rowerzystę, wilkołaka... Mógł zmienić i jego, Marka. Na przykład dając mu odporność na spowiedź.

Ale to akurat brzmiało, jakby ktoś faktycznie przygotowywał go na spotkanie z Ojcem. A to prowadziło do wniosków, nad którymi Marek nie chciał się zastanawiać.

„Jesteś mieczem Pana! – triumfowała siostra. – Narzędziem sprawiedliwości!”

Ledwie dotarli na szczyt wzgórza, niezawodny zegar Ojca oznajmił, że Bóg doprowadził ich w to piękne miejsce dokładnie w południe, czas zatem na modlitwę. Padli na kolana tam, gdzie stali. Mamrotali słowa zamiast wypowiadać je ze zwyczajną mocą, ale tym razem Ojciec okazał się litościwy. A ledwie skończyli, powiadomił swoich wiernych, że tego dnia wypadła środa, czyli dzień, kiedy mogli wspólnie porozmawiać o tym, co zmieniło się na świecie. Marek odruchowo sprawdził na zegarku wskazującym także dni tygodnia, czy ksiądz się nie myli albo nie próbuje namieszać im w głowach. W podróży dni tygodnia straciły znaczenie, pewnie nawet niedzielę by przegapili. I tak każdy dzień zaczynali od porannej mszy, a kończyli wieczorną.

Środa, faktycznie.

Nim Szymon odesłał kobiety do przygotowywania posiłku, Ojciec wziął sprawy w swoje ręce i sam wyznaczył



ludzi. Mrugnął przy tym do zastępcy, a ten wykrzywił się w pozornym uśmiechu. Marek pomyślał, że mógłby nawet polubić tego drania, bo charyzma Ojca opierała się nie tylko na jego darze spowiedzi, ale właśnie na tym, iż wydawał się sympatycznym gościem, z którym i piwka można się napić, i pogadać na każdy temat, nie ryzykując, że wybuchnie świętym oburzeniem. Gdyby tylko to wszystko nie było fałszywe, gdyby nie stanowiło kamuflażu szaleńca mordującego dzieci.

Zajęli się swoimi zadaniami, wytrenowani już prawie jak wojsko. I pograżyli się w nich, bezpieczni i spokojni w tym rodzaju wolności od myśli, jaki mogą dać skuteczne tresury i regulaminy. Dzięki staraniom Ojca i Szymona świat nowego zakonu stawał się oswojony i bezpieczny, mnisi i mniszki prawie na wszystko znali odpowiedzi, a gdy ich zabrakło, wiedzieli, do kogo się po nie udać. Uśmiechali się do siebie, mamrocząc równocześnie modlitwy, spokojni i pewni swego miejsca w tym świecie po zagładzie. Aż Sylwia, która odzywała się najmniej i najciszej, wyprostowała się niespodziewanie, przeciągnęła, a potem wydała cichy okrzyk, który zaalarmował wszystkich bardziej, niż zdolna byłaby to uczynić orkiestra dzwonów. Ktoś inny może nie przyciągnąłby takiej uwagi, ale cicha Sylwia odzywająca się sama z siebie stanowiła zjawisko tak niezwykle, że każdy przerwał pracę. Nawet Ojciec oderwał się od swych medytacji, a brat Szymon od notatek, które nanosił w kronice w każdej wolnej chwili.

– Tam – szepnęła Sylwia, zaczerwieniona z przejęcia. Wyciągała przed siebie długą, smukłą rękę, by wątlym palcem wskazać cienką smugę dymu, delikatną i ledwie widoczną, ale uparcie unoszącą się ku chmurom. Wypełzała pomiędzy drzew w dolinie, młodego lasu

odległego o nie więcej niż dwa kilometry. Od drobnej smużki pęczniała nieśmiało w ulotny szarawy pióropusz, przyjmując kształt przecinka na niebie, oddzielającego świat znany i oswojony od tajemniczego i pełnego niepokoju.

– Dokończymy posiłek i modlitwę – zdecydował Szymon, zerkając na Ojca. Ten skinął głową. – Potem zejdziemy ze śpiewem do naszych braci.

Przybycie ze śpiewem poprzedził zwiad. Krzywy i Rumcajs pobiegli pierwsi, cicho i ostrożnie. Wrócili, nim pielgrzymka zdążyła zebrać się w równą, zorganizowaną kolumnę. Choć wszyscy byli ciekawi nowin, zwiadowcy zdali relację wyłącznie Ojcu i Szymonowi. Mówili przyciszonymi głosami, sprawdzając, czy ktoś nie podsłuchuje. Szymon zaciskał wargi, Ojciec kiwał głową. Potem dwaj przywódcy spojrzeli po sobie. Nie odezwali się ani słowem. Ale Szymon nabrał nagle werwy i zaczął poganiać pozostałych. Nie było już o czym gadać, trzeba nieść dobrą nowinę innym ocalałym, pierwszym, jakich napotkali po drodze.

– Ze śpiewem! – upomniał Ojciec i pierwszy zaintonował *Czarną Madonnę*.

Schodzili ze wzgórza, na które wspinali się, jak widać, niepotrzebnie, chyba że po to, aby odkryć tamtych obcych przyczajonych w lasu. Marek klął w myślach, bo sprowadzanie roweru okazało się jeszcze cięższe niż wpychanie go pod górę. Znow musiał zмагаć się z piaszczystą drogą, a co gorsza, teraz ciężar bagażu skupiony przede wszystkim na tylnym kole utrudniał zapanowanie nad rowerem. Zdyszany nie przestawał śpiewać, by nie podpaść, a pot lał się z niego strumieniami. Wydawało mu się, że wędrowali pół dnia, nim wreszcie

zeszli na w miarę równy teren. Ręce i nogi trzęsły mu się z wysiłku. Nikomu jednak nie przyszło do głowy, by zarządzić przerwę. Odpoczywał więc w marszu. Na rower nie wsiadał, bo nikt inny tego nie zrobił. Zresztą szli bezdrożem, by skrócić sobie trasę. Wiedli ich Krzywy z Rumcajsem. Dobrze, że poznali wcześniej szlak, bo ledwie pielgrzymi weszli między drzewa, stracili z oczu dym będący ich kierunkowskazem.

Tutaj Marek nie musiał już tak walczyć z rowerem. Udało mu się wyrównać oddech. Wysunął się nawet na czoło kolumny, szedł zaraz za zwiadowcami. W miarę jak zbliżali się do celu, śpiew markotniał, cichł. Myśl o spotkaniu z obcymi ludźmi u wszystkich budziła niepokój. Szymon oglądał się na Ojca, zasapanego, lecz wciąż śpiewającego najgłośniej. Czym innym jest jednak zarządzanie gromadą karnych mnichów, a nawet częstochowian marzących, by mnichami zostać, a czym innym spotkanie z obcymi w świecie obróconym przez berserk w perzynę. Jak tamci zareagują? Czy okażą się równie cisi i pokorni jak ci znani z Częstochowy? Kto powiedział, że wstręt do przemocy ma być taki sam na całym świecie? Może poza świętym miastem wszyscy walczą już o zasoby jak na katastroficznych filmach.

Gdyby Marek tu rządził, kazałby właśnie teraz wyjąć broń z ukrycia. Jakoś wytłumaczyłby jej obecność nieuświadomionym.

– Ze śpiewem! – przypomniał Ojciec. Z mizernym efektem. Zmarszczył brwi. Nie przywykł do takich niepowodzeń. – Ze śpiewem! – huknął i tym razem pielgrzymi, oglądając się na siebie nawzajem, posłuchali. Jednocześnie zwolnili kroku. Za to ich nie ofuknął. Być może sam czuł się onieśmielony.

Jeśli tak było, dobrze to ukrył, gdy dotarli wreszcie na ubitą drogę wytyczoną śladami kół, pomiędzy którymi dziarsko rosła trawa. Dzięki prześwitowi, jaki czyniła między drzewami, znów widać było dym, a nawet coś, co mogło być zabudowaniami. Kiedy zbliżyli się do nich, Marek uznał, że ktoś musiał myśleć podobnie jak on: znalazł miejsce z dala od głównych dróg, ukryte przed wzrokiem przypadkowych osób, a przy tym zdolne do uczynienia go samowystarczalnym. Do jego uszu dobiegło ujadanie psów. Co najmniej kilku, bo różne to były głosy, choć łączyło je jedno – brzmiały mocno, jak ostrzeżenie. Co samo w sobie wydawało się interesujące. Nie pamiętał, by w Częstochowie widział choć jednego psa. Zniknęły z miasta podobnie jak dzieci.

Ojciec przyspieszył kroku, wyprzedził zwiadowców. Gdy dotarł do płotu odgradzającego pierwszy dom, śpiewał już z całych sił.

Nie były to typowe wiejskie zabudowania, ale raczej cztery wille, każda w nieco innym stylu. Zamiast pudełek z pustaków wzniesiono tu domy z bali, jeden budynek wyglądał na przerobioną w nowoczesny sposób stodołę. Wszystkie zostały solidnie ogrodzone jeszcze za lepszych czasów. Stalowe płoty na podmurowaniu nie powstrzymałyby może szturm, lecz na pewno nie ułatwiłyby sprawy atakującym.

Teraz całość otoczono drucianą siatką w trzech warstwach dodatkowo zabezpieczoną od góry drutem kolczastym. Ten mur musiał być postawiony już po berserku. Siatka wspierała się na niedawno ściętych drzewach, nie zaopatrzone jej też w furtkę, zapewne dlatego, że nikt nie wiedział, jak ją zrobić. Za wrota służył więc kawał siatki odsuwanej tuż przy drodze. Tam właśnie

pielgrzymów powitało trzech ponurych mężczyzn. Inni mieszkańcy tej twierdzy wyglądali zaciekawieni z okien.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – zawołał wesoło Ojciec, zdając się nie zauważać ani posępnych min komitetu powitalnego, ani tego, że dwaj jego przedstawiciele ściskali w rękach siekiery, trzeci zaś trzymał karabin myśliwski. – Przybywamy do was z Bogiem! Z Matką Boską! Z Czarną Madonną! Pochylcie głowy do błogosławieństwa, bracia!

– To teren prywatny – oznajmił brat z karabinem, ani myśląc pochylać głowy. – Proszę łaskawie wypierdalać.

– Nie obawiajcie się, nie przyszliśmy do was zebrać o pokarm dla ciała – nie tracił rezonu Ojciec. – Przeciwnie, to my przynosimy wam pokarm dla duszy! Czy wiecie, co to jest? – dramatycznym gestem wskazał Cudowny Obraz taszczonej na lektyce. – To sama Czarna Madonna, najprawdziwsza! My, niegodni, zabraliśmy Matkę, by powędrować z nią przez Polskę, niosąc ocalałym pociechę! Nie przede mną klękajcie, dzieci, ale przed Matką.

Mężczyźni spojrzeli ponad ramieniem Ojca na obraz. Jednemu z nich mina wyraźnie zrzędała, drugi zachichotał. Ten z karabinem uśmiechnął się krzywo.

– Świat zdechł, a zabobon ciągle żyje. – Splunął pod nogi Ojca. – Słuchaj, klecho, całe życie siedziałem pod butem takich jak ty. Koniec z tym. Wsadź sobie swojego Boga w dupę i wypieprzaj. To już wolny kraj i nasza ziemia. Jak was tu zobaczę po zachodzie słońca, poszczuję psami. One się nie boją przemocy. A i my – wykrzywił się kpiąco – z bożą pomocą jakoś się przemożemy. Tutaj waszego Boga nie ma i nie będzie. Zrozumiano?

– Bóg jest nawet tam, gdzie go nie chcą – zaoponował Ojciec. – Nie odrzucajcie szansy na zbawienie. Czy berserk

niczego was nie nauczył?

– Nauczył nas, że nie damy sobie już nikomu wejść na głowę. Jesteśmy tu wolni i szczęśliwi, klecho. Żyjemy według własnych, zdrowych zasad. Chcecie się modlić do obrazu? Ja wam tego nie bronię. Świat jest wielki i pusty. Znajdziecie sobie miejsce. Pewnie znajdziecie nawet głupców, którzy was posłuchają. Ale nie tu.

Ojciec westchnął. Ciężko. Bolesnie.

– Odejdziemy – odezwał się cicho. – Ale zapytam was ostatni raz. Czy nie zechcecie nawet posłuchać o tym, co naszym zdaniem się zmieniło? Jak chcielibyśmy żyć w Bogu?

– Ostatni raz mówię: wypieprzajcie stąd. Jeśli pójdziecie szosą dziesięć kilometrów, znajdziecie wieś. Pustą, nie licząc trupów. Jest tam żarcie, jest woda. Nawet kościół jest. Tam sobie odprawiajcie te wasze gusła. Jeśli nie ruszycie stąd zaraz dupy, spuszczę psy. Słowo daję.

– Dobrze więc. – Ojciec opuścił głowę. Odwrócił się do pielgrzymów. – Nie chcą tu Boga, moje dzieci. Nie otworzyli serc i drzwi przed Matką! „Jeśli jakieś miejsce nie przyjmie was ani nie będą chcieli was słuchać, odchodząc stamtąd, strząśnijcie proch ze swoich stóp jako świadectwo przeciw nim”<sup>1</sup>, jak napisał święty Marek. Tak też zrobimy. – Demonstracyjnie strącił pył z butów. – Śpiewajmy!

Tylko Marek obejrzał się za siebie. Bezbożnicy odprowadzali pielgrzymów wzrokiem. Rozmawiali ze sobą, chyba kpili, bo zaśmiewali się w głos. Ciekawe, czy byliby zdolni użyć tej broni? Jeśli berserk na całym świecie działał tak samo, pewnie trzymali ją tylko na pokaz. Ale psy stanowiły całkiem niezły argument. Zwierzęta, o ile Marek wiedział, nie zachorowały. Z drugiej strony

poszczucie psem to jak użycie broni. Ale może nie chodzi o czyn, lecz o przekonanie, że się samemu nie użyło przemocy?

– Śpiewać! – upomniał wiernych Ojciec. – Co wam tak dusze podupadły? Bo niewierni nie przyjęli nas pod swój dach? To jak Pana naszego Jezusa Chrystusa! Nie martwcie się, znajdzie się i dla nas stajenka! Śpiewajmy!

Wyznaczoną śladami samochodów drogą dotarli do szosy. Kierując się nią, odnaleźli wieś, o której wspominali niewierni. Śpiewali przez cały czas i tylko Krzywy z Rumcajsem schodzili niekiedy ostrożnie z drogi, by wracać po paru minutach i meldować coś Szymonowi. Dopiero gdy zatrzymali się pod kościołem stojącym na skraju wsi, będącym jedną z tych nowoczesnych budowli sakralnych ze stali, szkła i betonu, okazało się, że niewierni śledzili ich przez blisko pięć kilometrów, nim uznali, że pielgrzymka nie stanowi dla nich zagrożenia.

– Bracie Szymonie, niech brat rozdzieli grupy do przetrząśnięcia chałup. My zatrzymamy się w domu Pana. Bracie Marku, pozwól ze mną.

Marek przeszedł ostrożnie obok mocno już dotkniętego rozkładem ciała. Tu rzeczywiście nikt nie przejmował się utylizowaniem trupów. Zastanowił się, czy niewierni nie pochodzili właśnie z tej wsi. Mało prawdopodobne wydało mu się, by byli właścicielami ukrytych w lesie dacz, raczej zajęli je, słusznie spodziewając się, że ci, do których należały, nie wrócą.

– Ojciec? – zapytał, otwierając ciężkie kościelne wrota. – W czym mam ci pomóc?

– Dziś w nocy pomodlimy się w sposób szczególny – odparł ksiądz. – Chcę, żebyś był przy mnie.





## Rozdział 5

Popołudnie upłynęło im tak jak zwykle. Uprzątnęli kościół i plebanię, by przygotować się do noclegu. Przygotowali obiad, a następnie lekką kolację. Modlili się. Przysiedli wokół ołtarza, na którego schodach usiadł Ojciec, i odbyli środową rozmowę, przerywaną w południe przez stróżkę dymu.

Pytali oczywiście o niewiernych. Jak to możliwe, że tacy się uchowali mimo widocznych znaków końca czasów. Krystyna sugerowała, że pielgrzymi powinni pozostać w okolicy, pełniąc służbę apostołską, póki tubylcy o zatwardziałych sercach nie ulegną.

– Nie możemy przerywać wędrówki – zaproponował Ojciec.

– To prawda, żal mi tych ludzi. Ale co by było, gdybyśmy zatrzymywali się za każdym razem, gdy napotkamy niedowiarków? Na ile? Tydzień? Miesiąc? Nie, córko. Naszym celem jest zgromadzenie wiernych pod naszymi sztandarami, pod sztandarami Matki.

– Wtedy na nich ruszymy? – wyrwała się Danka.

– Nie, córko. – Ojciec uśmiechnął się łagodnie. – Nie będziemy na nikogo ruszać. Od krucjat minęło prawie tysiąc lat. I dobrze. Posłuchajcie, dzieci. Czas dobrobytu minie. My wszyscy, synowie i córki Adama, musimy

pamiętać o słowach, jakie wyrzekł do niego Pan: „W pocie więc oblicza twego będziesz musiał zdobywać pożywienie, póki nie wrócisz do ziemi, z której zostałeś wzięty”<sup>2</sup>. Sklepy, z których czerpiemy zaopatrzenie, nie będą zawsze pełne. Przyjdzie zima, a po niej następna. Będziemy musieli ciężko pracować, by mieć co jeść. Ci, których będzie więcej, którzy będą lepiej zorganizowani, poradzą sobie z tym. Ci, których wiedzie Pan i którym wlewa siłę w serca, dadzą sobie radę. Przetrywamy. A tacy jak oni? Wątpiący i przestraszeni, szczujący gości w progu psami? Ile w nich wiary i siły? Skąd je mają czerpać? Ci, którzy przetrwają zimę i następną, sami przyjdą do nas, by ogrzać się przy naszym ogniu.

– I wtedy my ich przepędzimy? – ucieszył się Rumcajs.

– Wtedy my ich przyjmujemy jak synów marnotrawnych – nie stracił cierpliwości Ojciec. Widząc jednak rozczarowanie wyraźnie malujące się na twarzy Rumcajsa, dodał: – Ale będą musieli odpokutować za swoją pychę i grzechy.

Każdy zrozumiał ową „pokutę” po swojemu, lecz większość wyglądała na usatysfakcjonowaną. Markowi natomiast było wszystko jedno, jak żyją niewierni i czy przetrwają. Choć do tej pory planował dla siebie podobne rozwiązanie, zaczął się teraz zastanawiać, czy plan Ojca nie ma większego sensu. Rzeczywiście, koniec końców przetrwają lepiej przystosowani. A to oznaczało też: silniejsi. Bo nie miał wątpliwości, że do walki o zasoby dojdzie. Czy on przeżyłby z Jadźką w ukrytym domu, gdyby odnalazła go tam jakaś głodująca horda? Nawet gdyby zaopatrzył się w broń palną i psy, mógłby wreszcie ulec. Może gdyby też stworzył grupę z kilkoma innymi parami? Ale to oznaczałoby, że trzeba kogoś do siebie

zwerbować. A skąd wziąć kogoś, komu się ufa?

Pogrążony w myślach prawie przegapił końcówkę rozmowy. Przemodlił wieczorne nabożeństwo, nawet nie zwracając uwagi na krótkie kazanie Ojca. Cały czas zastanawiał się, co zrobi, gdy wyodrębni z grupy zabójców syna. Pozabija drani we śnie? Co powie ocalałym? Prawdę? Zaciągnie ich z powrotem do Częstochowy, żeby pokazać ciała? Jaki to ma sens? Żadnego. Więc co, będzie musiał porzucić grupę i uciec? Zostawić tę cholerną Jadźkę, z którąś jakoś się już związał? No dobrze, uczucia gasną, przeboleje ją, to kwestia czasu. Co dalej? Będzie musiał znaleźć sobie jakąś grupę i przyłączyć się do niej. Ale pewnie ludzie tworzą plemiona właśnie teraz, kiedy on siedzi tu ze swoim, planując zabicie jego szamana.

Znów znalazł się w dupie. Bez dobrego wyjścia. Więc może olać tego gówniarza, którego żywego nigdy przecież nie widział. Życ w zakonie, pieprzyć co miesiąc nowe kobiety i zaludniać ziemię według zasad potworów. Zrobiłby pewnie między nimi karierę, o ile wybaczyliby mu, że jest obcy, bo nie poddaje się spowiedzi.

„Krew z krwi! – zawyła w nim siostra. – Jesteś mieczem Pana!”

Stłumiłby i ten gniewny głos. Kiedyś. Ale teraz poczuł znów narastający w nim gniew. Z jakiegoś powodu Ojciec kazał zabić jego syna. Dowie się, dlaczego oraz kto brał w tym udział. I wtedy zdecyduje.

– Bracie? – Ojciec pochylał się nad nim. – Tak się zapamiętałeś w modlitwie, że przegapiłeś koniec?

– Ojcze? – przestraszył się, że kapłan mógł dostrzec coś na jego twarzy.

– Wychodzimy przed kościół, synu. Zapadł już zmrok. Czas na modlitwę, o której ci mówiłem.

Jadźka, rozbawiona gapiostwem Marka, pociągnęła go za sobą na zewnątrz. Wybiegli przez bramę na ulicę. W ciemnościach ledwie rozjaśnianych światłem wspinającej się dopiero na niebo połówki księżyca ukłękli w kręgu, jak nakazał Ojciec, i chwycili się za ręce. Marek prawą dłonią ścisnął dłoń Ojca, silną i chłodną, lewą – Jadźki, miękką i ciepłą. Spojrzeli na siebie, uśmiechnęli się.

„Jakoś ją przekonam – pomyślał. – Zrozumie, gdy pokażę, co zrobili, gdy udowodnię, że to mordercy”.

– Pochylcie głowy, przymknijcie oczy – nakazał Ojciec. – Módlcie się. Módlcie się w ciszy, w sercach. Aż ujrzycie.

Sam także opuścił głowę, zaczął coś mamrotać pod nosem. Nagle jego chłodna do tej pory dłoń rozgrzała się dziwnie. Zacisnął ją mocno. Choć Marek miał niebagatelny praktykę w pojedynkach na ściskanie łap, teraz syknął z bólu. Nie spodziewał się po księżulu takiej pary.

Ale jeszcze bardziej zaskoczył go ból w drugiej dłoni. Jadźka wpiła się w nią paznokciami i naciskała dalej. Też modliła się cicho, lecz z czasem jej mamrotanie przerodziło się w powarkiwanie bez słów. Wtem jakby kaszlnęła i ucichła. Równocześnie wyrwała dłoń z uścisku Marka. Otworzył oczy. Krzyknął, zrywając się na równe nogi na widok tego, co zobaczył.

Tylko Ojciec klęczał jeszcze. Pozostali stali w milczeniu, pochyleni, lekko kołysząc się na nogach. Patrzyli po sobie, ale jakby się nie widzieli. Markowi wydali się więksi i w jakiś sposób groźni. Sprawiali wrażenie, jak gdyby szykowali się do skoku. Niektórzy unosili głowy, węsząc, inni kręcili nimi, nasłuchując.

– Niezbadane są ścieżki Pańskie – przemówił cicho Ojciec. – Idźcie, moje dzieci. Idźcie do wioski niewiernych

i oczyśćcie ziemię. Wróćcie do mnie, gdy dzieło będzie skończone.

Nie trzeba im było dwa razy powtarzać. Śmignęli bezgłośnie. Biegli jak ludzie i jak nie ludzie. Na nogach, nie poruszając rękami, ale nieludzko skoncentrowani, kierowani jedną myślą.

– Coś ty im zrobił? – Chętnie chwyciłby Ojca za tę jego sutannę, przyciągnął do siebie i poczęstował pięścią. Żeby zrozumiał, że to poważna rozmowa, i żeby nie kręcił. Ale bał się, że tamci mogą usłyszeć i wrócić.

– To dzieci Boże – odparł Ojciec, wstając. – Matka ich prowadzi.

– Dokąd?

– Do niewiernych, synu. Dla tamtych nie ma miejsca na ziemi.

– Ale przecież sam mówiłeś...

– Wlewam w uszy moich dzieci słowa łaski i miłosierdzia. Bo ich dusze muszą być czyste, by mogli zbudować nowy ład na świecie. Ale czasem, cóż... – westchnął. – Na zło starego świata trzeba mocniejszych działań niż sama modlitwa. Mówię to z żalem, lecz sam widziałeś. Niewierni obrażali Boga i Matkę Boską. Są jak wirusy. Zepsuliby ten świat swoją chciwością i egoizmem, jak zepsuli stary. Berserk, nowy potop, nie zdałby się na nic. Musimy odsiewać ziarno od plew.

Marek z trudem nad sobą panował. Zabije tego sukinsyna! To znaczy, że jego syn też był plewą do odsiania? Czym sobie na to zasłużył? Nie chciał uwierzyć w Boga? To niemożliwe. Jedyne, co siostra miała dobrego do powiedzenia o Goście, to że jest religijna. Suka może i gziła się ze wszystkimi sąsiadami, ale do kościoła biegła co niedzielę i przystrajała ołtarze na Boże Ciało. Patryk

pewnie znał katechizm na pamięć.

Ale może wierzył w Boga niewłaściwie? Nie rozumiał świętych dogmatów, na przykład o zabijaniu niewiernych?

„Muszę zapanować nad sobą” – przekonywał sam siebie, na przekór Kruchemu namawiającemu go, żeby wykorzystał okazję, ukatrupił klechę i spieprzał, nim tamci wrócą.

„Najpierw dowiedz się, co z nimi zrobił” – poradził Doktorek.

– Jesteś skonsternowany. – Ojciec uśmiechnął się po swojemu, łagodnie. – Wróćmy do kościoła, synu. Mam w plecaku nieco koniaku. Dobrze ci robi.

– Skonsternowany? – warknął Marek. – Jestem, kurwa, przerażony! Coś ty im zrobił? Że tak wstali i pognali. Zabijać? Zabijać tamtych ludzi z lasu? Jak? Czym? Bez zwiadu? Bez broni?

– Samo zabijanie ci nie przeszkadza? – Ojciec zmarszczył brwi.

„Zatłucz gnoja i po sprawie! Będzie, co ma być” – kusił Kruchy.

– Napiję się tego koniaku – odparł Marek, starając się zapanować nad sobą. Jadźka pobiegła między tamtymi szaleńcami. Trochę narwana, trochę złośliwa, wymagająca, ale i czuła. Cierpiąca za każdym razem, gdy wspominała, co robiła podczas berserka.

Nagle zrozumiał.

– Wprowadziłeś ich w berserk – szepnął, zatrzymując się na progu kościoła. – Obudziłeś w nich cholerny berserk!

– Taki otrzymałem dar od Pana – odrzekł Ojciec i uznając najwyraźniej, że Marek ustąpił mu miejsca przez szacunek, wszedł do kościoła, by zaraz odszukać swój plecak leżący pod ścianą. Pogrzebał w nim chwilę, wyjął

pękatą butelkę. Z bocznej kieszeni wydobył dwa metalowe kieliszki. – No, jest! Chodź, synu, usiądziemy na schodach. Nie będziemy się raczyć tym zacnym trunkiem przed najświętszym obliczem Matki. To wprawdzie nie grzech, chyba, ale czułbym się jakoś niezręcznie.

Marek poszedł za nim bez słowa. Berserk! Wyobraźnia sama podpowiadała niechciane obrazy. Oto Jadźka biegnąca w sforze. Sadzą długie susy, w ciszy. Psy wyczuwają ich, gdy się zbliżą, zaczną ujadać. Ogarnięci berserkiem nie przejmą się zaporą z drucianej siatki. Wdrapią się na nią szybko, nie zważając na drut kolczasty. Nie poczuwają bólu. Czy niewierni wystawią warty? Marek by tak zrobił po wizycie obcych. Czy wartownicy będą uzbrojeni w broń palną? Wystrzelą w ciemnościach, prawie na pewno chybią. Chyba że mają tam jakieś generatory i używają latarni. Pewnie nie, to byłoby głupie marnowanie energii. Atakujący, może nawet Jadźka, rozerwą więc wartowników na strzępy.

Czy tamci zadbali o kraty w oknach? Spróbował sobie przypomnieć. Nie, nie pamiętał żadnych krat. Ale mieli okiennice. Tylko czy owładnięci berserkiem się nimi przejmą? W tym stanie byli silniejsi i bardziej zdeterminowani.

Usiadł obok Ojca, pokornie przyjął kieliszek. Wychylił koniak jednym haustem. Odkaszlnął, gdy zapiekło go w gardle. Dawno nie pił mocnego alkoholu.

– Weź, na drugą nogę. – Ksiądz nalał mu ponownie.

– Chcesz mnie upić?

– Przeciwnie. Będiesz mi potrzebny przytomny. Kiedy okazałeś się odporny na spowiedź, w pierwszej chwili się przestraszyłem. Ale szybko zrozumiałem, że przysłał cię do mnie Pan. Żebym nie był samotny w moim dziele.

– Dobrze wiedzieć, że Bóg dba o psychikę swojego pasterza.

– Widzisz, jak ci koniaczek pomaga? Już się nie boisz i zrobiłeś się kaśliwy. Ale masz rację, dobrze otworzyć przed kimś serce, pokazać krzyż, jaki muszę nosić. Chociaż chodziło mi o bardziej praktyczną część...

– Krzyż? Chcesz powiedzieć, że się poświęcasz? Słuchaj, czy to ty sprowadziłeś zagładę na Ziemię? Bóg ci kazał? Dał ci moc... tego wszystkiego? Po to ta pielgrzymka? Żebyśmy wyróżnęli niedobitki?

– Pokrzyczysz jeszcze czy wolisz posłuchać?

– Kurwa, będę wrzeszczał aż do rana! Kim ty jesteś? Aniołem zagłady?

– To ja poczekam, aż ochłoniesz. Koniaczkę sobie popiję...

„Zabij go teraz, zanim on zabije ciebie”.

„Uspokój się i słuchaj! On może ci teraz powiedzieć najważniejsze rzeczy!”

„Krew z krwi, braciszku! Krew z krwi!”

– Uspokoilem się – zapewnił wciąż drżącym głosem Marek. – Nalej mi jeszcze.

– Ale teraz pij powoli. Mówiłem poważnie, że będę cię potrzebował przytomnego.

– Żebym to ja cię teraz wyspowiadał. Rozumiem. Gadaj.

– Dobrze z tą spowiedzią, wiesz? Trochę nawet może tak być. Ja cię nie wyspovídadam, lecz ty mnie na swój sposób możesz. Ale potrzebuję cię, żebyś mi pomógł, gdy wrócę.

– Sam cię nie obronię przed sforą.

– Wyglądam, jakbym potrzebował obrony? Oni mnie słuchają.

– Tak przetrwałeś berserk?

– Berserk. – Ojciec posmutniał. – Powiedziałeś, że to ja



go rozpętałem, ale to nieprawda. Byłem równie szalony jak wszyscy. Tak mi się wydaje, bo, wyobraź sobie, nie pamiętam. Straciłem pamięć. Zabłysło we mnie światło, a potem obudziłem się na środku ulicy poobijany, z krwią na rękach. Znasz ten stan.

– I nie pamiętasz, co się z tobą działo? Innym przypominasz, a sobie nie możesz?

– Sam siebie wypowiadać nie potrafię. Nie, kara za pychę, którą Pan zesłał na nas, upokorzyła także mnie. Myślę, że tak właśnie musiało być. Ocknąłem się, a obok leżał jakiś człowiek. Jęczał. Był ranny. Podeszedłem do niego, pochyliłem się, zacząłem sprawdzać, czy ma jakieś rany. Gdy dotknąłem jego głowy, przez nas obu jakby prąd przeszedł. I obaj zobaczyliśmy jego berserk. To była moja pierwsza spowiedź. Choć jeszcze wtedy tego nie wiedziałem.

– To Szymon, prawda?

– Nie. Tamten człowiek zmarł od ran. Ran, które ja mu zadałem. Bo, widzisz, w jego spowiedzi zobaczyłem na końcu siebie. Jak walczyliśmy i jak go zabijam. Nie był niewinny, polowaliśmy na siebie nawzajem. Ale mam jego krew na rękach. Skonał, złorzecząc mi. Choć błagałem o wybaczenie. A potem rzeczywiście spotkałem Szymona. Dotknąłem go, żeby sprawdzić, czy za pierwszym razem to ja to zrobiłem, czy tamten. Okazało się, że ja. I że spowiedź to łaska. Nie tylko przywraca pamięć, ale też oczyszcza duszę.

– I leczy ze wstrętu do przemocy.

– Uwierz mi, to nie jest efekt, który jest mi miły.

– Poważnie? Bo dziś wieczorem widziałem co innego.

– Żal mi tamtych ludzi. Ale muszę leczyć zarazę. Rozumiesz, świat upadł, bo oddaliliśmy się od Boga.

Urośliśmy w pychę. Czytałeś brednie o końcu ewolucji? Naukowcy wymyślili, że dotarliśmy do końca naturalnej ewolucji i że teraz człowiek będzie sam siebie kształtował. Znaleźli nawet nazwę: „postludzie”. Za każdym razem, gdy odwracasz się od Boga, tak się to kończy. Miliony cierpią, a natura ulega degeneracji. Ci niewierni to może i dobrzy ludzie, na swój sposób. Ale to załączki zniszczenia. Ludzie ze starego świata. Więc muszą zginąć, nawet jeśli to bolesne.

– Wiesz, że tak gadają fanatycy? Kolesie od wysadzania się w powietrze. Też robili to dla dobra świata.

– A świat cierpiał, bo nie potrafił się im przeciwstawić. Bo cywilizacja straciła jaja. Ale rozumiem, co masz na myśli. Co mam ci powiedzieć? Wiara jest łaską. Albo wierzysz, albo nie. Ja mam rację, oni jej nie mieli. Chcesz dowodów? Otrzymałem moc od Pana, dar, który pozwala mi spowiadać ludzi. A w razie potrzeby zmieniać ich na powrót w narzędzia Pana. Tamci musieli składać bomby po garażach. Do tego nie trzeba Boga, wystarczy inżynier. A potem jeszcze trafiłeś do mnie ty. Jakiego splotu okoliczności trzeba, żebyśmy się spotkali? Gdybym zaczął liczyć prawdopodobieństwo, okazałoby się pewnie, że prędzej asteroida uderzy w Ziemię. A przyszedłeś do mnie. Bo wiódł cię Pan.

Tu Ojciec i siostra się zgadzali. Tylko cele Bóg miał ich zdaniem odmienne.

– Czyli co, mamy się wyrzec technologii?

– A po co ci co pół roku jeszcze lepszy telewizor, telefon i samochód? Jaki to wszystko miało sens?

– Na przykład żebyśmy mieli technikę, która zestrzelił asteroidę, zanim w nas uderzy?

– Żartujesz? Komputery sterujące lotem na Księżyc były

dziesięć razy głupsze niż ten w twoim najnowszym smartfonie. A na Księżyc przestaliśmy latać i tak. Sensowny postęp stanął w miejscu. Rozwój nauki i techniki służył wyłącznie nakręcaniu PKB, bo cała cywilizacja oparta była na pobudzaniu coraz większego pędu. Od tej konsumpcji aż przegrzała się Ziemia. Dosłownie. Przecież efekt cieplarniany nie wziął się z naszego umiarkowania. Jak to połączysz z odejściem od religii, to od tego też nauka zaczęła korodować...

– Czekaj, nauka zaczęła korodować, bo ludzie odeszli od religii?

– Zaskakujące, co? Stare religie wytwarzają instytucje, na przykład Kościół katolicki. On nie był ideałem, jasne. Był jednak instytucją długowieczną i dzięki temu nauczył się dogadywać. Przyciągał dewiantów gwałcących dzieci pod osłoną instytucji, ale i geniuszy. I trzymał wiernych w żelaznej dyscyplinie. A co się stało, gdy nowoczesna cywilizacja sprawiła, że erodował? Pojawiły się sekty płaskoziemców i antyszczepionkowców. Wróciły stare zarazy, a ludzie, odwykli od dyscypliny w myśleniu, dali posłuch zabobonom. Teraz z czasem wrócimy do nauki. Do techniki, którą ludzie rozumieją. Nie będzie bankierów. Będą rolnicy i rzemieślnicy.

„To erystyka – roześmiał się Doktorek. – Skubany głądzi, żeby zamieszać ci w głowie. Odwraca uwagę od rzeczywistego problemu”.

– To erys... – spróbował powtórzyć Marek, ale urwał niepewny, czy ma sens posługiwanie się słowem, którego znaczenia nie znał. – Kręcisz, Ojczy. Opowiadasz o ideach, kiedy ja się pytam, czemu żeś zmienił Jadzkę i innych w bestie. Chciałeś zabić tamtych, bo Bóg tak chciał. I ja to rozumiem. Jakoś. Ale czemu tak narażać ludzi?

Odczekałbyś tu dzień, dwa. Potem wysłał zwiadowców, rozsądnych, a nie oszalałych. I zamiast pchać ludzi w berserku do walki, ostrzelałoby się tamtych z lasu, z ukrycia. Bez strat własnych.

– Czym ostrzelało? – zapytał Ojciec.

– Jak to czym? No tak... Ja przecież wiem, Ojczy.

– Co wiesz?

– A myślałem, że my tu szczerze, że mi się Ojciec spowiada. O spluwach mówię. O broni zabranej glinom. Tej, co ją wybrańcy noszą w plecakach poukrywaną.

– Jakiej broni, na miłość boską? – zawołał Ojciec. – O czym ty mi, dziecko, mówisz?

I nagle, patrząc w jego rozszerzone ze zdumienia oczy, Marek zrozumiał, że tamten nie kłamie. Nic nie wiedział o broni.

## Rozdział 6

Gdyby Marek mógł obserwować, jak przemienieni w bestie pielgrzymi gnają szosą z powrotem ku przysiółkowi niewiernych, zmieniliby może zdanie na temat berserka. Jadźka opowiadała mu wprawdzie o sforach, jednak nawet wtedy postrzegał je przez pryzmat filmów o zombie – jako bezmyślną, kierowaną tylko ślepym instynktem masę. Zdziwiłby się więc zapewne, widząc panujący wśród oszalałych pielgrzymów porządek. Biegli w ciszy, sadząc długie równe susy, pospieszne, lecz nie takie, które mogłyby ich wyczerpać przed dotarciem na miejsce. Wyrównali oddechy, nie rozglądali się na boki ani nie spoglądali na siebie nawzajem. Świadomi celu skupili się wyłącznie na nim.

Przy właściwej odnodze skręcili w nią, znów nie wymieniając choćby pomruku. Najpierw Sebastian z Mikołajem biegnący na czele grupy, co też mogło wydawać się zaskakujące, bo przecież ci dwaj na co dzień trzymali się raczej na uboczu, nie aspirując ani do roli liderów, ani choćby dusz towarzystwa. Prawie nie przyciągali uwagi, zawsze w cieniu innych, bardziej żywiołowych bądź przebojowych, a teraz wiedli sforę, a ona, w ciszy, w której nawet uderzenia miękkich

podeszew o asfalt wydawały się przytłumione, gnała za nimi jak za przewodnikami stada.

Gdy wbiegli w cień drzew, zrobiło się ciemniej, droga zmieniła się w dwie widmowe wstęgi, bardziej wspomnienie o samochodach jeżdżących tędy całkiem niedawno, a jednak w innym, prehistorycznym już teraz świecie, niż w rzeczywistości widziany ślad. Odcinała je od siebie rozrastająca się kłębami ciemności trawa. Łatwo tu było potknąć się o kamień, niespodziewaną wypukłość terenu albo choćby i zaplątać w porzucone gałęzie. Mimo to nie zwalniali. Powinni już czuć zmęczenie, przebiegli wszak równym, szybkim tempem dziesięć kilometrów, ale żadne z nich nie czuło choćby pokusy skargi. Ich płuca i serca pracowały miarowo, ich mięśnie nie protestowały, przeciwnie, wydawały się ochoczo dostosowywać do potrzeb, rozgrzewały się z każdym krokiem, odnajdując wspomnienie pracy, jaką musiały wykonywać podczas poprzedniego berserka.

Jadźka, ta sama pełna rozterek Jadźka, daremnie ukrywająca swoje wahania za maską zadziorności, teraz pewnie rozczarowałaby Marka. Bo nic nie myślała. Żadne wątpliwości nie opanowały jej, gdy biegła w samym środku sfory, jak i inni nie rozglądając się na boki, choć w ciemnościach między drzewami mogła czyhać jakaś zasadzka. Nawet gdy zaczęły ujadać psy, nie zwolniła, nie zmyliła kroku, nie zastanowiła się, czy nie przydałoby się może wypróbować jakiegokolwiek strategii. Jak inni biegła ku zabudowaniom, widocznym już jako nieforemne cienie, ciemność w ciemności na tle błyszczących zimno psych oczu.

Nagle przyspieszyli. Jak na znak, jednocześnie. Dopadli siatki, prawie wbili się w nią i zaczęli się po niej wspinać,

wykorzystując szerokie oczka dla podparcia czubków butów. Spieszyli się. Potrzebowali susa, dwóch, by wskoczyć na ogrodzenie, a potem przesadzić je wysokim skokiem, o ile to możliwe, unikając kontaktu z drutem kolczastym. Nie wszystkim się udało. Grażynie wystający koniec wbił się w dłoń, Chudemu rozorał kciuk. Jeśli nawet to zauważyli, nie zwrócili na to uwagi.

Ktoś krzyknął, ale nie był to żaden z nich, lecz przysypiający na balkonie strażnik. Jeszcze ich nie widział, krzyczał raczej na psy niż na szarżujących już ku zabudowaniom napastników. Dopiero kiedy pierwszy z psów, kundel po owczarku i bokserce, zaskowyczał, gdy Szymon rozrywał go na strzępy, wartownik zorientował się, że zostali zaatakowani.

Psy rzuciły się na mnichów, lecz atakowały bez przekonania. One pamiętały takich ludzi. Pamiętały, jak ich panowie, ci ludzie jak bogowie karmiący je i wyprowadzający na spacer, bawiący się z nimi piłkami i kijkami, czasem czuli, a czasem władczy, jednak zawsze najbliżsi, zmienili się w bestie, przed którymi można było tylko uciekać. Z trudem przewyciężały nieufność, gdy powrócili starzy ludzie. Czuli wobec nich wdzięczność, pomogli bowiem pokonać samotność, jaka spadła na nie, kiedy ludzkość upadła. I teraz, w imię tej wdzięczności, ginęły zrozpaczone, że nie mogą skutecznie pomóc dobrym ludziom w walce z bestiami. Bo bestie okazały się zbyt silne.

Dwa uciekły z podkulonymi ogonami, zawstydzone i pełne smutku.

Padł pierwszy strzał. Rozbłysk oświetlił twarz strzelca. Malowała się na niej desperacja. Kula przecięła ciemność, świsnęła nad uchem Anki, wielkiej i brązowookiej,

potrafiącej zazwyczaj patrzeć na człowieka z cierpliwą mądrością krowy, gotowej sprostać wyzwaniu każdej nużącej pogadanki i odnaleźć przypadkowe, acz właściwe słowo w rozmowie z kimś, kto akurat chciał się wygadać. Anka nigdy nie śmiała się w głos, nigdy nie krzyczała i z rzadka tylko klęła. Teraz, posapując z lekka, uderzała martwym psem w drzwi, starając się je wyważyć. Miękkie ciało zapadało się w jej dłoniach, dużych i ciężkich. Z każdym uderzeniem palce coraz głębiej zatapiały się w jeszcze ciepłe mięso. Czaszka zwierzęcia pękała z wolna. Anka biła bez furii, lecz zapamiętała. Gdyby ją zapytać, gdyby mogła zdobyć się na taką refleksję, powiedziałaaby może, że podczas pierwszego berserka było chyba inaczej. Że wtedy wiódł ją głód, pragnienie zaspokojenia tej dziwnej, nienazartej wściekłości. Teraz była opanowana. Znała swój cel, ale nie wzbudzał w niej aż takich emocji.

Mężczyzna wystrzelił drugi raz. Krzyczał do kobiet, aby uciekały drogą ewakuacyjną, którą przygotowali na wszelki wypadek. Mnisi nie zrozumieli jego słów, lecz bełkot rozdrażnił ich dodatkowo. Mikołaj i Krzywy podsadzili Olgę. Ta wskoczyła na ich złożone dłonie, dała się unieść ku balkonowi, na którym stał strzelec. Wspięła się na ramiona Mikołaja, odbiła od nich, wzleciała. Uchwyciła się gzymsu, podciągnęła się. Objęła dłońmi metalowe zdobienia balustrady, nie zważając na to, że kunsztownie rzeźbione liście winorośli kaleczą jej dłonie. Znów się podciągnęła. A wszystko w ciszy i ciemności. Tylko zwierzyna bełkotała, łowcy milczeli. Dlatego strzelec dojrzał ją dopiero, gdy wypalił po raz trzeci, a rozbłysk wystrzału równocześnie oślepił go, ale i rozświetlił na moment okolicę. Zobaczył więc te wielkie oczy Olgi, błękitne najpiękniej na świecie, jej usta – zmysłowe małe



podkówki jak zwykle ubarwione ciemną szminką, bo przecież dziewczyna nie wiedziała, w co zostanie przemieniona po zmroku. Gdyby miał czas się nad tym zastanawiać, wydałaby mu się może blada. Zamiast tego zdumiał go spokój malujący się na jej obliczu. „Czy tak wyglądaliśmy?” – pomyślał, bo czasem ludziom przychodzą do głowy nieoczywiste i niepotrzebne myśli w chwilach grozy i napięcia, o on oczywiście nie pamiętał berserka. Gdyby wpuścił pielgrzymów i ucałował Cudowny Obraz, spotkałaby go może łaska spowiedzi i dowiedziałby się, że wcale nie, nie tak wyglądali ludzie podczas pierwszego berserka. Byli cisi, ale na ich twarzach malowało się wszystko tylko nie spokój.

Wycelowwał, lecz brakło mu wprawy, by z broni o długiej lufie oddać udany strzał do osoby stojącej tuż przed nim. Olga okazała się zbyt szybka, a celowanie karabinem przy takiej odległości przekroczyło umiejętności początkującego strzelca. Krzyczał, gdy kopała go, sięgała paznokciami do jego oczu i ust. Krzyczał dzielnie, by pozostali się nie poddawali, by uciekali ścieżkami, które poznawali w trakcie niekończących się ćwiczeń. Zapewniał, że kogoś kocha i że będzie dobrze. Ale ani Olga, ani Grażyna, która wspięła się zaraz za nią, nie rozumiały jego słów. Zrozumiały dopiero, gdy zaczął krzyczeć wyłącznie z bólu, a potem ucichł. Wtedy go zostawiły.

Wcześniej, kiedy po raz pierwszy ludzkość ogarnął szal, część sfory porzuciłaby polowanie, by pożerać ofiary. Tym razem jednak było inaczej. Ledwie upewnili się, że niewierny nie żyje, rzucali się na następnego. Rozpierzchli się po lesie, gdy ogłupiali od grozy ludzie rezygnowali z zaplanowanej ścieżki ewakuacyjnej i w panice uciekali wiedzeni samolubną nadzieją, że bestie podążą śladem

kogoś innego. Mylili się, bo niesionych furją berserka myśliwych było więcej niż zwierzyny. Pielgrzymi dzielili się więc na coraz mniejsze grupy, gotowi kontynuować pościg choćby w pojedynkę. Nie znali lęku, nawet instynkt samozachowawczy nie miał do nich dostępu.

Jadźka należała do tych, którzy ostatecznie pobiegli sami. Przeskakiwała zgrabnie nad korzeniami, uchylała się zręcznie przed gałęziami. W ciemnościach nie widziała lepiej od zwykłego człowieka, potrafiła jednak szybciej reagować. Ścigała mężczyznę, jednego z tych, którzy przywitali pielgrzymkę, ściskając siekiere w dłoniach. Nie pamiętała tamtego spotkania ani niegościnnego zachowania. Interesowało ją wyłącznie polowanie. Zatrzymała się na niewielkiej polance. Może i czyjeś stopy zmiażdżyły na niej wybujałą trawę, lecz w ciemności trudno było to dostrzec. Pociągnęła nosem, ale nie wyczuła żadnego zapachu. Choć ogarnięci berserkiem korzystali ze zmysłu powonienia, szal tak naprawdę nie wyostrzył go. Równocześnie nasłuchiwała. Cokolwiek żyło w tym lesie, umilkło. Żadne nocne ptaki czy zwierzęta nie chciały przyciągać uwagi oszalałych ludzi. Nasłuchiwała więc przyspieszonego oddechu ofiary. Może wzmożonego bicia serca, gdyby ukrywał się gdzie blisko.

Udało mu się ją oszukać. Przywarł do ziemi ukryty za szerokim pniem starego dębu. Zdołał jakoś uspokoić oddech, choć płuca aż kłuły go z wysiłku. Gdy kobieta minęła go, oczekiwał, że pobiegnie dalej w las. Przeżył przykre rozczarowanie, kiedy zatrzymała się i uniosła głowę, pociągając nosem niczym zwierzę szukające obcego zapachu. Zagryzł zęby, podnosząc się ostrożnie. Prawą dłoń zaciskał na stylisku siekiery, lewą wyciągnął przed siebie, być może chcąc schwycić bestię za te kręcone włosy,

przyciągnąć do siebie i roztrzaskać jej łeb jednym celnym uderzeniem.

Stąpił ostrożnie, modląc się w duchu do każdego rodzaju boga, który okazałby się na tyle łaskawy, by usunąć z jego drogi suche gałęzie i wyboje. Nie skojarzył atakujących ich dom bestii z fanatykami odpędzonymi minionego dnia. Nie rozpoznał w ciemnościach żadnej z osób, a tamci byli przecież normalni. Widocznie wciąż jeszcze krążyli po świecie ludzie opanowani przez berserk, nikt w końcu nie powiedział, że wszystkim choroba miała minąć w tej samej chwili. Epidemia zaczęła się od pojedynczych przypadków i upłynęły tygodnie, nim ogarnęła całą ludzkość. Skradający się mężczyzna nie wiedział zatem, kogo atakuje. Wstrzymał oddech, uniósł siekiere do ciosu przekonany, że robi to straszliwie powoli, dając potworowi czas na reakcję.

Nie dał. Jadźka stała bez ruchu dziwnie otumaniona. Wbijiała wzrok w ciemność przed sobą kuszona cieniami gałęzi kołysanymi delikatnie przez wiatr. I zginęłaby, gdyby Adam nie wypadł nagle spomiędzy drzew, rozpędzony, skupiony na celu. Jego usłyszała. Obróciła się prędko, kątem oka dostrzegła opadające ostrze siekiery i zareagowała natychmiast, odskakując w tył susem tak prędkim i gwałtownym, do jakiego nie byłaby zdolna w normalnym stanie. Krzyknęłaby, gdyby emocji nie dławił jej ten tajemniczy nowy berserk. Zamiast tego, ledwie wylądowała na ziemi, niemal natychmiast rzuciła się ku obalonemu mężczyźnie. Gdy mordowała go wraz z Adamem, tylko zabijany krzyczał. Zatlukli go na śmierć. Pozostawili coś, co nie przypominało już ciała, ledwie krwawą miazgę wbity w miękką ziemię. Nie oglądając się za siebie, pobiegli wspólnie w las w poszukiwaniu

niedobitków. Szukali ich aż do świtu, z rzadka tylko wpadając na ocalałych. Wreszcie sfera uznała, że praca została wykonana, i zebrała się do powrotu. Znow biegli miarowo, najpierw ku wschodzącemu słońcu budzącemu cienie, które kiedy indziej mogłyby wydać się im złowrogie. Gdy dotarli do szosy, słońce przyświecało im już z lewej strony, uwypuklając ślady po szaleństwie minionej nocy: skórę zdartą na dłoniach, krew zasychającą na ciele i ubraniach. Długie cienie rzucane przez spokojnie, niczym na porannym joggingu, biegnących ludzi wyglądały jak wilcze.

Opanowani, świadomi nowego celu, zapominający już o rzezi, jaką dopiero co urządzili, nie oglądali się za siebie. Przez to przegapili, że ktoś jednak ocalał i teraz podążał ostrożnie ich śladem.

## Rozdział 7

Przeszukiwali bagaże w milczeniu. Nie umawiając się, zgodnie podzielili się pracą. Ojciec wziął na siebie te porzucone pod wschodnią ścianą kościoła, a Marek pod zachodnią. Otwierali plecaki, rozsypywali toboły. Starali się działać spokojnie i metodycznie, odtwarzać zastany ład lub nieład, by nikt nie zorientował się, co zrobili. Jakkolwiek trudno mówić o naruszaniu prywatności w zakonie, w którym wszystko miało być wspólne, przecież ludzie także w takich warunkach, nawet ci najbardziej oddani, zachowywali dla siebie choć odrobinę intymności. Przechowywali nic nieznaczące dla kogo innego drobiazgi, przywiązywali się do przedmiotów bądź wybranej odzieży. Marek odnajdywał niespodziewane skarby: pamiątkę pocztówkę znad dalekiego morza, pomarańczowy kamień, a nawet lalkę z zestawem sukienek. Anka, jak się okazało, prowadziła pamiętnik. Przerzucił go pobieżnie, cały czas oglądając się nerwowo na Ojca, ale zawartość rozczarowała go. Nie padało w nim słowo „berserk”, zawierał wyłącznie opisy życia Anki sprzed katastrofy. Takie wspomnienia kompletnie nie interesowały Marka.

Prędko schowali je z powrotem.

– Chciałbym przeszukać jeszcze rzeczy Ojca – oznajmił

Marek, patrząc kapłanowi w oczy. Wciąż mu nie ufał. Zły był także, że to Ojciec sprawdził rzeczy Szymona, wśród których znajdowały się cenne kroniki.

– Przeszukuj. – Ksiądz uśmiechnął się smutno i odwrócił się do Marka, by uklęknąć przed ołtarzem i zatopić w modlitwie.

Wcielenie niewinności. A przecież broni musiało być więcej! W siedzibie policji w Częstochowie Marek nie znalazł nic. Gdzie więc podziały się te wszystkie hełmy, tarcze, pałki teleskopowe, gdzie przepadła broń maszynowa? Przecież gliniarze z całkiem sporego miasta nie mogli polegać wyłącznie na broni krótkiej! Czy Szymon mógł zdecydować, że nie zabiera całego arsenału na pielgrzymkę? To byłoby nawet zrozumiałe. W podróży łatwiej ukryć pistolet niż takiego kałacha, jeśli oczywiście gliniarze używali jeszcze kałasznikowów. Prawdę mówiąc, na broni Marek znał się tyle, ile zobaczył w filmach. Nie potrafiłby nawet nazwać odnalezionych pistoletów. Wiedzy starczyło mu, by zrozumieć, że nie były rewolwerami. Nie miał pewności, czy wiedziałby, jak ich używać, gdyby przyszło co do czego. Dlatego bez większego trudu stłumił pokusę, by przywłaszczyć sobie jeden z pistoletów. Gdyby właściciel zorientował się, że został okradziony, a to z pewnością nastąpiłoby szybko, Marek i tak nie miałby szans w starciu z czterema osobami, które z pewnością wiedziały, jak korzystać ze spluw. Przynajmniej raz już to zrobiły.

„Czy to ważne, dzieciaku? – strofował go Kruchy. – Teraz masz już listę! Na co chcesz czekać?”

„Przestaję się dziwić, że ciągle zamykali cię na nowo – kpił Doktorek. – Myślałem, że dawałeś się złapać, bo nie umiesz żyć w normalnym świecie. A ty po prostu jesteś

kretynem”.

Jeśli zostawili większość arsenału w klasztorze, musieli mieć w tym jakiś cel, dumiał Marek. Przecież nie po to zrabowali takie bogactwo, żeby je porzucić. Ale zaraz, czy na pewno? Przecież działali w pośpiechu. Szymon myślał rozsądniej niż większość ludzi, starał się przewidywać wypadki i planować. Ale i tak musiał strzelać w ciemno. Zabrał całą broń, bo uznał, że może mu się przydać i że lepiej, aby miał ją on, a nie ktoś inny. Przydała mu się, gdy on, albo ktoś na jego rozkaz, zabił mi syna.

„Krew z krwi, braciszku! Pamiętaj!”

Zignorował pomrukiwania siostry. Kombinował dalej. Szymon mógł się po pewnym czasie zorientować, że tak naprawdę cały ten arsenał nie okazał się tak ważny, jak wydawało się na początku. Większość ludzi do tego stopnia brzydzi się przemocą, że wystarczy, by przebudzeni spowiedzią zakonnicy dali im po mordach, aby sterroryzować dowolną społeczność. Zwierzęta też boją się ludzi i unikają ich. Po co więc taszczyć ze sobą kilogramy broni, jeśli wystarczy kilka spluw w rękach zaufanych osób?

No dobrze, ale co z pozostałymi? Zniszczył je? Jak? To chyba niemożliwe bez narobienia hałasu, który przyciągnąłby uwagę. Marek nie wyobrażał sobie jednak, by Szymon zaryzykował oddanie broni w cudze ręce. Zatem zapewne ukrył ją gdzieś. To żaden problem w wielkim klasztorze. Miał wystarczająco dużo czasu, by przeszukać go dokładnie i znaleźć jakieś ustronne albo przynajmniej nierzucające się w oczy miejsce, na przykład gdzieś w podziemiach. Takie zaopatrzone w grube drzwi i solidny zamek. Ci, którzy ocaleli w Częstochowie z berserka, mogą opanować klasztor, jeśli zechcą. Ale bez elektryczności

pewnie nie będą się spieszyli do przeczesywania piwnic, a jeśli nawet, nie muszą znaleźć ukrytego pomieszczenia. A gdyby znaleźli, będą jeszcze musieli sforsować drzwi. Klucze do wszystkich Szymon zabrał ze sobą w pielgrzymkę.

A to znaczyłoby, że planował wrócić.

No dobrze. Wróci. Podporządkuje sobie tych, którzy przejęli klasztor, albo wygna ich bądź zwyczajnie pozabija. To wszystko wydawało się Markowi rozsądne. Ale po co w takim razie w ogóle wyruszał na pielgrzymkę? Wyjąwszy kwestie wiary, z punktu widzenia człowieka praktycznego, jakim niewątpliwie był Szymon, ta wycieczka była najgłupszym pomysłem pod słońcem.

Chyba że ukryty w cieniu Cudownego Obrazu, przyjmując rolę szczerego katolika w oczach jednych, a zafiksowanego dewota w oczach drugich, zamierzał przekonać się, jak wygląda kraj po berserku, przeprowadzić coś w rodzaju działań zwiadowczych, a do tego zdobyć paru rekrutów. No i sprawdzić, na co stać jego ludzi w szeregach zakonników, i może jeszcze paru dodatkowych przeciągnąć na swoją stronę.

Może jeszcze...

„No właśnie – uśmiechnął się z satysfakcją Doktorek. – Czekałem, aż na to wpadniesz”.

Marek zamknął z powrotem plecak Ojca. Nie znalazł w nim nic nadzwyczajnego, choć zastanowiło go, że bagaż księdza przypominał jego własny. Też mieścił apteczkę, zwój cienkiej liny, trzy noże o ostrzach do zróżnicowanych zastosowań, tabletki do oczyszczania wody, liofilizowaną żywność wyglądającą na wojskową, hubkę i krzesiwo obok starannie owiniętych folią pudełek zapalek i zapalniczek. Znalazło się miejsce i dla niewielkich rozmiarów Pisma



Świętego, a także lekki drewniany krucyfiks. Zawartość plecaka Ojca bardziej kojarzyła się z kimś wyruszającym na wyprawę w dzicz niż z księdzem po kolędzie.

Wśród zebranych rzeczy był też zestaw igieł i nici, plastikowe nożyczki i solidne nożyce krawieckie, a nawet komplet skalpeli. Pistoletu tam jednak nie było.

– Zadowolony? – Ojciec, słysząc kroki Marka, przerwał modlitwę, przeżegnał się i wstał z kolan.

– Czy on wie? – zapytał Marek.

– Kto? O czym?

– Czy Szymon wie? O twojej mocy, o nowym berserku?

– Nie. Tylko ty wiesz.

– No to nie rozumiem. – Marek opadł na ławę. – Po co on z nami idzie?

– Najwyraźniej kiedy ja zawierzałem ufność Bogu, ty odwalasz detektywistyczną robotę, synu. – Ojciec usiadł obok Marka, położył mu dłoń na ramieniu. – Porozmawiajmy.

– Znowu spowiedź, tak?

– Rozmowa. Choć wiesz, dobra spowiedź też powinna mieć formę rozmowy. Ludzie przywykli, że odbębniają listę swoich grzechów, czasem zaczynając od formułek, jakich nauczyli się jeszcze jako dzieci...

Dzieci! Czy Ojciec wiedział? To, że Szymon użył broni palnej, nie znaczyło jeszcze, że nie działał na polecenie Ojca.

„Ciągle brakuje nam kilku elementów – przytaknął Doktorek. – Po co zabijać dzieci? Bo tak nakazuje szaleństwo? Szaleńcy bywają metodyczni i na pozór rozsądni, to prawda. Jak pojąć ich motywę?”

„Pieprzyć motywę! – pieklił się Kruchy. – Jako wariat nigdy ich nie zrozumiesz. Jako mądrala też. Zabij gnojów!”

Póki masz okazję! Zanim ten księżulo cię sypnie!”

Prawda! Kruchy mógł mieć rację. Marek odruchowo skłaniał się, by uznać Ojca za sojusznika, ponieważ ten był wyraźnie i szczerze wstrząśnięty odkryciem broni. Ale co z tego? Dlaczego ksiądz miałby stanąć po jego stronie, a nie po stronie swego oddanego podkomendnego, który tak udanie zarządza zakonem?

„Możesz jeszcze zabrać wszystkie klamki – kusił Kruchy. – Wtedy tylko ty będziesz uzbrojony. Zastrzelisz gnoi, gdy będą bezbronni”.

„I nigdy niczego się nie dowiesz, nie zrozumiesz, co naprawdę się stało” – dodał prędko Doktorek.

– Ojcie... – Marek odetchnął głęboko, wypchnął tamtych dwóch ze swoich myśli i podzielił się z kapłanem przemyśleniami na temat Szymona. Większością z nich. Cały czas wahał się, czy porozmawiać z Ojcem o dzieciach. Wiedział czy nie? Trzeba to będzie jakoś ostrożnie wy badać.

– Nie bierzesz pod uwagę jednego – odparł Ojciec. – Boga.

– Wierzę. Szczerze wierzę. Ale...

– Poczekaj. Szymon źle zrobił, ukrywając przede mną pistolety. Porozmawiam z nim o tym. Nie, nie teraz – powstrzymał protest Marka. – Nie do końca pielgrzymki. Niech się cieszy swoją tajemnicą. Nie ujawnimy jej. To mogłoby go upokorzyć.

„Albo nieźle wkurzyć” – uzupełnił Doktorek.

– Podobnie jak ty zastanawiałem się nad intencjami naszego brata. Wiem jednak, że wierzy szczerze, a jego serce przepęlnia miłość do Boga. Stara się strzec zakonu na swój sposób. Masz rację, po zakończeniu pielgrzymki, oby przed jesienią, wrócimy do Częstochowy. Spodziewamy się przyciągnąć wiernych z całej Polski. Ku chwale Matki.

Wtedy porozmawiam z Szymonem. Nie osądzaj go zbyt prędko. Nikomu krzywdy nie zrobił...

...dzieci zmienione w osypujący się stos trupów, każde ze śladami po kulach...

– ...i jestem przekonany, że cokolwiek czyni, czyni dla dobra zakonu. A zatem dla dobra wszystkich ocalałych.

„Wiara, to możliwe – ocenił Doktorek. – Ci dwaj to fanatycy”.

– Czyli: trzymamy gęby na kłódkę?

– Byłbym ci za to głęboko wdzięczny, synu.

– Niech będzie („Ty głupku!” – wrzasnął Kruchy). Paru rzeczy muszę się jednak dowiedzieć.

– Pytaj. Mamy całą noc na rozmowę.

– Tamci nie wrócą?

– Może wrócą. Ale to nic. Pytaj.

– Który z was pierwszy był w klasztorze?

– To istotne? – Ojciec spojrzał na Marka zaskoczony. – Skoro tak... Przybyliśmy razem. Pamiętasz, mówiłem ci, że Szymon był drugim człowiekiem, którego spotkałem po przebudzeniu. Obaj zaufaliśmy Bogu. Uznał mój dar za rodzaj łaski. Postanowiliśmy, że musimy pokłonić się przed Cudownym Obrazem, w nim znaleźć mądrość. Szymon wcześniej nawet nie był w Częstochowie, a i ja...

– Nie jesteście stamtąd?

– Ja, synu, doczłapałem tu spod Wrocławia. Nie wiem jak. W szale. Ocknąłem się w Sierakowie Śląskim. A Szymon jakoś w okolicy. Tylko my dwaj żywi na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów.

– Nie kusiło cię, żeby sprawdzić, co w domu?

– Powołał nas Pan. Powiedział: „Chodźcie za Mną, a sprawię, że staniecie się rybakami ludzi”<sup>3</sup>.

– Albo bałeś się tego, co znajdziesz.

– Od razu widziałem, że jesteś surowym człowiekiem. Może i masz rację. Ale świat się odmienił, dawni bliscy byli tymi, którzy pierwsi mogli skoczyć nam do gardeł. Żony zabijały mężów, a bracia siostry. Jesteśmy nowym ludem. To, co było przed berserkiem, to przeszłość z innego świata. Żyliśmy wtedy jak we śnie i zapomniliśmy o tym jak o śnie.

– Słyszałem, że klasztor był zamieszkały.

– Był jakiś facet strzegący dzieci. Odeszli.

– Tak po prostu?

– Nie chcieli nas wpuścić. Pozamykali bramy. Modliliśmy się żarliwie, klęcząc u stóp murów.

– Cały czas?

– Ja cały czas. Nie uwierzysz, ale to już przyciągało do nas ludzi. Wypowiadałem wtedy Damiana, Sylwię i Krystynę. Nocowaliśmy w hotelu blisko klasztoru. Dniami ja się modliłem, a Szymon zabierał braci i siostry na miasto, by zdobywać zapasy. Któregoś dnia przebudziliśmy się. Odprawiłem poranne nabożeństwo i poszedłem modlić się pod murami, a tam już nikogo nie było.

– Skąd wiesz?

– Co rano próbowali mnie przegonić, obrzucając kamieniami. Musiałem klęczeć poza ich zasięgiem, a i tak czasem udawało im się mnie trafić. Pewnie z procy. Tamtego dnia, w niedzielę, dzień święty, powitała mnie cisza. Długo czekałem, aż wreszcie zebrałem się na odwagę i przekroczyłem bramę klasztoru. Chodziłem po nim przez pół dnia, nim się upewniłem. Wtedy po raz pierwszy uderzyłem w dzwony.

– Wymodliłeś u Boga, by dzieci odeszły?

– Chcieliśmy się nimi opiekować, ale one wybrały własną drogę. Może wiedziały coś więcej? Podobno przed

berserkiem zaczęły się zwoływać, by ukryć się właśnie w takich ufortyfikowanych miejscach. W zamkach, fortach i klasztorach. Możliwe, że ustaliły też jakiś plan na czas, gdy berserk dobiegnie końca? Myślę, że mogły umówić się gdzieś nad morzem.

– Czemu właśnie tam?

– Bo dzieci zawsze ciągnie nad morze?

„Kłamie – judził Kruchy. – Pieprzy bez sensu. Pełna dziur ta jego historia”.

„Niekoniecznie – Doktorek mówił teraz nadzwyczaj ostrożnie. – Szymon i spółka mogli wdrzeć się do klasztoru w nocy, wymordować dzieciaki, zatrzeć ślady, a potem po prostu czekać, aż księżulo odkryje, że ma klasztor dla siebie”.

„Ale po co to wszystko? – nie dowierzał Marek. – Grupa obcych przed chwilą ludzi nagle postanowiła zabić dzieciaki? Jak? Po co? W porządku, chcieli mieć klasztor dla siebie. To wystarczyło chwycić smarkaczy za karki i wywlec poza mury. Już by ich nie odbiły. A jak się razem zgrali? Przypomnijcie sobie Jadźkę. Spowiedź ich odmieniła”.

„Więc klecha mógł nimi sterować, nie? – nie ustępował Kruchy. – Jak teraz!”

„Gdyby sterował nimi jak teraz, nie potrzebowaliby broni”.

– Widzę, że głęboko się nad czymś zastanawiasz, synu.

– Myślę o tym, że nikt nie wie, co robisz. O tej mocy zmieniania wypowiedzianych w bestie... – urwał, uświadamiając coś sobie. – Chwila, mnie byś nie potrafił przemienić? Stałem w tym kręgu, trzymałem innych za ręce. I jak podczas spowiedzi nic nie poczułem.

– Dlatego Bóg cię do mnie przyprowadził.

– Tej części nadal do końca nie łapię. Jasne, chcesz mieć z kim porozmawiać o tajemnicy, zrzucić ciężar. Ale... Zresztą o tym za chwilę. Skąd wiedziałeś, co potrafisz? Bóg ci powiedział?

– Sprawdzalem. Dar spowiedzi wstrząsnął mną i zadziwił mnie. Potem zobaczyłem, że łaska spowiedzi oczyściła dusze moich owieczek...

– Pobili kogoś?

– Zdarzyło się, że walczyli między sobą. Odpokutowali to i poznali radość pokory. Ale przedtem pokazali mi, że spowiedź potrafi więcej, niż początkowo sądziłem.

„Jesteśmy na dobrym tropie! – zawołał Doktorek. – Pokuta! Zapytaj go o pokutę!”

– Ta słynna pokuta... – rozpoczął Marek, lecz przerwał, bo już nie musiał pytać. Zrozumiał.

– Eksperymentowałem – skinął głową Ojciec. – I nauczyłem się wiele. No ale dość już rozmawiania. Na jakiś czas. Wracają.

– Skąd wiesz?

– Wyczuwam moje dzieci, synu. Każdego, kogo wypowiadałem. Dar.

## Rozdział 8

Gdy powrócili, ustawili się w kręgu, jak wtedy o zmroku, nim wszystko się zaczęło. Ojciec wyszedł ku nim spokojnie, Marek postępował ostrożnie krok za nim. Teraz żałował, że nie przywłaszczył sobie żadnego pistoletu. Jakie miał szanse, jeśli ksiądz nie zapanuje nad swoimi owieczkami? Albo po tym, jak już zrzucił z siebie ciężar tajemnicy, zapragnie pozbyć się świadka?

– Nie bój się. – Ojciec łatwo odgadł przynajmniej część jego obaw. – Nic ci nie zrobią.

– Wyglądają na wyczerpanych.

– Przebiegli przynajmniej dwadzieścia kilometrów. A Bóg jeden wie, co jeszcze musieli robić na miejscu.

– Chyba możemy się domyślać.

Przełamując obawy, Marek podszedł do Jadźki. Kołysała się lekko na ugiętych nogach, zgarbiona. Podniosła głowę, gdy się zbliżył, pociągnęła nosem. Nie odwzajemniła spojrzenia, zresztą oczy miała puste. Nie odważył się jej dotknąć, by raz jeszcze unieść jej głowę i przyjrzeć się ustom. Przysięgłby jednak, że widział na nich krew. Czy uctowała dziś w nocy?

– Teraz naprawdę przypominają zombie, Ojcie.

Wszyscy wyglądali podobnie. Umorusani, z poranionymi

dłońmi, ale i twarzami podrapanymi od gałęzi smagających ich, gdy biegli przez las. Część miała ubrania zalane świeżą krwią. Ręce tonęły im w posoce aż po łokcie.

– Co teraz? – zapytał, przechodząc ku Szymonowi. Chciał zobaczyć tego drania w takim właśnie stanie. Nie jako opanowanego przywódcę, ale bestię. Ta postać bardziej do niego pasowała. – Obudzisz ich, a oni pomyślą, że lunatykowali i wytarzali się w trupach zalegających na łące?

– Mówiłem ci, że Bóg cię do mnie przysłał, synu. Sądziłeś, że chodzi tylko o to, bym zrzucił z serca ciężar tajemnicy? Nie, jesteś mi potrzebny właśnie w takich chwilach jak ta. Umyjemy ich. Zdejmiemy z nich zakrwawione ubrania i wrzucimy do wiader wypełnionych wodą z solą, a potem wypierzemy w gorącej wodzie. Będziemy ich karmić...

– Karmić?

– Aż nie zagoją im się rany. Nie są głębokie. Sądzę, że tydzień wystarczy.

– Mamy tu siedzieć przez tydzień?

– Jeśli obudzę ich przedwcześnie, powiedzmy za trzy dni, zaburzę święty kalendarz dni tygodnia. Zasnęli w środę i muszą obudzić się w środę, by w niedzielę nie zorientowali się, że zniknął im gdzieś dzień albo dwa.

– Rzeczywiście, łatwiej ukryć zniknięcie tygodnia!

– Oczywiście. Kalendarz miesięczny nie ma dziś wielkiego znaczenia. Zresztą większość kalendarzy, jakich używaliśmy, zdechła, bo była elektroniczna. Te nieliczne, które ludzie starej daty wieszali na ścianach, wciąż pokazują daty sprzed berserka. Jakże znacznie ma fakt, który mamy dzień miesiąca? To dni tygodnia się liczą, bo wyznaczają czas świętej niedzieli i dni powszednich. To jego nie możemy podważyć.



– Boże Narodzenie też przesuniemy?

– Do Bożego Narodzenia mamy tyle czasu, że ta drobna nieścisłość wszystkim umknie. Posłucha synu, najważniejsze, aby nie dowiedzieli się, co się stało. Niech myślą, że położyli się spać w środę i wstali w czwartek.

– Wstydzisz się tego, co im robisz?

– Biorę na swoje sumienie ich grzech. Chcesz, żeby Jadwiga cierpiała, wiedząc, że dziś w nocy mordowała niewiernych?

„To wiedza, która mogłaby rozpieprzyć to jego stadko – uśmiechnął się Doktorek. – Atut, który warto trzymać w rękawie”.

„Ten skurwiel zajebie cię za to, że wiesz” – zaproponował Kruchy.

– Tydzień? – upewnił się Marek.

– Umyjemy ich. Będziemy ich karmić. Cóż... poniekąd wprowadzać...

– Jak psy?

– Jak ludzi o zaćmionych umysłach. Dla ich dobra. Pomożesz mi? Im prędzej weźmiemy się za mycie ich, tym lepiej. Rozpal w piecu na plebanii, przygotuj największe garnki, jakie znajdziesz. Będzie nam potrzeba dużo gorącej wody.

– A oni będą tak tu stać? Ledwie trzymają się na nogach.

– Prawda. Usiądźcie dzieci. Zaśnijcie.

Padli tak, jak stali. Równocześnie. Powtulali się w siebie nawzajem, poopierali zakrwawione głowy o cuchnące śmiercią ramiona braci i zasnęli. Biedne, zmęczone zombiaki, wyglądające tak bezbrinnie i niewinnie jak każda istota pogrążona we śnie.

– Widzisz, jakie to proste, synu?

„A gdybyś dostał teraz zawału?” – chciał zapytać Marek,

lecz ugryzł się w język. Ojciec rozpoznałby groźbę, gdyby ją usłyszał, i wyciągnąłby należyte wnioski. Ciekawe, czy wybudziłby swoje ogary ze snu równie prędko, jak je ululał?

W kuchni odnalazł trzy wielkie gary, z trudem mieszczące się na blasze dość prymitywnego murowanego pieca. Przyglądał mu się dłuższą chwilę, dziwiąc się, że komuś wciąż chciało się karmić węglem tego potwora, zamiast zaopatrzyć się w nowoczesną kuchenkę. Kogo jak kogo, ale proboszcza na pewno stać byłoby na jakieś ósme cudo w dziedzinie gotowania i pieczenia. Może on albo jego gospodyni należeli do nieprzejednanych konserwatystów uważających, że wszystko powinno być jak za dziada pradziada? Pewnie jeździł bryczką zaprzęganą w konia albo dwa, a by wygłaszać kazanie, wspinał się na zawieszoną pod samym sufitem ambonę, skąd grzmiał o nadchodzącym końcu świata.

Cóż, jeśli tak, miał rację. Apokalipsa nadeszła, a on ze swoim archaicznym piecem okazał się lepiej na nią przygotowany niż ci wszyscy hołdujący nowoczesności ludzie, którzy teraz mogli tylko patrzeć z żalem na swoje gazowe bądź elektryczne kuchenki. Prąd i gaz zniknęły ze świata razem z ludźmi, którzy wiedzieli cokolwiek o technologiach ich dostarczania.

Swoją drogą ciekawe, co się dzieje z tym całym zmagazynowanym gazem? Pewnie tkwi skondensowany w gigantycznych pojemnikach, dostosowanych do tego, by przetrwać w jak najgorszych warunkach. Kiedyś najprawdopodobniej zacznie się ulatniać. Ale to nie powinno nastąpić prędzej niż za sto lat. Albo pojutrze. Co Marek wiedział o gazie... Właściwie nic. Jak się nad tym zastanowić, w ogóle niedużo wiedział o świecie. W szkole

uczono go podstaw matematyki, a na tak zwanych zajęciach praktycznych pisma i rysunku technicznego, które teraz też raczej na nic się zdadzą. Tym bardziej, że niewiele pamiętał. Jeśli coś trzeszczało w gniazdku, nie wzywał elektryka, by zabulić mu za oczywistość, tylko sam je rozkręcał, sprawdzając styki i jakość kabli. Ta umiejętność, podobnie jak ocierająca się o magię zdolność wymiany uszczelki w kranie, stawiała go w rzędzie półbogów w porównaniu z wieloma mężczyznami młodszymi od niego, przywykłymi, że rzeczy się nie naprawia, lecz wymienia na nowe, ewentualnie wzywa łaskawcę eksperta. Tylko co z tego? Po berserku jedyną jego cenną umiejętnością okazało się to, że zdolny był nakłnąć komuś po gębie.

No dobra, potrafił jeszcze rozpalić w piecu. Umiałby też narąbać drwa, nie obcinając sobie przy tym rąk. Cuda, panie.

W metalowym wiadrze stojącym obok znalazł ledwie dwa ułamki węgla. Za mało. Odchylił zimne drzwiczki, sprawdził pogrzebaczem, czy coś zostało w środku. Też resztki. Przynajmniej tyle. Przepalone zajmą się szybko. Pomiedzy nimi odnalazł i kawałki drewna. No dobra. To gdzie trzymali resztę? W jakiejś komórce? W piwnicy?

Zlokalizował piwnicę, była jednak zamknięta na kłódkę. Proszę, proszę, dobrzy chrześcijanie nie ufali sąsiadom. Pewnie słusznie, choć ciekawe, kto na takim zadupiu odważyłby się okraść proboszcza. Przecież taki księżulo to jak pan na włościach, starodawny szlachcic znający nie tylko wszystkich swoich poddanych, ale także ich grzeszki. Możesz rozjechać po pijaku wycieczkę pięciolatków i wieś jakoś to ukryje przed światem zewnętrznym. Możesz o każdej pełni zamieniać się w wilkołaka, a mieszkańcy

małego miasteczka przejdą nad tym do porządku dziennego, pod warunkiem że będziesz zagryzał przejezdnych, a nie kury lokalsów. Ale nie ukryjesz tego, że rąbnałeś węgiel proboszczowi.

Klucz przepadł pewnie wraz z księdzem i jego gospożą. Może jakaś jego kopia leżała w którejś z miliona szuflad, Marek jednak nie miał cierpliwości, by je przeszukiwać. Wrócił po siekiere, a potem rozwalił kłódkę. Ponieważ z kieszonkową latarką nie rozstawał się nigdy, oświetlił sobie strome kamienne schody prowadzące w dół. Sprawiały wrażenie starszych od kościoła, a nawet budynku plebanii, niewybijającego się ponad przeciętność pudełek z pustaków. Może wszystkie te parafialne budowle wzniesiono na miejscu jakichś starszych obiektów? Przecież musiał istnieć tu kiedyś mniejszy, przytulniejszy kościółek przypominający świątynię, a nie lotnisko?

Schodził długo. Ktokolwiek wybudował tę piwnicę, spodziewał się chyba, że przyjdzie chować się w niej przed bombardowaniem. Wraz z kolejnymi pokonywanymi schodami robiło się chłodniej, ale i wilgotniej. W pewnym momencie Marek zorientował się, że i tu czuje smród rozkładu. Początkowo nie zwrócił na niego uwagi, przywykł do tego, że świat cuchnął śmiercią. Tutaj jednak woń była nieco inna...

Odnalazł jej źródło pomiędzy zwałami węgla ciągnącymi się w całym tym podziemnym królestwie, rozmiarami przypominającym rzeczywiście bardziej schron niż piwnicę. Dałoby się tu pewnie ukryć samochód. Ktoś zdołał znieść tutaj stare meble, jakieś rozsypujące się krzesła i drewniany kredens, za który miastowi szukający ekstrawagancji byliby pewnie w stanie nieźle zapłacić. I właśnie obok tego potencjalnego źródła zysku w starych

czasach, a możliwego źródła rozpałki dziś, Marek odnalazł proboszcza.

Pleśń przelazła na niego ze skrzyni z ziemniakami nietykanymi tak długo, że rozrastającymi się białymi korzonkami wyglądającymi niczym macki obcych. Jaśniała fosforyzująco, rozlewając się po ziemniakach szerokim, łagodnym całunem. Wpełzła na dłoń, a z niej wędrowała dalej, zagłębiając się pod rękaw. Ksiądz, wciąż w sutannie, spoglądał w sklepienie piwnicy, być może wyglądając nieba. Rękę wolną od pleśni miał dziwnie wykręconą. Oczy zapadły mu się w głąb czaszki, wciąż jednak szczyrzył zęby, wściekle i nienawistnie. Przez chwilę Marek sądził, że schował się tu przed berserkiem, potem jednak uświadomił sobie, że piwnicę zamknięto od zewnątrz.

Przyjrzał się trupowi bliżej. Pod porastającą pleśnią dłonią dostrzegł strzępy różańca owiniętego wokół palców. Także nogi zostały spętane w kostkach, ale solidniejszym różańcem, ten bowiem przetrwał. U stóp martwego Marek znalazł modlitewnik. Podniósł go i przejrzał z ciekawości, przypominając sobie opowieści babci z podpiotrkowskiej wsi. Tak jak się spodziewał, nie było ostatnich stron, wyrwano je.

A zatem berserk. Dwudziesty pierwszy wiek, a ktoś próbował powstrzymać oszalałego kapłana sposobami na wampira z czasów, gdy po Polsce chadzali jeszcze zaborcy. O ile nie dawniejszych. Proboszcz musiał zachorować jako jeden z pierwszych, skoro znaleźli się ludzie, którzy zdołali go spętać i zaciągnąć tutaj. Musiało się ich paru zebrać. Nie zabili go, nie odważyli się na to; zostawili tutaj, żeby szczył. I starymi magicznymi sposobami, przekazywanymi widać z pokolenia na pokolenie, zabezpieczyli się, by upiór nie wylazł już na zewnątrz.

Nic im to nie pomogło, bo tradycyjna magia ma niewiele do powiedzenia na temat pandemii bądź apokalipsy zesłanej z niebios. Albo zginęli wszyscy, albo zdecydowali się nie wracać do domu.

Znalazł łopatę o złamanym stylisku, wystarczającą jednak, by napełnić węglem dwa wiadra, które przyniósł ze sobą. Dorzucił na wierzch trzy szczapy drewna i uświadomił sobie, że teraz nie będzie w stanie trzymać latarki w ręce. Wcisnął ją więc między zęby i rozpoczął wspinaczkę w rytm rozkołysanego światła.

„Zaczekaj!”

Siostra odezwała się po raz pierwszy tego dnia. Odkąd Ojciec zamienił swoich wiernych w potwory, wołała zostawić inicjatywę dwóm innym towarzyszącym Markowi duchom.

„Książeczka!”

A, prawda, odruchowo wsadził ją do kieszeni spodni. Niech to szlag.

„Nie możesz jej zabrać”.

Możesz, nie możesz. Upiorów nie ma. Są tylko ludzie pozamieniani w bestie mocą szalonego proroka oraz duchy w głowie kogoś, kto być może trochę zwariował od berserka.

„Nie możesz dać mu szansy na uwolnienie”.

Pospierał się jeszcze przez chwilę, lecz wreszcie odstawił ostrożnie wiadra, dbając, by nie zachwiały się na nierównych stopniach, a potem wrócił do trupa księdza i położył modlitewnik pod jego stopami. Trochę zażenowany odszedł jak najprędzej, porwał wiadra i prawie wybiegł po schodach. Dopiero stojąc na zewnątrz, odetchnął z ulgą. Zatrzasnął drzwi do piwnicy, a następnie zablokował skobel kłódką – wprawdzie rozbitą, ale zdolną

powstrzymać kogoś, kto chciałby wydostać się ze środka, gdyby jakimś cudem udało mu się przerwać czar niedokończonych modlitw.

Uświadomił sobie, że zostają tu przez tydzień, będzie więc pewnie jeszcze musiał wrócić do piwnicy przynajmniej raz.

Gdy szedł w stronę kuchni, Doktorek wyśmiewał go w głowie. Kpił, póki Marek nie stanął przed Ojcem, meldując mu, że zagotował tyle litrów wody wydobytych z uczynnie starodawnej studni, ile tylko zdołał pomieścić na piecu.

Ksiądz zaczął już rozbierać przemienionych. Zdejmował z nich ubrania ostrożnie, by nie zaryzykować, że może je uszkodzić. Nie przejmował się skromnością. Sylwia i Andrzej byli już kompletnie nadzy. Marek wyobraził sobie krąg dwudziestu trzech nagusów siedzących pośrodku miasteczka, tuż przed wejściem do kościoła. Prawie się uśmiechnął. Ciekawe, co pomyślałby ktoś, kto wybrałby właśnie ten moment, by wrócić do domu. Zobaczyłby dwóch kolesi w białych habitach i krąg golców. Pewnie uznaliby, że to jakaś sekta szykująca się do złożenia ludzi w ofierze. Coś takiego mogłoby być gorsze od berserka. Marek w każdym razie spieprzałby stąd w podskokach.

– Co tak stoisz? Pomóż mi!

– Nie mogą rozebrać się sami?

– Brak im precyzji. Po prostu pozrywaliby z siebie ubrania i zostałyby z nich strzępy.

– Rozumiem, że zrobisz wszystko, by ukryć przed nimi ten... tydzień. Ale, do ciężkiej cholery, tych ubrań nie da się uratować!

– Zobaczysz, co potrafi woda z solą. Mamy tydzień, by je prać. Co innego mielibyśmy tu do roboty?

Marek na przykład chętnie wróciłby zobaczyć, jak wygląda pobojuwisko po nocnym ataku. Nie sądził jednak, by Ojciec zaaprobował taką wyprawę.

Postanowił rozpocząć od Jadźki. Przykucnął przy niej. Ostrożnie dotknął jej dłoni. Nie zareagowała.

– Pomogłoby chociaż, gdyby nie spali i reagowali – zasugerował.

– Masz rację – zgodził się Ojciec. – Chciałem, żeby odpoczęli, ale... Będą przecież mieć na to cały tydzień.

Tym razem nie przemówił do nich, lecz podchodził do każdego i dotykał w głowę. Otwierali oczy niechętnie, siadali niemrawo, ale zaczęli reagować. Gdy Marek rozpiął Jadźce bluzkę, a potem pociągnął za rękaw, sama wysunęła zeń rękę. Poszło szybko.

Najwięcej problemów sprawili Markowi mężczyźni. Nie z własnej winy, to on nie potrafił się przemóc, by rozbierać facetów. Jeszcze z kurtkami i bluzami szło mu nieźle. Nawet ściąganie T-shirtów nie stanowiło dla niego problemu. Zamarł jednak, gdy przyszło mu zdjąć pierwsze majtki.

– Nie dumaj tak – ofuknął go Ojciec. – Będziesz ich jeszcze mył. Wszędzie. Dokładnie.

– Pieprzę to!

– Wolałbym, żebyś tego akurat nie robił, synu.

„Ciało to tylko mięso – spróbował uspokoić go Doktorek. – Biologiczna maszyna. Seksualność jest w twojej głowie. Uprzedzenia są w twojej głowie. Etykieta, tabu, to wszystko wytwory kultury. Głowy. Ciało to ciało. Wyobraź sobie, że myjesz manekina. Brzydzisz się manekina?”

Zagryzł zęby. Posłuchał. Manekin, taka jego mać. Da radę. Dla syna. Dla rozwiązania zagadki. Da radę.

Byłoby łatwiej, gdyby Kruchy się nie wtrącił.



„Pedalska robota! – prychnął. – Zostałeś ciotą?”

„Zasady starego świata zdechły razem z nim – uspokajał Doktorek. – Olej dziada. Rób swoje”.

„Jeśli zasady starego świata zdechły, to czemu przejmuję się ukaraniem zabójców syna?”

„Krew z krwi!” – przypomniała o sobie siostra.

„Bo istnieją prawa ponad prawami, zakodowane w nas tak głęboko jak instynkt samozachowawczy – wyjaśnił Doktorek. – Jednym z nich jest zemsta”.

„Bo skurwielom się należy!” – poparł go Kruchy.

To właśnie powtarzał sobie Marek, rozbierając, a potem obmywając kolejnych opętanych. Że skurwielom się należy. I dostaną to, na co zasłużyli. Nawet jeśli będzie musiał obmywać im stopy jak jakiś pierwotny chrześcijanin, a i zapuszczać się wyniesioną ze sklepu gąbką w te rejony ciała, które najbardziej nawet nakręceni chrześcijanie woleli zostawiać w spokoju u innych ludzi. Zaciskał zęby i składał w duchu obietnice śmierci, aż wypracował sobie własną litanie. Powtarzał imię, a duchy w jego głowie dośpiewywały rodzaj śmierci. Doktorek i Kruchy cieszyli się, że znów było jak za dawnych czasów, gdy jeszcze żyli wszyscy i siedząc w celi, wymyślali kolejne sposoby zabijania tej suki Małgoški.

A kiedy już prawie skończyli i tylko dwoje nagich mnichów nie zostało jeszcze dokładnie umytych, Marek wyprostował się znad Grażyny, której właśnie odgarniał włosy, by zmyć krwawe pasma z jej karku. Syknięciem uciszył głosy w głowie, a przy okazji przyciągnął uwagę Ojca.

– Co jest? – Kapłan podniósł się znad Adama.

– Posłuchaj.

– Co? Nic nie słyszę!

– Więc słuchaj! W ciszy!

– To...

– Silnik. Ktoś tu nadjeżdża, Ojczy. A jeśli go słyszymy, to chyba nie jest daleko.

Spojrzeni na gołych ludzi i ich ubrania porozrzucane były jak wzdłuż całej ulicy. Księdzu po raz pierwszy, odkąd Marek go znał, zabrakło słów. Stał, przypatrując się bezradnie nie komuś konkretnie, ale jakby całemu światu. Starczyło mu inicjatywy, by wzruszyć bezradnie ramionami.

Warkot był już wyraźniejszy i narastał. To nie był jeden silnik, ale przynajmniej kilka. Zbliżała się do nich jakaś grupa. Być może po raz pierwszy pielgrzymka miała spotkać inny zorganizowany zespół ludzi.

„Powiedzmy to wprost – zachichotał Kruchy. – Złapali was z fiutami w garści!”

## Rozdział 9

Gdyby go zapytać, Smuga nie miałby wiele dobrego do powiedzenia o świecie. Urodził się jako czwarty z rodzeństwa w rodzinie, którą z ledwością stać było na jedno dziecko. Rodzice trochę za bardzo pospieszyli się z dorosłością i niezbyt dobrze sobie z nią radzili. Nie, że się nie starali, ale ich wysiłkom zabrakło tej niedopowiedzianej opieki wszechświata, sprawiającej, że jednym wiodło się tam, gdzie inni przegrywali z kretesem. Na przykład taki Maciek, z którym Smuga bił się prawie każdego dnia, w szkole i po szkole. Maciek urodził się jakoś lepiej. Zarówno pod względem rodziców wygrywających każdą z tych mniejszych i większych batalii, które starzy Smugi kończyli zawsze jako poobijani jeńcy najgorszych rejonów rzeczywistości, jak i układu gwiazd sprawiającego, że horoskop blondwłosego Maciusia zamieniał się w opowieść o inteligentnym, dowcipnym chłopcu zdobywającym bez trudu sympatię dorosłych. Maciek śmiał się równie często, co Smuga płakał, dostawał najlepsze oceny w tych samych klasówkach, w których Smuga przedzierał się z trudem przez pułapki pytań, by skończyć z oceną ledwie zadowalającą. Maciek zyskiwał przyjaciół, a Smuga niechęć. Dlatego się bili, bo tylko bójka

wychodziła Smudze, a to dlatego, że był szybki. To on wszczynił awantury, za każdym razem, gdy coś nie powiodło mu się na tyle, by wyrwać go z powszedniej skorupy zobojętnienia i wzbudzić w chłopcu poczucie krzywdy. Ponieważ dopuszczał je do siebie rzadko, tłumiąc emocje tak, jak potrafił, czyli fatalnie, wybuchało gorącym płomieniem wypalającym cały rozsądek. W takich chwilach był gotów rzucić się na każdego, choćby i na ojca, któremu brakowało cierpliwości i do życia, i do rodziny. Zazwyczaj jednak Smuga wybierał Maćka, po trosze dlatego, że ten stanowił jego przeciwieństwo, po trosze jako karę za to, że to Maciek wymyślił mu to nowe imię, które prędko przyjęło się w szkole. A Smuga zarazem kochał je i nienawidził.

Każdy w końcu znajduje przyjaciela albo przynajmniej towarzysza niedoli. Smudze udało się uniknąć tego losu, ale wyłącznie dzięki temu, że odrzucał każdą wyciągniętą do niego pomocną dłoń. Wmówił sobie, że nie istnieje nic wartego uwagi poza rodziną. I za swoich dwóch braci oraz siostrę gotów byłby wskoczyć w ogień, choć oni traktowali go tak, jak traktuje się najmłodszego brata – z niepozabawioną brutalnością czułością i równocześnie jako chłopca na posyłki. Sami chętnie łajali go i poszturchiwali, ale bronili przed innymi, a nawet przed sobą nawzajem. Służył im za sprzymierzeńca, pretekst do sporów, a czasem jako obiekt do bicia. Bracia uważali, że powinni go wychować w zastępstwie rodziców. Siostra, że mogłaby służyć jej za lalkę, a potem za dziecko, dla którego mogłaby stać się taką matką, jakiej chciałyby dla siebie.

To właśnie siostra powiedziała mu, żeby się szykował, bo nadchodzi noc potworów, podczas której zło zapanuje nad światem. Ona miała już wtedy szesnaście lat, podczas gdy on ledwie trzynaście. Najstarszy brat wyprowadził się

z domu, a nawet wyjechał za granicę, skąd przysyłał czasem pieniądze, od których mogłoby im się trochę polepszyć w życiu, gdyby nie fakt, że ich nieszczęście wynikało nie tyle z braku kasy, ile z urodzenia się pod złą gwiazdą. Piętnastoletni brat zniknął dzień wcześniej. Siostra wytłumaczyła Smudze, że on także wiedział o nadchodzącej nocy i miał własną grupę, która przygotowała schronienie przed potworami. Nie powiedział o tym bratu, ponieważ koledzy stanowczo mu tego zabronili. Ilość zapasów zgromadzonych w kryjówce była ograniczona, w dodatku na takie akcje można było zabierać wyłącznie najbardziej zaufanych kumpli. Smuga do nich nie należał. W żadnej grupie.

– Przekonałam dziewczyny – wytłumaczyła mu siostra. – My nie jesteśmy takie głupie. Wiemy, że jesteś w porządku.

W ten właśnie sposób dowiedział się, że zdaniem dzieci z całego świata nadchodzi berserk. Być może był ostatnim dzieckiem na Ziemi, do którego dotarła ta informacja. Sam był sobie winien. Unikając rówieśników w normalnym życiu, Smuga unikał ich także w internecie. Nie założył konta na żadnym z serwisów społecznościowych, śledził tylko fora i strony poświęcone historii wojskowości. Któregoś dnia odkrył preppersów i zakochał się w ich filozofii od pierwszego wejrzenia. Od tej pory czytał wszystko, co znalazł o przetrwaniu w głuszy, konstruował sidła i pułapki na podstawie filmików z sieci i marzył, że kiedyś zostanie samotnikiem żyjącym na bezludnej wyspie, albo może w amazońskiej bądź afrykańskiej dżungli.

Czytając setki rozważań na temat wszelkich możliwych końców świata, przegapił informacje na temat tego, który już się zaczynał.

Pogodził się z nim prędko.

– Wezmę mój plecak – oznajmił siostrze. – To zajmie chwilę.

Plecak ucieczkowy, zgodnie z radami znalezionymi w internecie, trzymał zawsze w pobliżu łóżka, a konkretnie pod nim, żeby nie rzucał się w oczy. Brat i tak znalazł go i przetrząsnął, wyśmiał zresztą Smugę, ale po jakimś czasie przestał się czepiać. W środku Smuga trzymał litrową butelkę wody, bandażę i plastry, wodę utlenioną oraz kilka torebek nadmanganianu potasu, który zdaniem jednego brodatego specjalisty od przetrwania w dziczy należał do największych zdobyczy ludzkości. Miał też hubkę i krzesiwo oraz garść podkradzionych siostrze podpasek, ponoć idealnie nadających się na rozpałkę. Ukrył tam także niewielki nóż kuchenny oraz wielofunkcyjny scyzoryk.

– Bierz – zgodziła się siostra.

Okazało się jednak, że chwila zwłoki to czasem zbyt wiele. Smuga wyciągał plecak spod łóżka, kiedy usłyszał krzyk matki dobiegający z kuchni. Zaskoczony porzucił go i pognął przez przedpokój, by zobaczyć tam, jak siostra, nie bacząc na całą wiedzę pozyskaną z internetu, zamiast uciekać, rzuciła się mamie na pomoc.

Znów przegrali w życiu. Cała rodzina.

Ojciec oszalał. Nigdy nie był skłonny do przemocy, choć lubił sobie popić i ponarzekać na rząd oraz tych drani, którzy dorobili się dzięki złodziejstwu i znajomościom. „Kiedyś w końcu ludzie wyjdą na ulice i zrobią z tym wszystkim porządek!” – odgrażał się, sam jednak nie wykazywał ochoty, by rozpoczynać jakąkolwiek rewolucję. A teraz, odmieniony i groźny, dusił żonę przyciśniętą do kuchennego stołu. Ona charczała, niezdolna już wzywać

pomocy, a on milczał, posapując tylko z wysiłku. W tym momencie krzyczała wyłącznie siostra starająca się go odciągnąć. I choć Smuga nie czytał wiele o berserku, teraz to on zrozumiał, że jest za późno na walkę, że można tylko uciekać.

Jednak nie zamierzał robić tego w pojedynkę. Skoczył ku siostrze, szarpnął ją z całej siły i udało mu się oderwać ją od matki.

– On ją zabije! – jęknęła.

– On już ją zabił. W nogi!

Zły był na siebie, że zostawił tak dobrze wyposażony plecak, ale nie miał zamiaru już po niego wracać. Ojciec porzucił bowiem bezwładne ciało matki i skierował uwagę na dzieci. Nie wyglądało na to, by darzył je w tej chwili specjalnymi uczuciami. Mlasnął i wyszczerzył zęby.

Uciekli. Dopadli drzwi, gdy on wybiegał dopiero z kuchni. Prędko poradzi sobie z zamkiem i popędzili schodami. Osiem pięter w dół, cały czas słysząc ojca biegnącego za nimi, nadal niewydającego z siebie choćby słowa. Smuga zawsze sądził, że dzieci w razie potrzeby okażą się szybsze od dorosłych, on zresztą biegał lepiej niż ktokolwiek, kogo znał. W tej chwili jednak ojciec, na co dzień powolny i prędko łapiący zadyszkę, wydawał się dysponować niespożytymi siłami.

– Dogania nas! – krzyczała siostra, tracąca niepotrzebnie czas na oglądanie się za siebie. Niedobrze. Kiedy uciekasz, nie patrzysz na to, co dzieje się za tobą, bo wtedy zwalniasz, a w dodatku możesz przegapić to, co dzieje się przed tobą. Na przykład sąsiadkę, która klęczy na półpiętrze, pożerając swojego męża. Gdyby uciekinierzy na nią wpadli, nie mieliby szans. A tak zdała sobie sprawę z ich istnienia dopiero, gdy przemknęli obok niej.

Wyprostowała się. Wyciągnęła za nimi rękę z dłonią jak szpon. Gotowała się do pościgu, ale w tym momencie uderzył w nią rozpedzony ojciec i potoczyli się niezgrabnie pod ścianę, odruchowo zaczynając ze sobą walczyć.

Dzieci zyskały swoją szansę. I pewnie by im się udało, gdyby nie były urodzone pod złą gwiazdą. Bo ledwie wybiegły przed blok, czyjeś ciało spadło tuż przed nimi. Być może ogarnięty szaleńcem dorosły sam wyskoczył, by złapać ofiary, które zobaczył przez okno. Możliwe też, że ktoś próbował się ratować. Niezależnie od tego, jak było naprawdę, ciało musiało spadać z wysoka, bo gdy walnęło o chodnik, roztrzaskało się efektownie. Uderzenie zgruchotało czaszkę i mózg opryskał Smugę i jego siostrę. Ta krzyknęła przerażona, przyciągając tym uwagę oszalałych, których w tamtym czasie, na samym początku eksplozji berserka, było wielu. Stanowczo zbyt wielu. Podnosili się leniwie znad swoich ofiar. Z chodnika, z parkingu i z trawników. I wszyscy patrzyli tylko na nowe ofiary.

Ruszyli bez słowa. Od razu rzucili się do biegu. Smuga znów pociągnął za sobą siostrę. Stała jak wmurowana. Drżała, trzęsła się cała, mamrocząc jakieś słowa, chyba modlitwy.

– No chodź! – szarpnął ją mocniej. – Ty głupia...

Urwał, bo odwrócił się ku niej i zobaczył jej twarz. Błądą, jakby martwą, z oczami, w których płonął dziwny blask niemający jednak nic wspólnego z rozumem.

Tej nocy myślał szybko. Zrozumiał. Szesnaście lat, właściwie prawie siedemnaście, to zbyt wiele.

Dalej uciekał sam. Przed sąsiadami, których znał od dziecka, tymi spokojnymi właścicielami pudli i jamników, statecznymi mężami palącymi na podwórku papierosy



w sekrecie przed własnymi żonami, przed ojcem biegnącym ramię w ramię z sąsiadką, z którą zderzył się na półpiętrze, i nawet przed siostrą, teraz równie zawziętą i cichą jak pozostali szaleńcy.

Ktoś inny nie miałby szans, ale jego nie przypadkiem przezwano Smugą, chłopcem, którego ledwie było widać, taki był szybki i skryty. Potrafił się ukrywać i potrafił zniknąć. Trzymał się z dala od innych i na nikogo nigdy nie liczył. I dlatego uciekł i przetrwał.

Odnalazł kryjówki, o których mówiła siostra. Niektóre okazały się kiepskie, tam znajdował stosy dziecięcych zwłok. Inne dawały szansę na przetrwanie – od tych trzymał się z dala. Zauważył, że dorośli polują na tych, którzy dłużej opierali się chorobie, w tym na dzieci. Wolał więc unikać rówieśników. Wrócił do domu, wierząc, że bezpieczeństwo może zapewnić mu miejsce, które oszaleli już raz sprawdzili. Żłudna była to nadzieja i omal nie przypłacił jej życiem. Było jednak warto, bo odzyskał swój plecak.

Nauczył się, że opętani zapomnieli, do czego służą sklepy. Kiedy skończyli im się zdrowi, zaczęli polować na siebie nawzajem. Żywili się mięsem zabitych, niezależnie czy były to zwierzęta, czy ludzie. Zadowalali się nawet padliną. Zwierzyna szybko zrozumiała, że nowi drapieżcy są nie tylko szczególnie groźni, ale i nienasyчени. Psy, koty, a nawet ptaki zniknęły z miasta.

Smuga ukrywał się całymi dniami, najczęściej na dachach sklepów. Opętani rzadko zadzierali łby do góry, ale mogli dojrzeć go przez okno przetrzaskanego właśnie bloku. Dlatego wybierał sklepy otoczone przez drzewa zasłaniające widok, a dodatkowo nakrywał się szarym kocem. Drzemał, starając się nie zasypiać zbyt mocno.

Głowę opierał na swoim plecaku i czekał na zapadnięcie nocy. Opętani nie stawali się wtedy mniej aktywni, ale przynajmniej gorzej widzieli. Smuga schodził więc do sklepu, brał z niego jedzenie i wodę, a potem wracał na dach, by najeść się i znów spać. Czasem zostawał w ukryciu. Wreszcie podjął decyzję o opuszczeniu miasta. Nic go tu nie trzymało. Uznał, że na wsiach opętani mogli się już wymordować nawzajem, pewnie mniej ich przetrwało. Może uda mu się znaleźć jakiś pusty dom, który będzie mógł ufortyfikować?

Tak trafił do fortecy, jak nazwał dache ukryte w lesie. Znalazł je przypadkiem. Wędrował lasem, trzymając się z dala od dróg, chyba że musiał zejść do wsi, by uzupełniać zapasy. Dwa dni krążył wokół zabudowań, chcąc się upewnić, że rzeczywiście były puste. Gdy zdecydował się wreszcie, odkrył, że drzwi do jednego z domów pozostawiono otwarte. Przyjął to niedopatrznie z wdzięcznością. I natychmiast naprawił je na miarę własnych możliwości, zamykając za sobą drzwi i zastawiając je fotelem. Przechodził przez kolejne pomieszczenia ostrożnie, ale poddał się, gdy dotarł do sypialni. Tam rzucił się na łóżko, owinał kołdrą i po raz pierwszy od dawna zasnął spokojnie.

Kolejne dni poświęcił sprzątanii. Włamywał się przez okna do pozostałych zabudowań. Zepsute jedzenie zakopywał w lesie, to, które nadawało się do spożycia, przenosił do pierwszego ze spenetrowanych domów. Prawie popłakał się ze szczęścia, gdy w jednym z garaży znalazł dziesięć wielkich plastikowych baniaków z wodą. Oszczędziło mu to niebezpiecznych wypraw do najbliższej miejscowości.

Żył jak w raju, tyle że samotnie. I tak się złożyło, że

podobnie jak przegapił początek berserka, tak nie zauważył jego końca. Dopiero grupa ludzi, czterech mężczyzn i pięć kobiet, która przybyła do fortecy któregoś wieczora, uświadomiła mu, że czas zabijania się skończył.

Na początku spanikował. Przeoczył przybycie obcych, zorientował się, że nie jest sam, dopiero gdy usłyszał ich głosy. Znajdował się akurat w kuchni, gdzie przygotowywał obiad złożony z zupy w proszku z okruchami chleba i makaronem ugotowanym na płomieniu butli gazowej, jednego z cennych znalezisk dokonanych w garażu.

– Mówiłem wam – oznajmiał jakiś mężczyzna. – Robiłem tu dla nich wycenę. Małe osiedle z dala od wszystkiego. Raj, bezpieczeństwo. Nikt nas tu nie znajdzie.

Cóż, mylili się. Podobnie jak Smuga wcześniej. Zamarł. Zawahał się. Poczul żal, bo przywykł już do myśli, że forteca pozostanie jego ostoją. Ostrożnie przykręcił kurek, by syk płomienia nie przyciągnął ich uwagi. Szkoda mu było też prawie ukończonego posiłku. Dobrze byłoby ukryć gdzieś gar. Przecież gdy zobaczą, że jest ciepły, domyślą się, że ktoś tu był przed chwilą. O ile opętani są zdolni do przeprowadzenia takiego wniosku.

Zaraz, przecież oni rozmawiali. Szaleńcy poruszali się w ciszy, a jeśli nawet wydawali jakieś dźwięki, nie przypominały one słów. Zatem to musieli być normalni ludzie. Tacy, którzy jakimś cudem nie zachorowali albo... wyzdrowieli?

Dotąd nie brał pod uwagę możliwości, że z berserka można się wyleczyć. Jak miałyby się to stać? Chyba że szal był jak gorączka i sam mijał. Albo ktoś wynalazł lekarstwo. Ile już czasu minęło, odkąd uciekł z domu? Nie wiedział, nie liczył dni. Nie pomyślał, że mogłoby to mieć znaczenie.

Zresztą początkowo był zbyt przerażony, myślał tylko o tym, by uciec i znaleźć kryjówkę przed potworami.

Co teraz? Co ma począć z tymi uzdrowionymi ludźmi, którzy najwyraźniej przybyli do jego fortecy, aby odebrać mu ją i samemu w niej zamieszkać? Powinien był uciekać, ale niespodziewanie poczuł gniew. To jego ziemia, niech sobie znajdą własną. Kraj jest pewnie pełen opustoszałych domostw, których niegdysiejsi właściciele pomordowali się nawzajem.

Nie odda im nawet tej prawie ugotowanej zupy! Zasłużył na nią! Zasłużył na wszystko, co udało mu się zdobyć.

Ostrożnie wyjął z kuchennej szuflady najdłuższy z noży, jakie znalazł. Tak jak pozostałe był ostry niczym brzytwa, bo dla zabicia czasu Smuga poświęcił wiele godzin na ich ostrzenie. Teraz pożałował, że nie przygotował na całym terenie wymyślnych pułapek, jak ten dzieciak z filmu puszczanego przez rozmaite telewizje w każde święta.

Ruszył ku drzwiom wyprostowany. Postanowił, że nie będzie się ukrywał. A jednak drżał cały, gdy otwierał drzwi z rozmachem, a i jego głos zabrzmiał słabiej, niż planował, kiedy krzyknął:

– Hej, wy! Ja tu mieszkam! To mój dom!

Ich reakcja zaskoczyła go i tak rozbawiła, że się roześmiał. Krótko, trochę nerwowo.

Trzech mężczyzn i cztery kobiety. Wszyscy starzy, musieli mieć ze trzydzieści lat albo i więcej. Inaczej niż w filmach nie rozbiegli się, żeby sprawdzać okolicę każdy na własną rękę, lecz trzymali się razem, zbici w kupę i przestraszeni. Gdy usłyszeli wołanie, przywarli do siebie jeszcze mocniej, tylko jedna z kobiet padła na czworaka i zaczęła się wycofywać, łkając. Najwyższy z mężczyzn ruszył za nią. Inny uniósł karabin, ale lufą zataczał

półokręgi na wszystkie strony.

– To dziecko! – wydała z siebie zduszony okrzyk chuda brunetka. – Dziecko! Mój Boże, dziecko! Tam stoi!

Teraz już wszyscy patrzyli na Smugę. Nawet uciekająca kobieta zatrzymała się i obróciła ku niemu, nie wstając jednak. Ten z karabinem najpierw odruchowo wycelował w Smugę, ale zaraz opuścił broń.

– Ilu was jest?

– Trzydziestu – skłamał chłopiec. – Z łukami i kuszami. Z procami i kamieniami. Wszyscy celują do was z ukrycia.

– To ich twierdza! – szepnęła klęcząca. – Pozabijają nas! Zobaczycie, pozabijają!

– Nie sądzę. – Mężczyzna z karabinem nie zastanawiał się długo. – Dzieciaki nie ukrywały się daleko od miast. Wolały umocnione budynki otoczone murami albo przynajmniej solidnym ogrodzeniem. Tu by się nie obroniły. Mały jest sam.

– Hej! – zawołał Smuga. – Jaki „mały”? Ja tu rządę! Jestem tu gospodarzem!

– Oczywiście – pokiwała głową brunetka. – Posłuchaj, chłopcze, nie zrobimy ci krzywdy. Zaraza się skończyła. Jesteśmy zdrowi.

– Jesteście dorośli! Dorośli oszaleli!

– Ale to minęło. Mam na imię Anna. Nie jesteśmy chorzy i nie chcemy zrobić ci krzywdy. Nie mieszkasz chyba we wszystkich tych domach, prawda? Twojego ci nie zabierzemy. Możemy być sąsiadami i...

– Jest nas trzydziestu! – przypomniał, lecz jego głos znów zabrzmiał zbyt słabo. Sam sobie nie uwierzył. Czuł łzy napływające do oczu. Nie sądził, że zatęskni za innymi ludźmi, ale to dziwne uczucie przeszkadzające mu logicznie myśleć, to wzruszenie uniemożliwiające przybranie

odpowiednio zdecydowanego tonu, wszystko sprawiało, że zwątpił w swoją siłę. Dopóki dorośli byli szaleni, mógł ich nienawidzić. Ale ci tutaj wyglądali tak normalnie... Może gdyby udało mu się dołączyć do jednej z tych dziecięcych grup, do których należało jego rodzeństwo, sam dźwięk ludzkiego głosu nie wywołałby aż takich emocji. Ale Smuga był sam od... od początku berserka, ile by on nie trwał. I zrozumiał, że chce móc patrzeć na innych ludzi, słuchać ich, a może nawet z nimi rozmawiać. – Po coście tu przyszli? Tak się mordowaliście, że miasta muszą być puste.

– Są – przyznał ten z karabinem. – Ale my nie chcemy w nich mieszkać. Szukamy czegoś na odludziu. Spokojnego miejsca jak to. Są tu źródła wody, znam je. Można wykopać studnię. Też byś z niej korzystał. Przydamy się sobie nawzajem. Zajmujesz ten dom, tak? My ulokujemy się w pozostałych. Pomożemy ci ufortyfikować to miejsce.

– Po co wam fortyfikacje, jeśli zaraza się skończyła? Jak znów oszalejecie, tylko trudniej będzie mi uciec!

– Choroba już nie wróci – wtrąciła się Anna. – Ale teraz dzikie zwierzęta będą się mnożyć na potęgę. Chcemy się bronić przed nimi i... – przerwała, bo ten z karabinem uciszył ją syknięciem.

– I przed innymi ludźmi też – dokończył za nią Smuga.

– Nie wiemy, co się będzie działo za rok, dwa. – Ten z karabinem postanowił chyba nareszcie potraktować Smugę poważnie. – Myślę, że może pojawić się głód. Dlatego chcemy być ukryci i przygotowani. Jesteśmy ci potrzebni. Następni, którzy przyjdą, jeśli znajdą to ustronie... Następni mogą nie być tak mili. Dorośli wiele wycierpieli od dzieci. Niektórzy są na nie wściekli.

– Wy wycierpieliście od nas? – nie wierzył własnym

uszmom. – To wy nas zabijaliście! Moi własni rodzice...

Nie zwracając uwagi na ostrzeżenia mężczyzn, Anna oderwała się od grupy, by podbiec do Smugi, pochylić się nad nim i przytulić go, nim zdążył zareagować. Nie uniósł noża, bo nie wiedział, co miałyby z nim zrobić. Nie zranił nikogo, nawet oszalałych. Nie walczył z nimi, tylko uciekał. Jak miałyby skrzywdzić normalnego człowieka. Ale mógłby się przecież wyszarpnąć, wyzwolić z ramion chudej kobiety, uciec do domu, zatrzasnąć za sobą drzwi... I pewnie właśnie to by zrobił, gdyby nie uświadomił sobie, jak bardzo potrzebował dotyku drugiego człowieka i jak rozpaczliwie za nim tęsknił. Zamiast więc walczyć, trochę samemu się sobie dziwiąc i trochę się na siebie złościąc, odwzajemnił uścisk, a potem, choć dopiero co obiecywał sobie, że nigdy, przenigdy do tego nie dopuści, rozplakał się.

– Gotowałem zupę – szepnął długo, długo później, zaskoczony, że nawet mężczyzna z karabinem ocierał łzy z kącika oka. – Dużo gorącej zupy. Chcecie?

Chcieli. I nawet prawie udało im się go oszukać, gdy twierdzili, że im smakowała.

Potem wszystko potoczyło się szybko. Wspólnie stawiali ogrodzenie z kilku warstw siatki, którą przywieźli samochodem z trudnej i potajemnej wyprawy nocą do wielkiego centrum handlowego pod miastem, na tyle daleko, by nikomu nie chciało się za nimi jechać. Musieli zostawić samochód na obrzeżach, bo nie mieścił się na zapchanych porzuconymi autami ulicach w mieście. Męczyli się, transportując ciężką siatkę na wózkach sklepowych. Później wbijali słupy ze ściętych drzew i nawet kopali tę studnię, o której mówił facet z karabinem – Paweł, jak się okazało. Smuga nie tracił okazji, by

nauczyć się czegoś nowego. Dzięki Annie poznawał tajniki gotowania, a brunet, Jacek, pokazał mu, jak zastawiać sidła. Ponieważ blondynka, która próbowała uciekać na czworakach, była kiedyś nauczycielką, odciągała Smugę od innych zajęć, by szkolić go w hiszpańskim i angielski. Próbowała też matematyki, ale musiała się poddać, gdy przekonała się, że chłopak zna ją lepiej od niej. „Tak wiele zdążyłam zapomnieć” – szepnęła i to on musiał ją pocieszać.

Paweł uczył go strzelać, choć wyłącznie na sucho, bo bali się, że odgłos wystrzału mógłby kogoś przyciągnąć. Ostatni z mężczyzn, Radek, niechętnie używający słów, zrobił Smudze łuk z rur PCV przywiezionych z tej samej wyprawy, podczas której zdobyli siatkę. Strzały wycinali z drewna, lotki robili z czego popadło. Radek zżymał się, obiecywał, że kiedyś wyskoczą do miasta po prawdziwy łuk, a na razie pokazywał Smudze, jak strzelać z tego „półproduktu”, jak nazywał własnoręcznie zbudowany łuk. Chłopiec polubił te zajęcia, polubił każdą z wykonywanych wspólnie prac. Po raz pierwszy w życiu naprawdę poczuł się częścią wspólnoty. Kimś ważnym, mającym jakiś cel. Zaczął nawet wierzyć, że berserk nie był taki zły, skoro pokazał mu, jak wygląda prawdziwy świat i ofiarował nową rodzinę.

Kiedy przyszli tamci „nawiedzeńcy”, jak nazwał ich Paweł, Smuga na wszelki wypadek schował się. Ścisnął w dłoni łuk, a przez plecy przerzucony miał kołczan ze strzałami, uszyty przez Martę, najstarszą z kobiet, co rano spędzającą mnóstwo czasu przed lustrem. Targała za sobą walizkę pełną kosmetyków i domagała się, by z każdej wyprawy po łupy przywozili jej nowe. „Ostatecznie możemy ich użyć, żeby malować sobie gęby w maskujące wzory” –



śmiał się Paweł, ale nigdy o niej nie zapominał, gdy w niektóre noce wyruszali na szaber.

Chciał iść z Radkiem i Anną, kiedy ci udali się śladem nawiedziców, ale nie pozwolono mu.

„Zatrzymali się w kościele – zdali raport zwiadowcy po powrocie. – Chyba faktycznie mówili prawdę i chcą ganiać z Matką Boską po całym kraju. Trochę szabrują, dużo się modlą”.

Mimo wszystko wystawili warty. Tak przywykli do spokoju w swoim ustroniu, że zaprzestali stosowania tego środka. Ale przybycie pielgrzymów przypomniało im, że na świecie wciąż żyją ludzie i niektórzy wędrują po kraju, szukając dla siebie miejsca.

Wartownik w niczym nie pomógł, kiedy nadciągnęły bestie. Okazało się, że berserk wcale nie zniknął, przycichł tylko, przycisnął się. Potworna sfora wypadła z lasu w całkowitej ciszy, bez trudu wspięła się po siatce i ignorując rany zadawane przez drut kolczasty, runęła na domostwa.

Smuga obudził się jako jeden z pierwszych. Tej nocy na wszelki wypadek spał nie u siebie, lecz z innymi. Chwycił łuk, ale gdy biegł z nim ku balkonowi, Radek nagle złapał go od tyłu i zacisnął ramię na gardle.

– Znajdą cię, jeśli będziesz przytomny – szepnął, dusząc zdumionego chłopca.

– Radek! – zawołała przestraszona Anna.

– Tak lepiej. Zostawię go, jeśli pomyślą, że nie żyje – usłyszał jeszcze Smuga, nim stracił przytomność.

Obudził się przepełniony złością, dławiony poczuciem zdrady. Wszystko, co mu dali, było oszustwem! Dranie!

Świtało. Nie zastał nikogo w pokoju. Uciekli i zostawili go? Pewnie uważali, że w drodze okazałby się ciężarem.

Dranie! Dranie!

Pierwszego trupa znalazł na schodach. W rozszarpanym ciele z trudem rozpoznał Martę. Czyjeś ciosy zmiażdżyły jej twarz, w rozprutym brzuchu ucztowały już muchy. Smuga przyglądał się zwłokom, czując dziwny chłód ogarniający mu serce. Zrozumiał.

– Wróć – obiecał Annie, na którą natknął się w pobliżu niedokończonej studni. Potwory prawie oderwały kobiecie głowę, przegryzły szyję aż do kości. Smuga głaskał ją chwilę po włosach, próbując doprowadzić je jakoś do ładu. Przecież tak dbała o nie za życia.

Zabrał karabin Pawła i tak uzbrojony ruszył tropem bestii. Nie było trudno je ścigać, wystarczyło iść śladami krwi. Mordercy skręcili na główną drogę i biegli po asfalcie, Smuga wędrował brzegiem szosy, ukryty między drzewami. Poruszał się ostrożnie, ale szybko. O skradaniu nauczył się podczas berserka wszystkiego. Mógłby dawać rady dorosłym, którzy w stanie opętania nie zwracali uwagi na takie drobiazgi jak podkradanie się do ofiary. Kiedy już jakąś dostrzegli, rzucali się na nią i ścigali, póki jej nie dopadli.

Chwilę niepewności przeżył, gdy zbliżał się do pierwszych zabudowań. Ludzie wycięli tam las, nowe krzewy nie zdołały jeszcze zarosnąć pasa łąki. Trawa była zdecydowanie zbyt niska. Czołgał się w niej jednak. Dotarł do pierwszego budynku i odetchnął w jego cieniu. Słyszał już jakieś głosy, choć jeszcze zbyt odległe, by zrozumieć rozmowę.

Gdy zobaczył kościół, przebiegł na drugą stronę ulicy. Znowu skradał się, od ogródka do ogródka, pod osłoną podmurowań i żywopłotów. Kiedy zbliżył się na tyle, by podsłuchać rozmowę dwóch spierających się mężczyzn,

ostrożnie podczołgał się do drzwi najbliższego budynku. Ktoś roztrzaskał klamkę i zamek, ustąpiły więc łatwo. Smuga wstrzymał oddech. Gdyby obcy rozlokowali się w środku... Na szczęście dom był opustoszały, przeszukano go tylko, wynosząc wszystko, co cenne.

Wchodził powoli po schodach. W pokoju z widokiem na kościół (prawdopodobnie sypialni, bo w środku były tylko wielkie łóżko i szafa) położył karabin na kołdrze. Schylony podszedł do okna i wyjrzał ostrożnie. Jęknął, nie do końca wierząc w to, co widzi. Dwóch mężczyzn, chyba zakonników, jeden w białej, a drugi w czarnej sutannie, krążyło między siedzącymi na środku ulicy bestiami. Choć zachowywały się potulnie i nie reagowały na zabiegi zakonników, to musiały być potwory, które wymordowały nową rodzinę Smugi. Część z nich miała na sobie zakrwawione ubrania.

Ten w czerni polecił przybranemu na biało, by zagotował wodę, aby mogli umyć bestie. Smuga nic z tego nie rozumiał, ale czekał cierpliwie. Nie odważył się sięgnąć po broń – mogłaby narobić hałasu, a on przecież nie zdołałby zastrzelić ich wszystkich naraz. Czekał więc.

Przyglądał się, jak tamci rozebrali wszystkie bestie do naga i zaczęły zmywać z nich krew. Przysłuchiwał się rozmowie, z której zrozumiał tyle, że potrafią – w każdym razie jeden z nich potrafi – kontrolować potwory. Człowiek w czerni. Pasterz bestii. To jego trzeba będzie zabić jako pierwszego.

Nagle mężczyzna w bieli zamarł, nasłuchując, i Smuga przestraszył się, że został zdemaskowany. Na szczęście nie.

– Posłuchaj – szepnął zakonnik w bieli.

– Co? Nic nie słyszę! – czarny nie dbał o ściszenie głosu.

– Więc słuchaj! W ciszy!

– To...

– Silnik. Ktoś tu nadjeżdża, Ojcie. A jeśli go słyszymy, to chyba nie jest daleko.

Teraz i Smuga je usłyszał. Silniki. Pewnie jacyś nieszczęśnicy przyjechali na szaber. Wybrali kiepskie miejsce.

– Zagoń ich do kościoła! Pędem! – Teraz biały przejął komendę, choć wcześniej Smudze wydawało się, że to czarny dowodził. – Nie mogą zobaczyć stada nudystów!

Czarny skinął głową. Nie odezwał się, nawet nie podszedł do bestii, tylko przymknął oczy, a one wstały posłusznie, prawie jednocześnie i grzecznie, potem zaś idąc w szeregu, schroniły się w kościele. Biały pospiesznie zatrzasnął za nimi drzwi.

– Też powinniśmy spadać – oznajmił. – Ojcie?

– Musimy schować ubrania! – zaprotestował zakonnik.

– Do diabła z ubraniami! Lepiej, żeby znaleźli te szmaty niż nas!

– Musimy je wyprać! Musimy...

Za późno. Przybysze wjechali już na główną ulicę i choć może nie widzieli jeszcze białego, czarny musiał być dla nich doskonale widoczny. Pięć osób ubranych na czarno, w skóry, z hełmami zasłaniającymi oblicza. Na wielkich, ciężkich motocyklach obładowanych sakwami. Na plecach naszyte mieli wizerunki dziwnych, okrutnych aniołów. Na widok czarnego, wyglądającego prawie komicznie, gdy zamarł z zakrwawionymi szmatami w rękach, zwolnili, aż wreszcie zatrzymali się w równym szeregu.

Smuga chciał ich ostrzec, zrozumiał jednak, że w ten sposób zdradziłby się.

– Dzień dobry – odezwał się jeden z motocyklistów. – Ksiądz tutejszy?

– Przejazdem. Idziemy z pielgrzymką.

– Idziemy?

– Ja i mój towarzysz – wskazał białego wciąż stojącego na schodach wiodących do kościoła.

Biały skrzywił się, wyraźnie niezadowolony. Ruszył ku motocyklistom.

– Sporo krwi – ocenił stan jego sutanny drugi motocyklista, sądząc po głosie, kobieta.

– Zbieramy ciała, żeby je pochować – odparł biały. – Nie jest to czysta robota. A wy? Kim jesteście?

– Zwiadowcami. – Pierwszy motocyklista zdjął hełm. Okazał się szczupłym, długowłosym mężczyzną, raczej już niemłodym. – Jeździmy po Polsce, sprawdzając, jak wygląda. A jak jest z wami?

Biały i czarny wymienili spojrzenia.

– Idziemy z Częstochowy – odezwał się wreszcie czarny. – Z Cudownym Obrazem, by odkupić grzechy. Zostało tam trochę dobrych ludzi. Po drodze jednak nie spotkaliśmy nikogo. Tylko ciała, którymi nie miał się kto zająć.

– I grzebaliście je wszystkie? – W głosie kobiety pojawiło się zdumienie.

– Aż tak dobrzy nie jesteśmy – teraz głos zabrał biały, bo czarnemu wyraźnie zabrakło konceptu. – Te po drodze zostawiliśmy dla zwierząt. Tutaj... Trzeba mieć jakąś bazę wypadową, nie? Jeśli chcecie wiedzieć, żywi są także w Piotrkowie. Tam palili trupy.

– Tak samo jak w Krakowie – przytaknął długowłosy. – To dobra metoda, lepsza niż kopanie grobów.

– Jedziecie z Krakowa? – zainteresował się czarny. – Jak tam jest?

– Wielu przetrwało. Porobiły się frakcje. Miasto terroryzują jakieś stwory w maskach przeciwgazowych. Są

i księży, chociaż też się podzielili. Doktrynalne spory, ja ich nie rozumiem.

– A dzieci? – zapytał biały. Coś w jego głosie sprawiło, że podsłuchujący rozmowę Smuga aż zadrżał. Co to było? Groźba? Nadzieja? Jedno zmieszane z drugim?

– Ufortyfikowały się na Wawelu i jeszcze w jednym szpitalu. Nie dopuszczają dorosłych do siebie. Po co wam te wszystkie szmaty? To z trupów?

– Chowamy zmarłych nago, jak ich Pan Bóg stworzył – wyjaśnił czarny. – Rzeczy...

– Nigdy nie wiesz, co może się przydać – dopowiedział biały. – Pewnie je potem spalimy, ale mogą mieć coś cennego po kieszeniach.

– Takie to teraz zakony – roześmiał się długowłosa.

– Dziwne to wszystko... – motocyklistka pokręciła głową. – Przecież sklepy, nawet tutaj, są pełne. A po domach to dopiero znajdziecie skarby... I ta krew na ubraniach i twojej sukni, proszę księdza, wydaje mi się podejrzenie świeża...

– To sutanna – poprawił ją czarny, uśmiechając się.

„Uciekajcie!” – chciał krzyknąć Smuga, przeczuwając, że jeśli motocykliści nie wyruszą w dalszą drogę, może dojść do czegoś strasznego. – „Oni kontrolują bestie!”

Milczał jednak. Jeśli się zdradzi, zginie.

– Sutanna czy sukienka. – Wzruszyła ramionami. – Ta krew jest świeża. Darek, zabierajmy się stąd.

– Mielście kłopoty? – zapytał długowłosa.

– Darek!

– Żadnych kłopotów. – Czarny uśmiechał się łagodnie, ale Smudze nie podobał się ten uśmiech. Pamiętał, że kiedy przyszedł do ustronia, też sprawiał wrażenie spokojnego, miłego, choć może nawiedzonego człowieka. Pogodnego

i łagodnego.

– Darek, nie jesteś już gliną! – głos kobiety stał się stanowczy. – Cokolwiek się tu stało... Przepraszam panów – zwróciła się do zakonników. – Pomyliłam się. To stara krew.

– Niektóre trupy były dość świeże. – Smudze nagle wydało się, że biały też się boi. Czego? Motocykliści nie byli chyba nawet uzbrojeni.

– No właśnie – ochoczo przytaknęła kobieta. – Sporo takich można jeszcze znaleźć. Darek, jedźmy!

Długowłosey długo przyglądał się zakonnikom. Zerknął na zakrwawione ubrania w dłoni czarnego. Obrócił się, by popatrzeć na kościół. Przez chwilę siłował się na spojrzenia z białym.

– To niezły pomysł, żebyście odjechali – odezwał się zakonnik w jasnej sutannie. – Tu wszystko już rozszabrowane. Na tych motorach śmigniecie tak, że jeszcze dziś będziecie w Częstochowie. Tam sklepy pełne, ludzie życzliwi. Możecie nocować w klasztorze. Wysprzątałiśmy go. Pewnie znajdziecie nawet zapasy. Tylko do skarbcza nie chodźcie. – Mrugnął. – Tam są dary dla Matki Bożej. Zabytki.

– To niezły pomysł, żebyśmy odjechali – zgodził się długowłosey. – Ale mnie się chce pić. Pewnie macie trochę wody? – Zsiadł z motoru. Oparł go na składanych nóżkach, lśniących w porannym świetle. Hełm położył na siedzeniu. Przeciągnął się. – Poza tym co jakiś czas muszę rozprostować nogi. Lata już nie te, rozumiecie.

– Wciąż ci ich jednak sporo zostało – biały mówił teraz powoli, z naciskiem, jakby chciał mieć pewność, że każde słowo dotrze do motocyklisty.

– Kto to może wiedzieć? – Długowłosey uśmiechnął się

pogodnie, ale głos miał poważny. – Chyba tylko Bóg, prawda, proszę księdza? Chętnie odpocznę w cieniu kościoła. Tam pewnie chłodno, przyjemnie. Można się pomodlić.

– Pomodlić można się wszędzie – nie ustępował biały. – W chłodnym, przyjemnym cieniu drzewa na przykład także. Sporo takich drzew znajdziecie po drodze.

– Ja jestem starej daty. Wolę kościół. Ten zresztą chyba jest dość uczęszczany, bo jeszcze widać mokre ślady stóp na stopniach. Może się myłę, ale bosych. A wy, księża, macie na sobie mocne buty.

– Darek!

– Spokojnie, kwiatuszku. Ksiądz mi zaraz wytłumaczy, że to stopa Matki Boskiej. Bo przecież nikogo tu innego nie ma, prawda?

– A jeśli nawet jest – poddał się biały. – Jeśli w kościele siedzi i sto osób. Co wam do tego? Boją się, ukrywają. Nie chcą rozmawiać z obcymi. Dziwicie się?

– Temu bym się nie dziwił – odparł długowłosey. – Ale ta świeża krew na habicie księdza mnie dziwi. I na tych porzuconych ubraniach. A ja jakiś taki jestem, że lubię znać odpowiedzi.

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

– Jestem ciekawski, ale niezbyt religijny, więc jakoś to przeżyję.

– A jeśli nie? – biały zagroził mu drogę. – Czasem lepiej nie wiedzieć. Wierz mi.

– Darek, do kurwy nędzy! – przypomniała o sobie kobieta.

Biały był wyższy od długowłosego, mocniej też zbudowany. Ale motocyklista zdawał się tym nie przejmować. Lekko zadarł głowę, by patrzeć tamtemu



w oczy. Czarny chciał coś powiedzieć, lecz jego kompan powstrzymał go gestem. Dwaj mężczyźni stali więc naprzeciwko siebie bez słowa. Jeden sprawiający wrażenie, jakby szykował się do walki, i drugi, na pozór rozluźniony.

Smudze wydawało się, że trwało to niewiarygodnie długo. Aż wreszcie długowłose uśmiechnął się, potrząsnął głową i zawrócił.

– Jeździmy po Polsce, by ją badać – mówił, wsiadając na motor. – Jest wielu takich jak my. Roznosimy wieści. Taką mamy... pielgrzymkę. To teraz ziemia śmierci i krwi. Tak sobie myślę, że odwiedzimy tę Częstochowę. Ten klasztor. I nie ruszymy skarbcza, oczywiście – mrugnął do białego, nim znów założył hełm. – Z Bogiem, księża!

Gdy odjechali, Smuga odetchnął z ulgą. Był pewien, że będzie musiał przyglądać się, jak bestie zabijają motocyklistów.

– Wystarczyło jedno moje słowo – na ulicy czarny naskoczył na białego. – Jedna myśl! Nasi bracia, moje dzieci... Usunęlibyśmy ich.

– I znowu mylibyśmy ich z krwi? Jestem na to za leniwy, Ojcze. Nie po to męczyłem się całe rano, żeby się ta moja robota zmarnowała.

– Oni wiedzą! A sam słyszałeś, roznoszą wieści!

– Co wiedzą? Że dwóch facetów w sutannach nie wpuściło ich do kościoła?

– Ta kobieta... Ten policjant...

– Skoro to glina, to mógł mieć spluwę. Rany po postrzałach nie zagoiłyby się w tydzień. Chciałbyś tu siedzieć miesiąc? Dwa?

– Nie, masz rację. Szybko myślisz, synu, dziękuję. Bóg cię do mnie przyprowadził.

– Bóg – powtórzył głucho biały. – Właśnie tak.

– Posprzątaj te ubrania. Potem wrzuć je do wiader z wodą. Uratujemy, co się da. Ja... pójde się pomodlić.

Gdy czarny zniknął za drzwiami kościoła, biały zrobił coś dziwnego. Osunął się na kolana, ukrył twarz w dłoniach.

– Zamknijcie się! – syknął. – Chociaż raz stulcie mordy. Wiem, co robię!

Nagle poderwał się z miejsca, rozglądając. Przez chwilę Smudze wydawało się, że tamten mógł go dostrzec. Ale nie cofnął się, nie drgnął, świadomy, że ruch z pewnością przyciągnąłby uwagę mężczyzny.

Gdyby ktoś mógł ujrzeć go wtedy, jak ukrywa się na piętrze, samemu jeszcze nie pojmując, czemu musi się zemścić, ale rozumiejąc nieuchronność tej zemsty, ten ktoś, gdyby umiał spojrzeć szerzej, mógłby powiedzieć, że tak właśnie musiało się stać. Że losy mężczyzny pragnącego pomścić zamordowanego chłopca musiały spleść się z losami chłopca pragnącego pomścić zamordowanych dorosłych.

## Rozdział 10

Trzeba ich było karmić. I myć, bo nie potrafili zadbać o siebie. Marek znosił to cierpliwie, przestał nawet przejmować się nagością mężczyzn. Podcierał im tyłki, sprzątał po nich gówna i zmywał kałuże moczu. Nie pierwszy raz odkrywał, że człowiek zdolny jest przywyknąć prawie do wszystkiego. Zagłada ludzkości i setki tysięcy ciał na ulicach? Zwyczajna rzecz, można między nimi urządzać pikniki, jeśli komuś nie przeszkadzają muchy. Smród? Jaki smród? Usługiwanie potworom, które kiedyś były twoimi kumplami, a teraz przegryzłyby ci gardło, jeśli Ojciec straciłby czujność? W porządku, normalna robota.

Dbał o to, by zawsze być tym, który zajmuje się Jadźką. Ojciec przystawał na to, rozumiejąc, że mężczyzna nieprzywykły jeszcze do wizji wspólnoty kobiet i mężczyzn zazdrośnie strzegł swojej partnerki. Korzystając z tego kamuflażu, Marek mył starannie Jadźkę, obcinał jej codziennie paznokcie u dłoni i stóp, prawie jak innym. Prawie, bo mały palec lewej dłoni pozostawał nietknięty. Miał nadzieję, że Ojciec przegapi ten szczegół.

Gotowali im, wyprowadzali ich na spacer, żeby rozruszali mięśnie. To ostatnie tylko nocą, z obawy przed kolejnymi zwiadowcami, a może motocyklistami. Pracowali

wspólnie, Ojciec nie migał się od żadnej roboty. Nie narzekał też, gdy Marek wyruszał czasem na samotne spacerunki. Zapytał tylko raz, po co to robi.

– Żeby nie zwariować. Te pochody golców w nocy, msze odprawiane dla zombiaków... Muszę czasem połączyć w normalnym świecie, przysiąść między zwyczajnymi trupami, popatrzeć, jak gniją. Zwyczajny człowiek ze mnie.

– Ja się modlę.

– Ja też. Ale po swojemu.

Snuł się po okolicy, przetrząsając domy. Niekiedy przyglądał się drzewom, zastanawiając się, czy umiałby wystrugać dla siebie oszczep i trochę poćwiczyć nim rzucanie. Choć jego karierę sportową diabli wzięli lata temu, nagle zatęsknił za sportem. Zresztą taki oszczep mógłby służyć za broń.

Ciekawe, jak by to wytłumaczył Ojcu...

Czasami miał wrażenie, że był obserwowany. Bywało, że odwracał się niespodziewanie, szybko, by zaskoczyć kogoś, kto mógł go śledzić. Ale nigdy nikogo nie nakrył. Nawet żaden cień mu nie mignął. Walczył z pokusą, by ukraść jakiś samochód i sprawdzić, jak wygląda pobojowisko. Może ktoś z tamtych przeżył? W takim razie mógłby narobić im kłopotów.

Podobnie jak ten gliniarz na motorze, jeśli włamie się do skarbcza. Ciekawe, co wtedy robi. Powinien zrozumieć, że skoro dostał cynk od Marka, to on sam nie był winny. Ale diabli tam wiedzą z glinami.

Kruchy prawie się do niego nie odzywał, obrażony. Nie donosi się. Nie rozmawia się z psami. Doktorek okazał się bardziej tolerancyjny. Rozumiał, że Markowi przyda się każdy sojusznik.

Trzeciej nocy odczekał, aż Ojciec zaśnie, i stąpając

ostrożnie pomiędzy śpiącymi na kościelnej podłodze opętanymi, dobrał się do bagażu Szymona. Pograżeni we śnie ludzie w berserku nie różnili się od innych. Tylko wyobraźnia Marka podpowiadała mu skojarzenia ze znużonymi wilkołakami albo smokami strzegącymi skarbów. Jak na złość światło nadymającego się ku pełni księżyca wlewało się już przez jedno z wysokich okien. W jego blasku nadzy opętani wyglądali jak martwi, a kościół przemieniał się w kostnicę. Pełną groźnych, skorych do gniewu istot. Ojciec twierdził, że panował nad nimi, ale kto wie, jak zareagowałiby nagle rozbudzeni. Dlatego Marek podczas tej złodziejskiej wyprawy nie rozstawał się z siekierą.

Najpierw sprawdził kieszenie plecaka, nie znalazł w nich jednak zeszytu, w którym zastępca Ojca prowadził kronikę, nową Ewangelię, jak planował. Otworzył więc plecak, by wyjmować z niego ostrożnie rzeczy i układać tak, aby łatwo było zapamiętać kolejność. Znow nic. Powkładał je z powrotem, mając nadzieję, że niczego nie pomylił. Zamarł, gdy jeden z opętanych zamruczał coś gniewnie przez sen. Ciekawe, o czym śnili pograżeni w berserku? Może o normalności? A może o łowach?

Szymon nosił jeszcze niewielką skórzaną teczkę, zdaniem Marka niewygodną i niepraktyczną, ale być może w przekonaniu zakonnika dodającą mu powagi. Leżała oparta o plecak Krystyny. I została zabezpieczona kłódką. Marek klął dłuższą chwilę bezgłośnie, by nie zaalarmować śpiących. Zastanowił się. Gdzie mógł być klucz? Przed praniem ubrań dokładnie przetrząsali z Ojcem wszystkie kieszenie. Znalezione rzeczy Ojciec opisał, a potem zabrał ze sobą, by je gdzieś schować. Sprawy wyglądały więc kiepsko. Nie tylko należało przeszukać bagaż Ojca, ale

jeszcze dowiedzieć się, gdzie ukrył wszystkie te szpargały odebrane opętanym. Jak tego dokonać? Zapytać, udając, że chodzi o jakiś drobiazg Jadźki? Niby dałoby się to zrobić, ale czy ksiądz nie zorientuje się, że coś jest nie tak? Wydawało się, że pogodził się z tajemnicą Szymona i faktem, iż część zakonników dochowuje wierności zastępcy przywódcy. Dawało się to wytłumaczyć tym, że Szymon był Ojcu fanatycznie oddany, nawet jeśli nie zgadzał się z nim w niektórych sprawach. No i Ojciec mógł w każdej chwili przemienić ich w bezrozumne berserki, a może nawet kazać pozabijać się nawzajem?

Mógłby spróbować pobawić się tą kłódką. Ale wprawy w tym nie miał praktycznie żadnej. Istniało też ryzyko, że uszkodzi kłódkę, a wtedy sprawa się wyda.

A gdyby... Jeszcze raz obejrzał teczkę. Skuwka była wprawdzie metalowa, ale przecież wszyta w skórę. Mógłby przeciąć szew i zupełnie nie przejmować się kłódką. Miałyby potem parę nocy, żeby wszystko pozaszywać z powrotem. Pod warunkiem, że znajdzie identyczne nici. I szydło, bo igłą by tego nie zszył. Chyba że pilnowałby, aby trafiać idealnie w stare szycia. Czy byłby do tego zdolny? I czy Ojciec nie zechce jakimś trafem rzucić okiem na teczkę Szymona akurat wtedy, gdy ta będzie rozpruta? Niby prawdopodobieństwo jest niewielkie, lecz jak mówił Kruchy: „prawdopodobieństwo to jedno, a szanse dawane przez los to zupełnie coś innego. Bo matematyka jest ślepa, a los złośliwy”.

„Jesteś wysłannikiem Boga – przypomniała mu siostra. – Pan jest po twojej stronie. Będzie cię strzegł!”

„Pan strzeże tych, którzy strzegą się sami” – odpowiedział.

Jeśli ma zabawić się w krawca, musi najpierw znaleźć

identyczne nici. Co oznacza, że w dzień trzeba będzie poświęcić nieco czasu na kolejne przetrząśnięcie domów. I liczyć na to, że siostra ma rację i Bóg faktycznie trzyma za niego kciuki.

Doktorek w jego głowie zachichotał i nawet obrażony Kruchy burknął pogardliwie.

„Walizki są zszywane w różnych miejscach” – odezwał się Doktor, gdy Marek odkładał już przeklęty przenośny sejf na miejsce.

Bardzo pomocne, doprawdy. Każdy głupi to wie. Przecież...

Zamarł. Rzeczywiście, kto każe mu rozpruwać teczkę akurat przy skuwce? Może od spodu, albo z tyłu...

„Z boku. Nikt nie sprawdza boków. Teczki widać zwykle od góry, z przodu, z tyłu. Jak ostrożnie rozprujesz i zszyjesz z boku, jest szansa, że się nie zorientuje”.

„Tak jak psy nie zorientowały się z twoją żoną?” – zakpił Kruchy.

„Parę lat im to zajęło. Ten cały Szymon nie pożyje wystarczająco długo, prawda?”

Prawda. Szczęście zakonnika skończy się, kiedy tylko Marek dowie się, czemu ten sukinsyn zabił jego syna i kto jeszcze był w to zamieszany.

„Ja bym go związał, zakneblował, wywiózł do lasu i tam przepytał co i jak. Skutecznie”. – Kruchy lubił proste rozwiązania.

„Pomysł wart Nobla – skrzywił się Doktor. – Bo ci w berserku gadają jak najęci. Wręcz epopeje układają”.

„Wiesz, że to ja zdechłem ostatni? Zjadłem ten twój cwany mózg, mądralo. Na jebany deser”.

„Stulcie obaj pyski”.

Znów przyszło Markowi stąpać ostrożnie między

bestiami. Jak ten cały Daniel wrzucony między lwy. Ile ich tam było? Trzy? Pięć? Na pewno mniej niż opętanych. Zatrzymał się przy Szymonie. Zwalczył pokusę, podeślaną najpewniej przez Kruchego, by choć kopnąć szuję. Zamiast tego pochylił się nad leżącym, żeby sprawdzić, czy wieszczony przez siostrę cud nie nastąpił i czy drań nie ma klucza na przykład zawieszzonego na szyi. Niestety, Bóg tym razem nie interweniował. Marek westchnął cicho i ruszył dalej.

Wyszedł przed kościół, usiadł na schodach. Zerknął na zegarek. Zbliżała się północ. Jeśli teraz położy się spać, złapie parę godzin snu. Ojciec miał zwyczaj urządzania pobudek o szóstej i nie zaniechał go podczas tego postoj. Odprawiali jutrznię we dwóch dla Boga i stada potworów.

Wyjął papierosy. Zważył paczkę w dłoni. Nauczył się palić przez tę cholerną Jadzkę. Znowu baba zwiodła go na manowce. Siostra przytaknęła ochoczo. „Nie jest dla ciebie – zatrajkotała. – Ta berserczyca jedna. Służka fałszywego proroka. A przecież ocalały na pewno dobre kobiety na świecie. Taką znajdź. Nie za mądrą, za to miłą, gospodarną. Co ta biurwa umie? Gotować? Ha! Nie zadba o ciebie przecież, prędzej gardło ci we śnie przegryzie. I widać, że do dawania dupy skora, bo...”

Pozwalał siostrze mówić, znajdując pewną przyjemność w wysłuchiowaniu jej słowotoku. Przypominał mu czasy sprzed berserka, ów spokojny, niemal święty okres, gdy odcięty od świata w więzieniu chadzał na spotkania z siostrą i też dawał jej się wygadać. Poznawał wydarzenia tak, jak ona je widziała. Los różnych Staszków czy Marcelin okazywał się równie ważny jak przemówienia tego drania premiera albo kolejna z licznych wojen toczonych gdzieś daleko bądź niepokojąco blisko. Swoją



drogą ciekawe, czy berserk nie wyjdzie ostatecznie ludzkości na dobre i czy statystycznie nie okaże się mniej krwawy niż suma wszystkich wojen, jakie toczyłyby się bez niego? Trzeba będzie zapytać o to Ojca, on uwielbia takie rozważania o niczym.

Zaraz, czy to ktoś w jego głowie gwizdnął, czy naprawdę...

„To nie my” – wyjaśnił Doktor.

Gwizd powtórzył się. Cichy, ale uparty. A po kilkunastu sekundach po raz trzeci. Ktoś chciał przyciągnąć uwagę Marka. Kto? Jak?

Przypomniał sobie te wszystkie chwile z ostatnich kilku dni, gdy wydawało mu się, że ktoś go obserwował. Postanowił się ujawnić? A może to pułapka?

Wezwałby czającego się w ciemnościach, by się pokazał, wyszedł przed kościół. Co jednak, jeśli Ojciec patrzyłby akurat z okna plebanii? Na ile można zaufać ciemnościom rozbrajanym przez ten przeklęty księżyc puchnący od trupich oparów, którymi ziemia zdążyła już przesiąknąć do tego stopnia, że pewnie odór zdołał przeniknąć w niebiosy? Zdziwią się jacyś kosmici, jeśli będą przelatywać w pobliżu...

Marek wstał niechętnie. Wyszedł za kościelną bramę. Stanął na środku drogi. Czekał.

– Tutaj! – szepnął ktoś ukryty za żywopłotem odgradzającym dom naprzeciwko od kościoła. Szept nic nie zdradzał, trudno po nim rozpoznać głos. Marek zacisnął siekiere w dłoni. Powoli, by nie zaskrzypiała, otwierał furtkę.

– Tu jestem – odezwał się głos z prawej. Z dołu.

Nie odkładając broni, Marek przykucnął obok przyczajonego mężczyzny. Kruchy rozpoznał faceta szybciej

niż on. Prychnął pogardliwie i dopiero wtedy Marek odetchnął z ulgą. Długowłosy motocyklista. Były glina. A może, na co liczył, na zawsze glina.

– Znaleźliśmy ciała – oznajmił długowłosy. – Cały dzień straciliśmy na rozwalanie tych cholernych drzwi. Ale znaleźliśmy ciała.

– Widziałeś ślady po kulach?

– Widziałem. Kto to zrobił? Ten twój księżulo? Kurwa, człowieku, kim ty jesteś i co tu się dzieje? Ilu was jest? Co to za tajniaczenie? Musiałeś się bawić w te szarady? Pół dnia myślałem, czyś ty mi chciał coś przekazać, czy tylko mi się zdawało!

– Ale znalazłeś ciała.

– Jezu! Dzieci!

– Mój syn.

– Musisz wiedzieć, że spaliliśmy zwłoki. Całe miasto się zleciało. – Nie wiadomo, kaszlnął czy zaśmiał się. – Całe miasto! Czterdzieści osób! No to gadaj, bo mnie zaraz szlag trafi. I wiedz, że Ulka celuje do ciebie cały czas. Z mojej starej, ale całkiem niezłej spluwy. Spust jest czuły, a Ulka trzęsie się ze złości. Gdybym jej posłuchał, spalilibyśmy was wszystkich żywcem w tym kościele.

– Już ją lubię. Berserk na was nie działa?

– Na Ulkę jakoś słabiej. Jak się poznaliśmy, kopała po jajach cwaniaka, który próbował zabrać jej motor. A on, rozumiesz, nie potrafił jej oddać. Znalazł maszynę, wsiadł, bo uznał, że teraz wszystko jest wspólne. A potem leżał i płakał.

– Lubię ją coraz bardziej. Ale lepiej niech trzyma palec z dala od cyngla. Jeśli strzeli, może pobudzić ludzi w tym kościele. A uwierz mi, bardzo nie chcielibyście ich budzić.

– Wierzę. Co nieco już wiem.

– Skąd?

– Pozwól, że zagadam jak za dawnych czasów. To ja tu zadaję pytania.

– Tak to możesz sobie iść pogadać do lustra. Dobrej nocy, panie władzo.

– Czeka! Wymiana informacji to rzecz święta. Ja ci coś, ty mi coś. Ale ty zacznij.

– No dobra – zgodził się Marek po krótkim zastanowieniu, pomimo pełnych gróźb protestów Kruchego. Opowiedział o zakonnikach zmienionych teraz w bestie śpiące spokojnie na kościelnej podłodze. O tym, jak Ojciec przemienił ludzi w potwory i wysłał je, by mordowały niewiernych. Wspomniał i o tym, że jego zdaniem Ojciec nie miał nic wspólnego z zabiciem dzieci i że odpowiada za nie Szymon, spec od organizowania pielgrzymki. Szymon i pewnie ci jego ludzie, którzy noszą w plecakach poukrywane pistolety. Co zabawne, niezbyt im potrzebne, skoro Ojciec potrafi ich przekształcić w chodzące maszyny do zabijania. Tyle że o tym akurat nie wiedzą.

– Uroczą trzódka – mruknął długowłosey. – A ty... Czeka, jak ty masz na imię?

– Marek, panie władzo.

– A ja, wyobraź sobie, Darek. Za co siedziałeś?

Marek drgnął. Kruchy zachichotał.

– Nie dziw się, chłopie. Każdy glina pozna takiego, co siedział. Nawet po berserku.

– Czy to ważne? Po tym wszystkim?

– Ważne, jeśli chcesz, żebym ci zaufał.

– Tak to z wami, glinami, zawsze. Ty im człowieku mów, co chcą, a oni do końca nigdy ci nie uwierzą.

– Będziemy się tak przekomarzać do rana, czy mi

odpowiesz?

– Usiłowałem zatłuc kochanka żony. Dostałem takiego wczesnego berserka, gdy zobaczyłem jego podskakującą dupę między jej nogami.

– Długo?

– Dziewięć lat.

– To kiepskiego musiałeś mieć adwokata.

– Pogapiłem się na te chude półdupki i zszedłem do piwnicy po siekierę. Wysoki sąd uznał, dzięki opinii biegłego stulotka, że gdy wróciłem na górę, byłem już w pełni świadomy swoich czynów i działałem z premedytacją.

– A działałeś?

– A ty działałeś, kiedy ganiałeś niedawno za ludźmi, żeby przegryzać im gardła? Z premedytacją?

– A wiesz, że nie pamiętam? Nic.

– Idź do Ojca, nawróć się. Wspowiada cię i wszystko sobie przypomnisz. Tylko potem będzie mógł cię włączać i wyłączać na zawołanie.

– A widzisz! To jest właśnie ten moment, w którym cała ta historia przestaje mi się kleić. – Darek stęknął i zamiast dalej kuć, po prostu klapnął na ziemi. – Bo jak to jest, że jakiś facet, w sumie nie wiadomo kto, samym dotykiem przywraca ludziom wspomnienia z czasów, gdy nie byli sobą? A potem, to jeszcze lepsze, potrafi ich zmieniać w berserki. I to tak, że go słuchają, choć wcześniej berserk był tylko bezrozumnym szalem i powinni sobie skakać do gardeł nawzajem. A zacząć od rozszarpania jego.

– Nie wierzysz, że to dar od Boga?

– Chyba jakiegoś innego niż ten, który mieszka w tym kościele. Albo ksiądz, który mi o nim opowiadał przed pierwszą komunią, cholernie rozmijał się z prawdą.

– Ale co, to tak zupełnie niemożliwe?

– Po berserku? Co ja tam wiem... – Znów ni to zakaszał, ni to zaśmiał się. – „Widziałem rzeczy, którym wy, ludzie, nie dalibyście wiary – zaczął nagle dziwnie podniosłym tonem. – Statki szturmowe w ogniu sunące ku ramionom Oriona. Oglądałem promienie laserów błyszczące w ciemnościach blisko wrót Tannhäusera”.

– Odbiło ci?

– Nie widziałeś *Blade Runnera*?

– Co to jest? Jakiś wiersz? Nie kumam wierszy, rozumiesz? Dla mnie to takie mówienie naokoło o niczym.

– Ty jesteś pewien, że nie siedziałeś tak z pięćdziesiąt lat, co? Przegapiłeś parę dekad kina?

– Kino mnie nudzi.

– No dobra... Słuchaj, widziałem takie rzeczy, że przed berserkiem bym w nie nie uwierzył. Taka Ulka na przykład. Ona nigdy nie śpi. Nigdy. Poważnie. Zakładaliśmy się. Trzymaliśmy warty. Czterdzieści kilometrów stąd stoi człowiek drzewo. Mówi, że obudził się taki po berserku. Wrastający w ziemię. Jak go widzieliśmy, to pączkowały na nim liście. A w Krakowie rozmawiałem z facetem przysięgającym, że widział w Wiśle syrenę. Nie samochód. Kobietę z ogonem. Rybim takim.

– Wilkołak – pokiwał głową Marek. – Jedna moja znajoma widziała wilkołaka. A ja znalazłem trupa rowerzysty, któremu mózg wybuchł, bo zmienił się w kryształ. Ten berserk to nie było tylko wielkie wyrzwanie.

– Nie było. Coś się w nas pozmieniało. Może nie we wszystkich. Więc choć mi się to nie klei z tym spowiednikiem i za cholere tego nie rozumiem, to chyba ci wierzę. Masz szczęście, że mam świadka.

– Kogo?

– Jeden dzieciak przetrwał masakrę, tam w lesie. Widział tych twoich, a potem śledził ich. Widział też, jak rozmawialiśmy. Wrócił tam później, żeby pogrzebać wasze ofiary...

– Nie moje!

– Sędzia dałby ci pewnie za współudział, ale to było przed berserkiem. Niech będzie, że nie twoje. Co sprawia, że wracamy do mojego starego pytania. Po pierwsze: czemu ty, chłopie, nie oszalałeś ze wszystkimi? I czego właściwie chcesz?

– Nie oszalałem, bo jestem odporny na spowiedź. Może też mi się mózg zamienia w kryształ? Nie wiem, więc nie pytaj mnie dlaczego. Nie wiem i już. A czego chcę? Zabiję gnoi, którzy zamordowali mi syna.

– I potrzebujesz w tym mojej pomocy?

– Nie wzgardzę.

– Długo byś tak szedł, szukając współników? Czemuś ich nie spróbował pozabijać we śnie, gdy jeszcze byli normalni? Chyba nie szukałeś dowodów?

– Chcę wiedzieć dlaczego.

– Co?

– Dlaczego zabili mi syna. Rozumiesz, to jest bez sensu. Obudzić się po berserku i po prostu zastrzelić dzieciaki. Przecież mogłeś je na kopach wywalić z klasztoru, jak już do niego wlałeś. Albo wyjąć obraz z ram i uciec. Cokolwiek. Ale pozabijać je? W tajemnicy przed Ojcem? Po co? Dlaczego? Chcę to wiedzieć.

– Teraz to ty gadasz jak glina.

– Ale mam rację?

– Przed berserkiem byś miał. Ale teraz to trzeba ich pozabijać. I jak dla mnie przede wszystkim tego księdza.

Przecież on chce tak iść przez Polskę, albo i dalej, cholera, i spowiadać ludzi, tak? I usuwać tych, którzy się nie nawrócą. Musimy go zabić, zanim zgromadzi wielką armię berserków.

– A mój syn?

– My zabijemy księżulka. Ty zabij swoich. Co ty na taki układ?

– Dacie radę?

– Ja... Nie wiem. Ulka da. Ten mały, co z nami idzie, też. Dzieci, widzisz, nie przeszły berserka, więc jakoś nie żywią wstrętu do przemocy. I pamiętają. A po tym, czego się naoglądały, zabijanie to dla nich normalka. Żebyś widział, co się w Krakowie dzieje... Odstrzeliwują z kuszy każdego, kto się zbliży do murów. No, z wyjątkiem jednego faceta...

„Czekaj!” – zawołał Doktorek, a Marek powtórzył to po nim automatycznie.

– Na co mam czekać? – zdziwił się Darek.

– Coś, co powiedziałaś... Nie wiem, będę musiał się zastanowić. Ale z zabijaniem też poczekaj.

– Powiedz to Ulce. I Smudze.

– Komu?

– Temu dzieciakowi. Taką ma ksywę. Smuga. Bo szybko biega. On też by was wszystkich spalił, kiedy śpicie.

– Słuchaj, teraz oni są przemienieni. Nie wiem, czy się ockną, gdy zabijecie Ojca. Chcesz stanąć naprzeciw ponad dwudziestu berserków?

– Nie chcę – przyznał Darek. – Myślę, że nawet Ulka nie chce.

Z cienia pod żywoplotem parę metrów dalej dobiegło ich pogardliwe prychnięcie. Marek zerknął w tamtym kierunku, ale nie zobaczył nikogo.

– Ulka miała siedmiu braci. – Darek uśmiechnął się

lekką. – Od małego marzyła, żeby zostać komandosem. Albo superzabójcą. Albo jednym i drugim.

– Poczekajcie parę dni. Dokładnie cztery. Wtedy Ojciec przywróci ich do normalnego stanu. Będzie łatwiej. A wy nie będziecie musieli zabijać wszystkich.

– Polubiłeś tych niewinnych, którzy nie zabili dzieci? Tu nie ma niewinnych, chłopie.

– Nie ma – zgodził się Marek. – Wszyscy zabijaliśmy, nie? W szale. Oni nie panowali nad sobą, gdy zostali przemienieni. Są równie winni i niewinni jak ty czy ja.

– Nie wiem, czy uda mi się to wytłumaczyć Smudze – mruknął Darek. – Ale masz rację. Tyle że ta twoja racja może tu nie mieć nic do rzeczy, rozumiesz?

– Rozumiem. Ale gdy zabijecie taką niewysoką kobietę o czarnych kręconych włosach, to lepiej, żebyście umieli szybko uciekać na tych swoich motorach.

Kolejne parsknięcie w ciemności. Marek tym razem je zignorował. Długowłosa motocyklista natomiast długo wpatrywał się w mrok.

– Cztery dni – odezwał się wreszcie. – Masz rację, lepiej, żeby ten księżulo ich odmienił. Cztery dni i kobieta o czarnych kręconych włosach. Te warunki mogą zaakceptować. Co do reszty...

Rozłożył ręce.

– Oni nie wyjdą żywi z tego miasta, chłopie – dodał po chwili. – Nie mogą. Kraków jest pełen ludzi. Jak na miasto po berserku. Musimy zakończyć to tutaj.



## Rozdział 11

Znalazł nici. Nie identyczne, ale podobne. Na tyle, żeby mogły oszukać kogoś, kto nie będzie się zbyt dokładnie przyglądał szwom. Może Szymon zorientowałby się przy następnym postoju, albo jeszcze nieco później. Jeśli jednak gliniarz dotrzyma słowa, nie będzie już następnych postojów. Nie dla Szymona i pielgrzymki.

– I co? Trafiłeś na coś wartościowego? – zapytał Ojciec, dość sceptycznie odnoszący się do pomysłu ponownego przeszukania domów, którym Marek uraczył go z samego rana.

– Jeszcze trochę wody i zupek w proszku. Są lekkie i pożywne.

– I jadą chemią. Mamy tego tyle, że zanim wyczerpiemy zapasy, będziemy już gotować zupy ze świeżych warzyw.

– Znalazłem też sporo kostek rosółowych. Przydadzą się nawet do tych naszych warzywnych. Bo z mięsem jest tak sobie.

– W końcu wrócimy do hodowli. Po pielgrzymce.

– A właśnie. – Marek przypomniał sobie słowa motocyklisty. – Ona dobiegnie kiedyś końca?

– Oczywiście. Kiedy obejdziemy z Maryją całą Polskę.

– A inne kraje? Nie potrzebują Matki Boskiej?

– Gdy poczują, że potrzebują, to do nas przyjdą. Nie będziemy się błąkać bez końca, synu. Jeszcze w tym roku, przed zimą wrócimy do Częstochowy.

„No to możesz się zdziwić” – pomyślał Marek. Tam już wiedzieli o zamordowaniu dzieci i nie przyjęliby zakonników z otwartymi ramionami. Nie powiedział jednak nic. Przecież zdziwić się nie będzie komu, jeśli plan gliniarza wypali.

– Przyniosłem też parę kilo ziemniaków. Trochę zarosły, ale nadadzą się.

– Przecież mamy ziemniaki tu, pod plebanią.

– Nie zszedłeś tam, co?

– Boisz się jednego trupa?

– Tego tak. – Marek przypomniał sobie zwłoki proboszcza pożerane powoli przez tę dziwną, fosforyzującą pleśń. Jak to było? „Widziałem rzeczy, którym wy, ludzie, nie dalibyście wiary”? Wilkołaki, mózgi z kryształu, a może nawet i syrenę?

Przysiedli nad wiadrem z krótkimi nożami i zabrali się za obieranie ziemniaków. Najpierw odcinali narosłe korzenie, potem zdejmowali skórę.

„Mógłbym go teraz zabić – myślał Marek. – Nawet by nie zauważył. Wbiłbym mu ten nóż w oko. Musiałbym uderzyć mocno, żeby wszedł w mózg. Albo wystarczyłoby po prostu wbić. Wrzasnąłby, spadł z tego taboreciku, pewnie uniósłby obie ręce do oka. A ja bym go przygwoździł i udusił. Trzymałbym go mocno, aż by zdechł”.

Tyle że, jak właśnie sobie uświadomił, nie był pewien, czy umie zabijać. Sąsiada i Małgoški nie zdołał. A wtedy był prowadzony przez biel, cokolwiek miał na ten temat do powiedzenia mądrała od psychologii. I nawet wtedy nie dał rady, choć przecież nie przejmował się wówczas Bogiem

i wszystkimi grzechami, jakie zaliczał na swojej drodze do potępienia. A teraz ten Bóg trochę go uwierał, przez tego księdza, którego wysłuchiwał w więzieniu, i przez siostrę. A nawet przez Ojca, jakkolwiek szalonym fanatykiem okazał się ten na pozór rozsądny facet.

No i w dodatku Ojciec nie zrobił mu krzywdy. To nie on stał za zabiciem Patryka. Nawet o nim nie wiedział. Szymon ukrył przed nim masakrę, pewnie ze strachu, że ksiądz wygnałby go za taką zbrodnię. Dzieci to nie niewierni. Ojciec kazałby najpierw sprawdzić. I prawdopodobnie okazałoby się, że wierzą w Boga, bo dzieciom chyba łatwiej wierzyć. Istnienia kogoś silniejszego, mądrzejszego od nich, dysponującego wielką mocą i tajemnicami doświadczenia przecież na co dzień. Zazwyczaj bywają to rodzice, ale czasem trafi się jakiś Spider-Man.

Marek nie wiedział więc, czy byłby zdolny zabić Ojca. Zdradzić go, jak zdradza go teraz, siedząc nad ziemniakami, świadomy tego, o czym tamten wiedzieć nie mógł – że jest już trupem, prawie takim samym jak te, które rozkładały się po polach i na drogach. Ojciec jeszcze chodził, dziwił się światu, modlił i kierował swoimi prywatnymi zombiakami. Ale przecież jego droga do rozkładu została już wytyczona, pędził nią nieświadomy, że życie śmiga obok niego, jakby zasuwał sportowym wozem. A że czas to kpina, dni zawsze mijają za szybko i ani się człowiek obejrzy, a jakieś pojutrze, które dopiero co było lękiem majaczącym gdzieś głęboko w kalendarzu, już staje się na naszych oczach, to Ojciec był już tym trupem pęczniejącym od gazów. Zdradzonym przez człowieka, którego przyjął do siebie z nadzieją, że ten ujmie mu ciężaru tajemnicy.

Trudno, taka jest cena za śmierć Szymona i innych. Niech niewinni zdychają w imię odpłaty za śmierć Patryka. Nawet jeśli tak naprawdę Ojciec był Markowi teraz bliższym człowiekiem niż syn, którego nigdy nie poznał. Tylko trzeba się spieszyć ze znalezieniem odpowiedzi. Próbował pytać o nią Doktorka, który zdecydowanie wpadł na jakiś pomysł w nocy, lecz ten milczał jak zaklęty. Drań. Ale że był przecież tylko wytworem umysłu Marka, trzeba będzie się wysilić, pomyśleć samemu, bez korzystania z tej sztuczki z wewnętrznymi głosami.

Chyba że one naprawdę istnieją? To była myśl ocierająca się o szaleństwo, ale skoro ludzie po berserku mogli zmieniać się w drzewa i syreny, to czemu Marek nie miałby zachowywać umarłych w głowie?

„Zostałeś wybrany! – wykorzystwała okazję siostra. – Niesiesz życie pośród śmierci”.

– Tak się zadumałeś, że aż ci się z uszu dymi – roześmiał się Ojciec. – Nad czym tak myślisz?

„Czy pozwolić cię zabić, czy ratować, jeśli nie zdążę znaleźć odpowiedzi”.

To dałoby się zrobić. W ostatniej chwili powiadomić Ojca o pułapce. Niech poszczuje na Darka i Ulkę swoje ogary. Niech zginie były gliniarz i jego dziewczyna, i kumple, i ten...

Nie. Nie dzieciak.

Szlag, będzie musiał znaleźć odpowiedzi. Choćby miał wyciągnąć sobie Doktorka z mózgu obcęgami i przypalać mu stopy nad ogniskiem.

– O dzieciach – odpowiedział. – Nie zachorowały, prawda? Może my wszyscy powinniśmy zdechnąć, a one niech posiadają ziemię?

– A może jeszcze zachorują? Może noszą w sobie wirusa, który ujawni się, gdy osiągną odpowiedni wiek? Nie pomyślałeś o tym?

– Teraz to „wirus”, a nie gniew Boży?

– Kiedy trzeba było ukarać ludzi w czasach Noego, Bóg nie wymyślał jakichś dziwnych kar, tylko skorzystał z wody, prawda? Wirus to taki nowy potop. Może dzieci zachorują, a może nie. Ale po pierwsze, jest ich zbyt mało, by ludzkość przetrwała. Po drugie, nic nie wiedzą. Wymyśliłyby sobie Boga na nowo i raczej nie byłby to dobry Bóg. I raczej nie chrześcijański.

– Skąd ta pewność? Może objawiłby im się anioł?

– Może. Niezbadane są ścieżki Pańskie. Ale właśnie dlatego, że zdajemy sobie z tego sprawę, nie możemy tak po prostu zdechnąć. Obaj mamy dar. On został nam dany po coś.

– Więc będziemy zwiedzać Polskę. Ojciec wypowiada, kogo się da. I za rok będziemy dysponować armią, jakiej świat nie widział.

– Nie myślę o podbojach. Ale tak, chcę mieć się kim bronić, jeśli ktoś kiedyś o nich pomyśli. Zostaliśmy przetrzebieni, synu. Po co mi miliony kilometrów cudzej ziemi? Nie starczy mi ludzi, by obsiać to, co nam zostało. Po co mi bogactwa naturalne, ropa, a nawet węgiel, skoro nie ocalało wielu potrafiących je wydobywać? Co bym zresztą z nimi robił? Powiedzmy, że węgiel przyda się zimą. Ale drzew mamy tyle, że ta garstka ocalałych może nimi ogrzewać domy do końca życia, nie naruszając znacząco jednego lasu. O co się bić?

– Bo ludzie tacy są? Dla idei? Czemu zabiliśmy tamtych w lesie?

– Przyłapałeś mnie. Zabiliśmy ich teraz, by nie roznosili

zarazy. Masz rację. Zawsze będzie jakiś powód do walki. Więc chcę być na nią gotowy. Ty nie?

– Pytałeś, nad czym się zastanawiam. Przyszły mi do głowy te dzieci.

– Masz... miałeś własne?

– Nie mam żony, a ostatnie dziewięć lat siedziałem za niewinność, Ojciec.

– To nie jest odpowiedź.

Marek oderwał wzrok od obieranego właśnie ziemniaka, by spojrzeć w oczy człowiekowi, który był już właściwie trupem, i odpowiedzieć. I sam nie był pewny, czy mówił prawdę, czy nie.

Wieczorem modlili się pośród szaleńców, nagich i milczących. Opętani klęczeli zwrócenii twarzami do ołtarza, nie wiadomo, czy dlatego że tak nakazał im Ojciec, czy też postanowili się zachowywać jak ci dwaj ludzie, dwaj bełkoczący, którzy karmili ich i myli, a po zmroku wyprowadzali na spacer. Gdy księżyc, znów pęczniejący i dziwnie czerwony, zaczął wypełzać na niebo, Ojciec i Marek popędzili swoją trzódkę na wypas. Poprowadzili opętanych blisko dwa kilometry szosą. Zberserkowieni szli potulnie, ze wzrokiem wbitym przed siebie. Nie rozglądali się na boki, jakby świat zupełnie ich nie interesował. Milczeli. Ojciec modlił się cicho, Marek zaś zastanawiał się, czy będzie jeszcze w stanie dotknąć Jadźki po tym wszystkim. Czy starczy mu ochoty na seks, jeśli będzie pamiętał ją jako tego bezwolnego, tępego stwora, któremu musiał zmywać krew z ust i dłoni, wydłubywać ją z paznokci, co rano przycinanych na krótko, jak sama to robiła. Stwór, a nie człowiek. Jak można iść do łóżka ze stworem?

Starał się więc na nią nie patrzeć. Rozglądał się za to dyskretnie, próbując dostrzec tego, kto obserwował ich tej nocy. Jakiś inny motocyklista? Ten dzieciak, Smuga? A może owa Ulka, której Marek mógłby zapragnąć, bo była kobietą, a nie stworem, kobietą pełną życia. A jeśli Ojciec dotknie jej i wypowiada, przemieni ją w to coś. Nawet pełny berserk byłby lepszy, bo lepiej być wcieloną furia, uosobieniem mordy niż potulnym, tępym ogarem związanym dziwną mocą swojego pana. Zmienić Ulkę w stwora to jakby ją zgwałcić, wyrwać z niej to, co najlepsze.

I to właśnie, uświadomił sobie Marek, Ojciec zrobił Jadźce.

Więc zdechnie. I nie będzie to żadna zdrada. To on zdradził ich wszystkich. Nawet Szymona, tego gnoja, któremu śmierć jest pisana. Łajdaka, ale przecież łajdaka o żywym umyśle, zdolnego opracowywać błyskotliwe plany, wybiegać myślą w przyszłość i wykazywać się bezwzględnością, którą w innych okolicznościach Marek mógłby nawet podziwiać. A teraz człapał goły, śliniąc się. Nieświadomy, że Ojciec ukradł mu duszę i jeszcze ten cały tydzień życia, który dla opętanych miał nawet nie zaistnieć.

Byłby to rodzaj piekła, gdyby tych dwoje, Jadźka i Szymon, mogli zdać sobie sprawę ze swojego losu.

Gdyby tak było, Marek nie musiałby nawet zabijać gnoja. Niechby cierpiał.

Roześmiał się bezgłośnie, aż wszystkie duchy w jego głowie zareagowały zdziwione.

„Pierwszy raz tyle myślę o innych” – uświadomił im przyczynę nagłego rozbawienia. I rzeczywiście, zawsze stanowił dla siebie centrum świata, myślał tylko o sobie.

A teraz, niespodziewanie, poczuł bliskość z innymi i dziwną troskę o nich. Akurat wtedy, gdy skazał większość z nich na śmierć.

– No, zawracamy! – oznajmił Ojcu. – Wystarczy tego spacerowania.

Wrócili więc do kościoła, obmyli w nim stopy opętanym. Życzyli sobie dobrej nocy, pomodlili się raz jeszcze. Ojciec położył się spać, a Marek rozpruł nareszcie teczkę Szymona. Z boku, jak poradził mu Doktorek. Wcisnął dłoń w szczelinę wystarczająco szeroką, by zmieścić się w niej zeszyt. Przez chwilę czuł irracjonalny lęk, że zamiast kroniki trafi palcami na pułapkę na myszy, albo że w środku czyjaś zimna dłoń schwyci go nagle.

Nic z tych rzeczy. Znalazł. Wyciągał ostrożnie zeszyt, precyzyjnie go przez szparę. Odetchnął z ulgą. Odsunął teczkę. Aż drżał z niecierpliwości, by przeczytać kronikę! Wtedy zamarł.

Opętanym udało się jakoś wstać bezgłośnie, gdy skupiał się na włamaniu. Stali teraz zwrócenii do niego twarzami, patrząc i nie patrząc równocześnie. Milczeli. I w tej ciszy, jaka towarzyszyła im nawet wtedy, gdy mordowali, mocno rozbrzmiały kroki Ojca wędrującego pomiędzy nagimi ciałami, bezwolnymi, wyglądającymi, jakby okradziono je z duszy, a przecież zdolnymi w jednej chwili przemienić się w oszalałych morderców.

– Coś mi nie grało cały dzień – rzekł Ojciec. – Byłeś nieswój. Błądziłeś gdzieś myślami. Podczas spaceru przemyślałem wszystkie nasze dotychczasowe rozmowy. Zawiesiłem na moment idealizm. I wtedy narodziło się w mojej głowie pytanie. Za chwilę ci je zadam, a ty zważ dobrze odpowiedź.

„Mówiłem, trzeba było zabić wszystkich i spieprzać” –



jęknął Kruchy.

„Teraz się nagle przejmujesz?” – zakpił Doktorek.

„Jak kapuś zdechnie, to my z nim, mądrało. Lubię życie, a ty?”

– Wal – powiedział Marek.

– Czemu ty właściwie z nami jesteś, synu? Każdy ma coś, co go napędza. Ja, wiarę. Szymon, wiarę we mnie. A ty? Co napędza ciebie i czemu każe trzymać się z nami?

## Rozdział 12

Zawartość kroniki okazała się rozczarowująca. Nawet na twarzy Ojca odmalowało się zniechęcenie, gdy przerzucał stronę za stroną, czytając na głos: „W owym dniu rzekł Ojciec: »Azaliż wy, którzy ocaleliście, marzycie, by znów nurzać się w rozpuście nieumiarkowania? Czyż nie słyszeliście, jak mówiłem wam: Po to Pan zesłał ogień berserka, byśmy wyzwolili się ze wszystkiego, co spychało was w piekielne otchłanie pychy i odsuwało łaskę objawienia, które czerpie swą siłę z pokory i wyrzeczenia się pragnienia wszystkiego, co ziemskie? Otóż mówię wam: macie oczy, lecz nie widzicie, macie uszy, lecz zamykacie je na słowa, które wyzwolić by was mogły od grzechu, którym jest pożądanie więcej, niż możecie wysrać«”.

– Na rany Chrystusa, czy ja tak mówię? – jęknął. – Wiem, że ludzie widzą siebie samych inaczej, bo nasze mózgi okłamują nas za pomocą jakiegoś psychologicznego Photoshopa. Ale czy z dźwiękiem jest tak samo? Bredzimy, a wydaje nam się, że mówimy z sensem.

– Jak dla mnie gadasz jak człowiek. On to chciał napisać jak Pismo Święte. Wiesz, nowa Ewangelia według świętego Szymona.

– W takim razie powinien popracować nad ortografią –

westchnął Ojciec. – Gdybyś zobaczył, jak napisał słowo „pożądanie”.

Stał przy ołtarzu i czytał kronikę Szymona w świetle świecy.

– Po to naraziłeś nasze relacje? Zaryzykowałeś wyrzucenie z zakonu? Dla tej grafomanii? Co tu chciałeś znaleźć?

– Prawdę.

– To obawiam się, że solidnie przestreliliś. Ale jaką prawdę?

– Szymon ma wewnętrzną grupę oddaną tylko jemu, tak? Zebrali broń i ukryli ją. – „Tak trzymaj”, szeptał Doktorek, choć Ojciec nie mógł go usłyszeć. „Idź w tym kierunku. Mieszaj kłamstwa z prawdą. A najlepiej w ogóle nie kłam, tylko przemilczaj. I mów prawdę. Prawda jest najstraszniejszą bronią. Kto mówi prawdę, nie musi kombinować, nie zostanie przyłapany na nieściskościach. To przesłuchujący się gubią. O ile nie powiesz zbyt wiele”.

– Ty wierzysz w jego oddanie. Ale ja niekoniecznie. Ty nie chcesz podbijać świata przy pomocy armii berserków. Ale kto wie, co zamierza Szymon?

– I sądziłeś, że tu wyjawi swoje zamiary? – Ojciec uniósł kronikę. – Nie wiem, kogo nie doceniasz: jego, jeśli mówisz prawdę, czy mnie, jeśli kłamiesz. Któregoś z nas dwóch masz za idiotę.

– A czytałeś to kiedyś wcześniej? Pozwolił ci?

– Kiedy spytałem, powiedział coś w stylu, że Jezus nie redagował Ewangelii. – Ponownie westchnął. – Wtedy sądziłem, że żartował. Ale teraz... Chcesz jeszcze fragment? Masz: „Owego dnia Ojciec przyjął do siebie dwoje wiernych, w tym Marka dotkniętego znamieniem diabła, które nie pozwoliło mu przyjąć do serca łaski

Spowiedzi. I zapytali uczniowie: »Czemuż wpuszczasz wilka między owce, Ojcze?«. A on odpowiedział im: »Zaprawdę powiadam wam, oto i wilk może zrzucić swą grzeszną skórę, jeśli dobry człowiek ukaże mu światło. Czyż człowiek nie udomowił wilka i nie zmienił go w psa dzięki sile wiary i uporowi miłości? I zre pies z miski, którą daje mu człowiek, zamiast zagryzać zwierzęta. Oto tego właśnie Marka Pan zesłał nam na próbę i nadzieję«. Przysięgam, synu, jeśli kiedyś zacznę tak mówić, własnoręcznie się zastrzelę.

– Sam mówiłeś, że każdy potrzebuje się wyspowiadać. I do tego potrzebny ci jestem ja. Żebyś mógł zrzucić ciężar. Pomyślałem, że on to samo robi w pamiętniczku.

– Kronice. Nie kpij, proszę. Nie z tego. Kpienie z tego to grzech. Jak kopanie leżącego. Przysięgam ci, nie ma tu żadnych tajemnic, poza tajemnicą daremnych wierzeń Szymona w to, że posiada choć cień talentu literackiego. Ale to mała słabość wielkiego człowieka. Zresztą dam ci to przeczytać, sam zobaczysz. Pod warunkiem, że odpowiesz na kolejne pytania. Przyjmuję, że złamałeś zasady zakonu, żeby sprawdzić Szymona.

– Właściwie, Ojcze, nie złamałem żadnej.

– Och, doprawdy?

– Czy wszystko tu nie jest wspólne?

Ksiądz nie odpowiadał przez dłuższą chwilę. Potarł nos. Otworzył usta dwukrotnie, zamknął je.

– Tu mnie masz – przyznał wreszcie. – Ale sam czułeś, że coś jest nie w porządku, skoro dokonałeś tego włamania w tajemnicy przede mną. Co więcej, zniszczyłeś tę paskudną walizkę, co poniekąd można by uznać za czyn szlachetny wobec poczucia estetyki, ale niewątpliwie nie wobec Szymona. Jeszcze więcej ci powiem. Ta grafomania

to jakby list Szymona do Boga. A nawet tam, gdzie wszystko jest wspólne, należy szanować tajemnicę korespondencji. Niemniej masz mnie. Dobrze więc, druga sprawa. Czemu hodowałeś ten paznokieć Jadwidze? To znaczy, wiem po co. Żeby mieć dowód na to, że minęło więcej czasu, niż jej się zdaje. Ale czemu?

– Powinna wiedzieć.

– Bo prawda ją wyzwoli?

– A to nie po chrześcijańsku?

– Po chrześcijańsku byłoby, gdybyś zapaścił paznokieć wszystkim w intencji wyzwolenia. A ty wybrałeś tylko swoją babę. Proszę, nie zwódź mnie, bo i tak ci się to nie uda. Spychanie rozmowy na manowce sprawi tylko, że mnie zmęczysz, przestanę odbudowywać to nadwątlone zaufanie do ciebie i uprzejmie poproszę Jadzię, żeby cię zagryzła. Zaprawdę powiadam ci, jestem do tego zdolny. Czy otworzyłeś uszy na moje słowa?

– Uznałem, że powinna wiedzieć. Bo się... Ja i ona... Słuchaj, to pierwsza kobieta, nie licząc siostry, z jaką rozmawiałem od dziewięciu lat. Pierwsza, z którą spałem. Coś jest między nami.

– Zakochałeś się, tak?

– Nie wiem – burknął Marek ponuro, bo tak poradzili mu i Doktorek, i Kruchy, obaj posiadający większą wprawę w przesłuchaniach niż on. – Może i tak.

– Tym samym wracamy do mojego pierwszego pytania. Po coś z nami poszedł? Nie powiem, wierzysz w Boga, ale nie jesteś człowiekiem aż takiej wiary. Co cię nakreca w tym świecie pozbawionym sensu, a cuchnącym trupem? Miłość do Jadwigi?

„Uważaj...”

– Nie chcę być sam. Samotni zginą. A jeszcze parę dni

temu wydawaliście się całkiem przyjemną gromadą. Dopiero od trzech dni wiem, że prawie połowa trzyma sploty pod sutannami, a wszyscy zmieniają się na zawołanie w potwory i zagryzają niewiernych. Uwierzysz mi, gdy powiem, że przeżywam mały kryzys wartości i czuję się, jakbym stał na rozdrożu między piekłem a piekłem?

– Uwierzę – zdecydował Ojciec po chwili namysłu. – Trochę niepokoi mnie ta poetycka fraza, jakiej użyłeś, ale to pewnie przez czytanie tej... Ewangelii. Jezu, Panie nasz i Zbawicielu, wybacz nam, że tak to nazywamy. Myślę, że faktycznie cię zawiodłem. Nie pomyślałem, że to wszystko to zbyt wiele dla zwyczajnego człowieka. Rzeczywiście, na twoich oczach zmieniłem ci dziewczynę w potwora, kazałem zabić tamtych ludzi. A potem poznaliśmy trochę przykrą prawdę o Szymonie. No – zerknął na kronikę – dwie przykre prawdy. Muszę ci wyznać, że ta kronika niepokoi mnie bardziej niż sploty. Dobra! – klasnął, a opętani, dotąd stojący bez ruchu i nieodrywający martwych spojrzeń od Marka, drgnęli. – Za dużo się na ciebie zważyło. Masz rację. Zrobimy tak. Nadal wierzę, że Pan postawił mnie na twojej, a ciebie na mojej drodze. Wybaczam ci twoje... wahania i błędy. Ale od tej pory koniec z tajemnicami. To oznacza, że powiemy Szymonowi, co zrobiłeś. I obaj powiemy mu, że wiemy o broni. Niech się wypowiedzi.

– Czy koniec tajemnic oznacza także...

– Nie. Marku, powiedziałem ci to raz i powtarzam teraz. To nasz krzyż. Mój i twój. Nie ich. Uważasz, że Jadwiga powinna znać prawdę, bo ją kochasz. No to pomyśl, co robi z nią ta prawda. Niech to uczucie, przez które chciałeś ją zniszczyć, stanie się powodem, dla którego będziesz ją

chronił. Tak, przed prawdą. Zresztą jaką tam prawdą? Prawdą jest, że Jadźka to potwór, bo zabiła tamtych ludzi? Nie, synu, jedynym potworem tutaj jestem ja. Więc nie okłamuj jej tą swoją prawdą.

– Potworem? Nie: świętym?

– Świętość i groza zawsze idą pod rękę. Ludzie tracili zmysły na widok aniołów. Kiedy służysz Bogu naprawdę, robisz rzeczy, które świat może uznać za podłe. Czy Noe ratował sąsiadów z powodzi? Potęga pewności Bożej bywa straszna, synu. I każdy znany mi święty to równocześnie trochę potwór. Może zrozumiesz to, jeśli o nich trochę poczytasz.

– Czyli między nami okej?

Ojciec znów zwlekał chwilę z odpowiedzią. Nagle uśmiechnął się krzywo.

– Pokusa, by użyć cytatu z pewnego filmu, jest olbrzymia. Ale oprę się jej. Jak święty i potwór. Nie, między nami nie jest okej. Nie podoba mi się twoje działanie w ukryciu. Może miałeś najlepsze intencje, ale wiesz, jak to jest z intencjami i piekłem. Wierzę ci, bo chcę ci wierzyć i słyszałem szczerłość w twoim głosie. Odpowiadałeś szybko i bez zastanowienia, nie uciekałeś wzrokiem. Ale nie podoba mi się twoja słabość do pochopnych czynów i sądów. Więc pozostaniemy najlepszymi przyjaciółmi, jednak na wszelki wypadek jeden z naszych braci będzie cię miał na oku. Dla naszego wspólnego dobra.

Znów klasnęła i opętani położyli się spać. Wszyscy oprócz Szymona.

– Myślę, że pasujecie do siebie – oznajmił Ojciec. – Życzyłbym ci dobrej nocy, ale pewnie będziesz chciał to przeczytać – rzucił Markowi kronikę. – A po tym raczej nie grożą ci dobre sny. Więc po prostu: bywaj, do jutra. Bóg

z tobą.

Marek odprowadzał go wzrokiem, póki kapłan nie zniknął w mroku skrywającym drzwi do zakrystii. Dopiero wtedy odetchnął z ulgą. Chyba się udało.

„Pohamuj entuzjazm – głos Doktorka brzmiał kąśliwie. – Podoba mi się ten gość. Nie jest głupi”.

„Tym bardziej musisz go zabić!” – zawołali równocześnie Kruchy i siostra.

– Kiedy ja też właściwie go lubię – mruknął Marek. – Zabił jakichś ludzi. No i co z tego. Właściwie ich nie znałem, a oni nawet wodą nas nie poczęstowali, tylko kazali spieprzać.

„Ale on nie pozwoli ci zabić Szymona”.

– No nie. Nie pozwoli.

Zdjął świecę z ołtarza, zabrał ją na zewnątrz. Siedział prawie całą noc, czytając. Z czasem przywykł do obecności Szymona za plecami, stojącego tak blisko, że niemal mógł poczuć jego oddech na karku.

Ojciec miał rację. Lektura kroniki okazała się wyzwaniem. I nie było w niej nic, co mogłoby naprowadzić na trop pistoletów, zapowiadać rebelię w zakonie czy choćby mocarstwowe plany Szymona. Albo zakonnik nie odczuwał wyrzutów sumienia i pokusy podzielenia się swymi tajemnicami, albo naprawdę nie knuł nic przeciw Ojcu.

Co nie znaczy, że niczego nie dało się w kronice znaleźć. Jeśli wiedziało się, czego szukać.

„Bingo!” – Doktor ek aż gwizdnął. Niebo szarzało, róz muskał horyzont, a noc rzedła nawet na zachodzie, gdy Marek zamykał kronikę. Wstał, plecami do wschodzącego światła, twarzą do mroku opętanej mężczyzny, który nakazał zamordować albo nawet i sam zamordował mu



syna. Którego nigdy nie poznał i nie będzie miał okazji poznać.

– Teraz już rozumiem – szepnął Marek, patrząc prosto w jego twarz, martwą, jakby wykutą w kamieniu, w oczy, w których nie odbijały się nawet najmniejsze przebłyski duszy. – I teraz musicie zginąć. Ale dopiero gdy odzyskacie rozum. Żebyście wiedzieli. Żebyście czuli, jak umieracie.

Odwrócił się plecami do kościoła i na ostatnie godziny zdychającej nocy poszedł do mieszkania naprzeciw. Nie zwracał uwagi na drepczącego za nim potwora. Zwalił się na łóżko w sypialni jakiejś kobiety lubującej się w zdjęciach kotów i koni porozwieszanych na ścianach. Zdążył pomyśleć, że to dobre miejsce, bo okno wychodzi na ogród, a nie na ulicę. I ani on nie widzi stąd kościoła, ani kościół nie widzi jego. Ułamek sekundy później zasnął. I spał spokojnie pod spojrzeniem swego największego wroga, któremu poprzysiągł śmierć i który zrewanżowałby mu się identycznym ślubowaniem, gdyby poznał prawdę; spał jak dziecko, jak wolne od grzechu przynoszącego koszmary wcielenie niewinności, póki nie obudził go dzwon wzywający na jutrznię.

Za trzy dni mieli wyruszyć w dalszą drogę.

## Rozdział 13

Opętani stali w kręgu, już ubrani, tak samo jak tego wieczoru, gdy wyruszali na łów. Po kąpielach w słonej wodzie, zmiękczeniu hektolitrami płynów opracowanych przez wybitne umysły w innych czasach, po kilkukrotnym praniu stroje wyglądały prawie dobrze. Pachnące świeżością potwory i tak nie zobaczyłyby ich od razu pod śnieżnobiałymi habitami. Stały po swojemu, jak skamieniałe, póki Ojciec nie zrobił swojego hokus-pokus i wszystkie oczy rozbłysły żywiej. Kilka osób zachwiało się na nogach. Ktoś jęknął. Jadźka potarła czoło.

– Jezu! – szepnęła. – Zasnęłam?

– Jakie to ma znaczenie. Po mszy zaprowadzę cię do łóżka i się wyśpisz.

Przetrzymali jakoś wyjątkowo krótkie wieczorne nabożeństwo. Nie minęło piętnaście minut i już pochylali w kościele głowy do błogosławieństwa. Przyklękli, przeżegnali się. Ruszyli ku wyjściu.

– Marku – zawołał Ojciec. – Pozwól ze mną na chwilę do zakrystii.

„Teraz cię zabiją – jęknął Kruchy. – Trzeba było spieszyć”.

– Zaraz do ciebie przyjdę. – Pocałował Jadźkę w policzek.

Zaskoczył ją tym gestem. Oczy jej się rozszerzyły. Chciała coś powiedzieć, ale powstrzymał ją. – Poczekaj na mnie przed kościołem. Zaprowadzę cię do domu, który wybrałem. Uśmiejesz się, zobaczysz. Sypialnia jest w koty i konie.

„Zabiją cię, zabiją, zabiją!” – krzyczał w nim Kruchy, gdy wstępował w ciemność zakrystii. Nie rozświetlała jej żadna świeca.

– Zdecydowałem jeszcze nic nie mówić Szymonowi – oznajmił Ojciec. – Trochę wbrew własnym przekonaniom i sumieniu.

– Wpadłem na to, gdy pomogłeś mi zaszyć dziurę w teczce.

– Dziękuj Panu, że cię postawił na mojej drodze! Przy twoim talencie do szycia Szymon rozpoznałby różnicę nawet w ciemnościach! Na rany naszego Pana! Twoje szwy aż wołały: „Popatrz na nas! Jesteśmy podrobione! Zszywał nas bawół śrubokrętem!”.

– Bardzo śmieszne.

– No, trochę zabawne. Właściwie mam ochotę włamać się jeszcze raz. Tylko po to, żeby dopisać tę scenę do Ewangelii.

Marek przysięgłby, że tamten mrugnął do niego. Trudno jednak było ocenić to w ciemnościach.

– Zdecydowałem nic mu na razie nie mówić, bo trochę trudno byłoby wytłumaczyć, skąd właściwie wzięliśmy czas na przetrząsanie bagaży i czytanie tej kroniki, skoro minęło ledwie parę sekund od ostatniej chwili, którą pamiętają.

– Więc żeby ujawnić, że znasz ich tajemnicę, musiałbyś zdradzić własną.

– Niefortunne, prawda? Zdałem sobie z tego sprawę

podczas mszy. Pan mnie oświecił. Ale to niczego nie zmienia, synu. Znajdę czas i sposobność. Porozmawiamy z Szymonem i wyjaśnimy sobie to i owo.

– Ciekawe, jak to opisze?

– Pewnie przy użyciu wielu „zaprawdę powiadam wam”.

– Owego wieczoru Ojciec przysiadł przy mnie, a troska malowała się na jego świętym obliczu. „Zaprawdę powiadam ci – rzekł. – Serca dobrych ludzi biją z siłą zdolną przeciwstawiać się złu, ale czasem trochę w tym, kurwa, przesadzają”.

– No, no! Bez takiego słownictwa w kościele! – napomniał go Ojciec, gdy już przestali się razem śmiać.

Przez chwilę Marek pomyślał, że mógłby to tak zostawić. Żyć się z tą społecznością. Przymknąć oko na ich morderczy szał, na fanatyzm tego sympatycznego, inteligentnego i w jakiś sposób pełnego dobrych chęci człowieka oraz na zbrodnicze skłonności Szymona, starającego się tylko upraszczać życie facetowi, którego uważał za świętego. Obaj ukrywali przed sobą nawzajem potworności, jakich się dopuszczali w fałszywie pojętej trosce. To wyglądało prawie jak ta miłość opisana w opowiadaniu, które Marek musiał zakuwać w podstawówce. O dwojgu oszukujących się ludziach, w tajemnicy przesywających kamizelkę, żeby ukryć smutną prawdę jedno przed drugim. Ironia. Dałoby się żyć z nimi jakoś i nawet czerpać zyski z tej całej pielgrzymki. Gdyby odpowiednio się zakręcił, Marek stałby się trzecim wierzchołkiem zarządzającego zakonem trójkąta. To takie proste, takie kuszące.

Jak wszystko, co niemożliwe.

– Jadźka na mnie czeka, Ojczy.

– Idź, idź! Nie widzieliście się od tygodnia, nie? –

Machnięcie ręką było bardzo energiczne. Prawie nie sposób było sobie wyobrazić, że ten człowiek jutro będzie twardniejącą skorupą, usychającym od upływu krwi ciałem pozbawionym ducha.

„A wszystko przez dzieciaka, którego nie znasz” – mruknął posępnie Doktorek.

„Każdego coś nakręca. Jego – wiara. Was – moje szaleństwo. Mnie pragnienie, żeby ktoś wreszcie choć raz zapłacił za to, co mi zrobił”.

„Cały świat ci zapłacił. Twoja eks, ograniczony psychiatra, gliniarze i ten sąsiad, wszyscy już nie żyją”.

„Jakoś tego nie czuję”.

„No tak, ty wyznajesz zasadę, że »najważniejsze w życiu jest stanąć twarzą w twarz ze swym największym wrogiem, ujrzeć jego krew wsiąkającą w ziemię i usłyszeć lament jego kobiety«”.

„Co to za pieprzenie? Kobieta Szymona nie będzie lamentować. Też zginie”.

„Zapomniałem, że nie lubisz kina. To z *Conana Barbarzyńcy*, czyli coś jakby o tobie”.

– Słyszałaś o Conanie Barbarzyńcy? – zapytał Jadźkę, obejmując ją i prowadząc do domu naprzeciwko kościoła.

– Wielki facet z mieczem. Czemu pytasz?

– Ktoś wspomniał kiedyś, że go przypominam.

– Pewnie jakaś laska, co?

– Lekarz.

– No to pewnie gej.

Roześmiali się oboje. Tak rozbawiła ich ta chwila w ciemnościach, gdy wszystkie inne pary rozchodziły się po swoich, wybranych na tę jedną noc, domach, że śmiali się jeszcze, gdy wchodzili do sypialni na piętrze, z oknem wychodzącym na ogród a nie ulicę. Tam Jadźka nie

zdążyła stłumić pierwszego wybuchu śmiechu, a już wezbrał w niej nowy, bo Marek zapalił latarkę, by oświetlić ścianę w koty i konie. I śmiała się, śmiała, aż nagle zamarła i śmiech uwiązał jej w gardle. Ręce opadły jej wzdłuż boków.

– To Smuga – Marek przedstawił jej chłopca siedzącego na brzegu łóżka. Mrużył oczy, bo oślepiało go światło latarki, które omiotło go między tymi kotami i końmi, końmi i kotami, pomknęło dalej, powróciło. – Usiądź, kochanie. Musisz wysłuchać pewnej historii.

– Zapal świecę – poprosił chłopiec. – Ta latarka mnie razi.

– W porządku – powiedział, ale najpierw podprowadził osłupiałą Jadźkę do łóżka, pomógł jej usiąść.

– Kto to jest? – zapytała słabo.

– Smuga.

– Dziecko! Skąd tutaj dziecko?

– Posłuchasz go, a się dowiesz. Przepraszam cię za to, co usłyszysz. Strasznie cię przepraszam. Ale to jedyny sposób.

W świetle świecy obserwował, jak zmieniała się jej twarz pod wpływem opowieści. Smuga mówił spokojnie, rzeczowo, jak policjant zdający relację podczas wizji lokalnej. Gdy jęknęła głucho, jakby szloch wezbrał w jej piersi i wyrwał się na wolność w tym jednym jęku, przerwał. Gestem dłoni, strasznym i pięknym jednocześnie, przypominającym przerażone trzepotanie, dała mu znać, by kontynuował. Ale patrzyła przy tym na Marka.

„Straciłeś ją – uznał Doktorek. – Klecha miał rację”.

„Pieprzenie! – odpowiedział za Marka Kruchy. – Co on tam wie, prawiczek. Konia pewnie tylko wali i tylko z koniem umie gadać. A to jest taka kobieta, której oczy

trzeba otworzyć. Ona by mu nie wybaczyła, gdyby jej nie powiedział”.

„Nie miałyby czego wybaczać, gdyby nie wiedziała”.

„Cicho! – upomniał ich Marek. – Słucham!”

Kiedy Smuga wyczerpał pokłady słów, Jadźka wyciągnęła ku niemu rękę, by go objąć, ale cofnęła się. Dopiero wtedy się rozpląkała. Chłopiec spojrzał przestraszony na mężczyznę, a ten odpowiedział mu równie spłoszonym spojrzeniem. Obaj mieli podobne pojęcie, jak radzić sobie z kobiecymi łzami.

– Teraz ja – spróbował Marek. – Teraz czas na moją historię.

Uspokoila się natychmiast. Otarła łzy. Skinęła głową. Zerknęła jeszcze na chłopca, lecz on tego nie zobaczył. Wpatrywał się tylko w Marka. I teraz jego oczy ogromniały, a spojrzenie robiło się coraz smutniejsze. A kiedy i Marek dotarł do końca, nagle siedzieli wszyscy jakoś bliżej siebie, choć nie przesunęli się ani o milimetr.

– Ale dlaczego? – zapytała szeptem. – Boże drogi, pamiętam ten smród! Mówiłam ci o tym! Pamiętasz? Mówiłam ci, że tam wyjątkowo cuchnie! Dlaczego on zabił te wszystkie dzieci?

– On. Damian. Krystyna. Krzywy. Sylwia.

– Adam z Grażyną nie brali w tym udziału.

– Nie, oni nie – zgodził się. – Mam nadzieję, że przeżyją.

– Zabijali – przypomniał Smuga. – Zabili moją rodzinę.

– Nie oni – pokręcił głową Marek. – Ojciec. Odebrał im wolę. Użył ich, jak ty używasz noża. Szukasz kary dla noża?

Po minie chłopca poznał, że niepotrzebnie tracił czas. Cóż, na jego miejscu pewnie myślałby podobnie.

– Szymon, Damian, Krystyna, Krzywy, Sylwia –

powtórzył. – Muszą zginąć. I Ojciec też. Przykro mi, Jadźka. Nie może przeżyć z tą mocą.

– Nie przeżyje – powtórzył twardo Smuga.

Jadźka patrzyła to na jednego, to na drugiego. Wreszcie skinęła głową.

– Ale dlaczego? – powtórzyła.

Także Smuga spojrział na Marka z oczekiwaniem. To Darek wymyślił, żeby przysłać go tu na rozmowę z Jadźką. Żaden z nich nie miał na to ochoty. Marek, bo nie ufał obcemu gówniarzowi. Dzieci były jego zdaniem nieobliczalne. Trudniej było nad nimi zapanować niż nad kobietami. Smuga natomiast nie chciał mieć nic wspólnego z człowiekiem z pielgrzymki, niechby i sojusznikiem. Gdyby mógł postawić na swoim, zabiłby wszystkich ludzi w habitach. Tych w białych i tego w czarnym. Darek jednak uparł się, a kiedy wysłuchali tej nocy nawzajem swoich opowieści, zrozumieli, że miał rację. Pojmowali jednak i to, że następnego dnia krew może popłynąć między nimi.

– Gryzłem się tym – przyznał Marek. – Ale to straciło znaczenie, gdy zrozumiałem.

– Niech więc i dla nas straci – poprosiła.

– Nie wiem, czy umiem ci to wyjaśnić. – Sięgnął do kieszeni spodni, wyjął z niej niedbale złożoną kartkę. – Przepisałem to z jego Ewangelii. Przeczytaj, a ja odprowadzę młodego.

– Czy ona wie? – zapytał Smuga, gdy już wyszli na zewnątrz.

– Co wie?

– Czy rozumie?

– Myślę, że tak. – Marek obejrzał się na okno. Wnętrze sypialni migotało pomarańczowo od błysków świecy.



I w tym pomarańczowym świetle Marta czytała Ewangelię według świętego Szymona.

„Owego dnia Ojciec poprowadził mnie pod mury klasztoru, gdzie modliliśmy się w ciszy o świcie. Lecz szatan czuwał. I sprowadził ku nam dzieci, by szydziły z nas z wysokości murów. I kazały odejść precz, jak ongiś Żydzi odpędzali Zbawiciela. I ciskały w nas kamieniami, groziły i złorzeczyły nam, lecz my trwaliśmy zatopieni w modlitwie, ufni w moc Pana. A nasza pokora wzbudzała gniew w dzieciach. Zapamiętałe w chęci uczynienia nam krzywdy trafiły wreszcie Ojca w policzek. Połała się krew czysta, święta w ofierze, jaką tego dnia uczynił. Porwałem się go ratować i odciągałem go poza zasięg kamieni, a on błogosławił swym katom.

I znów klęczeliśmy, modląc się za wrogów naszych i dziękując Bogu za ocalenie. Aż Ojciec wstał i rzekł, że już czas. »Wrócimy tu jutro ze słowem Bożym« – oznajmił. A gdy szliśmy przez miasto, zebrałem się na odwagę zesłaną mi przez Ducha Świętego i zapytałem, skąd tyle goryczy i nienawiści w dzieciach. »Zaiste – odpowiedział Ojciec z boleścią – zaprawdę powiadam ci, że ci, którzy są bez grzechu, nie zostali oczyszczeni. Oto berserk nie miał dostępu do ich serc i nie przemienił ich, jak przemienił nas, którzyśmy grzeszyli i mordowali, którzyśmy przez ogień upodlenia przeszli. I tak ci, którzy nie zawinili, niosą w sobie grzechy upadłego świata, bo oni jeszcze wierzyć mogą, że warto ten świat zachować. W nich kwitnie pycha, z której nas Pan w dobroci swojej uleczył. Spójrz, czyż nie razili w nas kamieniami? Ogień berserka wyrwał z nas przemoc, choć łaska spowiedzi przyniosła nam wyzwolenie. Dla nich, dzieci starego świata, przemoc stanowi oczywistą odpowiedź. A ja nie mogę ich wypowiadać, bo niedotknięte

zostały berserkiem. Oto wyzwanie, jakie postawił przed nami Pan; oto krzyż, jaki musimy unieść».

A gdy wróciliśmy nazajutrz pod mury, dzieci już w klasztorze nie było. Oto jak zwycięża siła wiary”.

– Czy ona rozumie? – powtórzył Smuga.

– Oby nie – szepnął Marek. – Niestety jest niegłupia, więc rozumie. Może się uda, jeśli załatwicie to szybko. Może nie zdąży ich przemienić. I jej.

– Ulka dobrze strzela. I Darek miał czas sprowadzić posiłki.

– Kogo?

– Nie wiem. Ale podobno są straszni.

– Oby równie straszni jak my.

Dzieciak nie odpowiedział. Odbiegł niemal bezgłośnie i rozpląnął się w ciemności. Marek wpatrywał się w nią długo, aż zaczęły go boleć oczy. Wtedy wrócił do sypialni, w której wciąż migotała świeca.

– Rozumiesz? – zapytał.

– Rozumiem – odpowiedziała Jadzka. Siedziała na łóżku po turecku. Kartkę z fragmentem kroniki położyła na złożonych nogach. – Sama już nie wiem, kto jest winny, a kto niewinny. Czy nie wystarczy tego zabijania?

– Mamy paść sobie w ramiona i błagać o przebaczenie?

– Wszyscy jesteśmy mordercami, prawda?

– Smuga nie jest. I mój syn też nie był.

– Kurwa.

– Właśnie tak, kochanie.

Zabrał jej kartkę papieru, zmiął ją i cisnął na ziemię. Już nie miała znaczenia.

– On nie wiedział. – Słowa brzmiały jak skomlenie. – Ojciec nie wiedział, kiedy mówił do Szymona o dzieciach. Nie wiedział, że on to tak zrozumie.

- Wiedział, co robi, budząc w tobie berserk.
  - Ty tak zawsze? Nie mówisz: „zabili dzieci”, tylko: „zabili mi syna”. Nie: „zmienił ludzi w berserki”, tylko: „zmienił ciebie”. Inni cię nie obchodzą, prawda?
  - Nie troszczę się o cały świat, tylko o bliskich.
  - I co? To ma być dobre?
  - Ojciec troszczy się o cały świat. I co z tego wyszło?
  - Kurwa.
  - Położmy się już, co? Jutro czeka nas ciężkich parę minut. Może kilkanaście.
  - Mówisz, jakby to było nic. Chwila, po której świat się nie zmieni.
  - Zmieni się. To będzie jak oddarcie plastra. Chwila bólu i spokój. Chodź do mnie.
  - Myślisz, że dadzą radę?
  - Podobno sprowadzili jakieś posiłki. Straszne. Chodź do mnie. Chodź.
- Nie powiedziała już ani słowa. Zasnął wtulony w nią i znów spał spokojnym, pozbawionym snów snem przynoszącym ulgę. Spał mocno, jakby świat nie niósł żadnych zagrożeń, a noc nie była pełna potworów.
- Nie powinien był tego robić.

## Rozdział 14

Bo kiedy się obudził, nie było jej przy nim.

Przyszli za to inni. Spętali go tak, że niemal nie mógł się ruszać. Wywlekli go, a gdy potknął się o uniesiony róg dywanu, po prostu zwlekli go po schodach. Nic ich nie obchodziło, że się poobijał. Adam wyglądał nawet na zadowolonego.

Cisnęli go pod nogi Ojca.

– A jednak kłamałeś. – Kapłan pokręcił głową, szczerze zatroskany.

– A ty nie?

– Wiodłeś nas na zgubę.

– A ty nie?

– To nudne! – Damian kopnął go w bok. Przyłożył się. Pękło żebro albo dwa. Marek stęknął.

– Ilu ich jest? – zapytał Szymon. – Gdzie czekają?

Marek nie odpowiedział. Poszukał wzrokiem Jadźki. Znalazł. Stała, zapłakana, wtulona w Grażynę.

– Nie rozumiesz – mówiła głucho. – Nie zaznałeś spowiedzi. Ty byś chciał zabijać. Po co?

– Zapytaj Szymona. Czy o tym nie doniosłaś Ojcu?

Po minach Ojca i Szymona poznał, że nie ukrywała nic, kiedy donosiła na niego, gdy spał. Ciekawe, kiedy pobiegła

ostrzec tamtych? Ledwie zasnął czy tuż przed świtem?

– Wybaczam ci, bo nie wiesz, co czynisz – zakpił.

Postawili go na nogi, by mógł patrzeć Ojcu prosto w twarz.

– Przepraszam za twojego syna – powiedział kapłan. – Za wszystkie te dzieci. Gdybym wiedział... Szymon...

– Wyświadczył ci przysługę. Nie umiałbyś spowiadać dzieci, prawda? Gdy dorosną, staną się dla ciebie poważnym problemem.

Ojciec zbladł. Cofnął się, jakby Marek go uderzył.

– Nigdy bym...

– Wiem, że nie. I to jest najlepsze. Ty nie wiedziałeś, co mówisz i jak on to rozumie. A on nie wiedział, czym jest spowiedź i że naprawdę usuwa ci najgroźniejszych przeciwników z drogi. Obaj nic nie rozumieście. Ironia, tak?

– Na szczęście teraz już wszystko wiemy! – wtrącił się Szymon. Zamachał Markowi pistoletem przed nosem. – Już się nie ukrywamy. Ojciec wie o mojej broni, ja wiem o broni Ojca. Ty nie jesteś już do niczego potrzebny.

– Wybaczymy ci, bo jesteś ślepcem, błędzisz – oświadczył Ojciec. – Wypuścimy cię.

– Ty mnie wypuścisz, on mnie zabije. I może nawet ci o tym powie.

– Nie. Obiecałem Jadwidze. Obaj obiecaliśmy. Tylko powiedz, ilu ich jest. Jaki jest plan?

Marek zerknął na Jadźkę. Pokiwała energicznie głową. Ojciec pewnie nie kłamał. Szymon... To trochę inna sprawa. Ale Ojciec mógłby trzymać go za kark. Teraz, gdy już powiedzieli sobie wszystko.

„Krew z krwi!” – przypomniała siostra.

„Liczy się, żebyś przeżył – nie zgodził się Doktor. –

Zdradzisz jednych, zdradzisz drugich. Nie zdradzisz siebie. To jedyna zasada”.

Kruchy przytakiwał ochoczo.

Właściwie mieli rację. Liczy się tylko życie. Nie ideały i sojusze. Przetrawanie.

Otwierał usta, by negocjować, kiedy Olga wydała przeciągły okrzyk i wszystko się zmieniło. Już nikt nie patrzył na Marka. Wszyscy gapili się na wylot ulicy w kierunku od Krakowa. Markowi udało się tam spojrzeć i sam oniemiał. „Posiłki – powiedział Smuga. – Są straszni”.

Nie byli straszni. Raczej śmieszni. Jakiś facet w długim czarnym płaszczu, którego poły unosiły się na wietrze, w kapeluszu o szerokim rondzie, czarniejszym od serc potworów, i z rewolwerami przy pasie. Pieprzony kowboj. Po jego prawej szła drobna laska, dziwnie przekrzywiając głowę. Po lewej jakiś facet, chyba bezbronny. Pytanie, czy nie uznać za broń tego badyła z białą szmatą, który przerzucił przez ramię. Zwyczajny nikt, zdaniem Marka. Z jego postawy łatwo dało się wyczytać, że facet się bał.

I jeszcze dziewczynka. Nastolatka. Ta przynajmniej trzymała siekiere w ręce.

– Tych nie znam – na wszelki wypadek spróbował Marek. Może jakoś zapunktuje.

Ojciec pozwolił im podejść bliżej. Na jakieś dziesięć kroków. Długo stali naprzeciwko siebie. Czwórka klaunów i pielgrzymka. Czarna Madonna uniesiona na swojej lektyce przyglądała się temu spotkaniu, mrużąc oczy. Słońce miała za plecami.

– Motocykliści obstawili wyjazdy – odezwał się wreszcie facet, ten nieuzbrojony. Taki nikt. Głos drżał mu nieco ze zdenerwowania. – Z obu stron. Oto nasza propozycja. Ci,

którzy zabili dzieci, nie mają przyszłości. Ten kapłan...

– On łśni! – przerwała mu kobieta. Sięgnęła prawą ręką za plecy. – Och, jak on łśni! Ten związany też. Ale ten kapłan... Och, jak łśni!

Nikt przełknął ślinę. Zadrżał. Obejrzał się na typa w kapeluszu. Ten pokręcił głową. Powoli, lekko, prawie niezauważalnie.

– Kapłan nie ma przyszłości – dokończył nikt. – Reszta może odejść. Możecie nawet ganiać po Polsce z Matką Boską. Nie obchodzi nas to. Możecie być wolni i żywi. Uwierzcie, niełatwo było nam negocjować to wasze życie. Ale możecie je zachować.

Któryś z pielgrzymów roześmiał się kpiąco. Szymon uciszył go syknięciem.

– My ze swej strony ofiarujemy wam łaskę nawrócenia – oznajmił spokojnie Ojciec. – Wypowiadam was. Nikt nie musi ginąć. Nie pragniemy zabijania.

– Słyszałem o tej spowiedzi – odezwał się kowboj. – Podziękuję.

– Podtrzymujemy naszą propozycję. – Nikt denerwował się coraz bardziej. Kobieta obok niego oblizwała wargi. Jakby łakomie. „Szajbuska” – ocenił Marek. Ale poczuł do niej szacunek, gdy wyjęła zza pleców niewielką, zgrabną siekierkę. Dostrzegł karby wycinane na jej rączce i uśmiechnął się mimowolnie. Może nie byli takimi zupełnymi amatorami. Choć szaleni byli z pewnością. Mógłby ich polubić.

„Umrzecie – pomyślał. – I ty, całkiem niezła lasko z siekierką, i ty, dziwaku w kowbojskim kapeluszu, i ty, kolesiu wyglądający, jakbyś wszystkie szanse na lepsze życie przepuścił w pokera w pierwszym dniu po urodzeniu. I nawet ty, mała, umrzesz, choć twoje prawdziwe życie

powinno dopiero się zaczynać. Bo tego życzy sobie nasz Pan”.

– Jaśniej! – zawołała kobieta. – Wszyscy lśnią! A ten ksiądz...

Krzyknęła i osunęła się na kolana, gdy spoczęło na niej spojrzenie proroka.

– Kurwa! – wrzasnął Marek z całych sił, widząc, jak pielgrzymi chwytają się za ręce. – Robi to! Robi! Robi to!

Ktoś uderzył go w głowę kolbą pistoletu. Pociemniało mu w oczach, gdy osuwał się na kolana.

Robi to! Zareagujcie, do cholery!

Dźwięk karabinowego wystrzału. Czysty, piękny, przecinający wszelkie odgłosy, sprowadzający na świat tę wyjątkową ciszę, w której wszystko zamienia się w napięcie, niepewność tego, co zaraz się stanie. To trwa tylko sekundę. Może nawet jej ułamek. Potem...

Krew, odłamki kości, kawałki tkanki trysnęły na twarz Marka. Prawie krzyczał ze szczęścia. Niech Bóg błogosławi Ulkę! Trafiła! Trafiła go!

Możliwe, że będzie mu go brakowało. Nie znał kogoś z równie dobrą nawijką jak Ojciec. Trafiali się może lepsi mówcy, sprytniejsi mistrzowie dyskusji, ale on mówił szczerze.

Spróbował wstać. Udało mu się. I jęknął.

To nie Ojciec upadał z roztrzaskaną głową. To nie jego prawie bezgłowy korpus runął na ulicę. To ten cholerny Szymon musiał skoczyć w ostatniej chwili, zasłonić swojego świętego. I zdechł. Zdechł w jednej sekundzie. Dwie klęski, jakie Ulka przyniosła jednym strzałem. Marek zawył z wściekłości. Już nie zabije tego gnoja!

Za to pielgrzymi zabiją tamtych. Bo Ojciec nie potrzebował wiele czasu. Przymknął oczy, dotknął kręgu



wiernych, a tamci przemienili się w sekundę. Mordercy z pistoletami zapomnieli, jak używać broni. Nie musieli pamiętać. Runęli na czwórkę szaleńców w ciszy berserka. Milczący, wściekli, szybcy i silni. Nieubłagani.

Kowboj wyszarpnął rewolwery. Boże, jak szybko strzelał! Trzy kule trafiły Damiana jakby równocześnie: w pierś, ramię i głowę. Marek wrzasnął. To drugi z jego listy. Zaraz potem zginęła Anka, cztery kule w środek czoła. Jak to możliwe? Nikt nie strzelał tak szybko!

Wtedy dostrzegł ludzi wychodzących spomiędzy domów. Wyglądali jak żołnierze, w mundurach i maskach przeciwwgazowych na twarzach. Po co im te maski? Przypomniał sobie, co mówił Darek o potworach z Krakowa, ukrywających twarze dla podkreślenia grozy. A więc stamtąd ściągnęli te posiłki. Maski, każda uzbrojona w automat, zalały pielgrzymów ołowiem. Marek rzucił się z powrotem na ziemię. Kule nie wybierają.

Być może pielgrzymka przegra, być może zmasakrują ją, ale ta czwórka parlamentarzystów, ci szaleńcy godni szacunku, byli straceni. Podeszli zbyt blisko. I oto Mikołaj już prawie dopadał kowboja. Kule wgryzły się w jego pierś, odrzuciły go do tyłu. Ale wstał, bo berserk pozwalał zapomnieć o bólu, a nawet oszukać na chwilę śmierć. Ponieważ zmarudził, wyprzedziły go Aneta z Bożeną. Adam, niech szlag trafi tego opętanego głupca, deptał im po piętach.

Wtedy wrzask wstrząsnął okolicą. Ten bezbronny (nie licząc białej flagi) facet, ten nikt zaryczał. Dziwnie, nieludzko. Jak prehistoryczny potwór, wielki drapieżny jaszczur, jakiego Marek nigdy nie chciałby spotkać na swojej drodze. Skoczył na biegnących nie jak człowiek, lecz jak żywiol. Roztrącił ich niczym dzieci, a nie potwory

ogarnięte berserkiem. Wbił pięść między zębra Mikołaja, wyrwał mu serce i cisnął je mężczyźnie w twarz.

Marek przestał choćby próbować zrozumieć, co tu się działo. Pojął jedno: jego zemsta właśnie straciła możliwość realizacji. Nie zdoła zabić nikogo. Leżał związany jak baleron, podczas gdy armia w maskach i ta dziwna czwórka robili miazgę z pielgrzymki.

– Coś ty narobił? – Ojciec pochylił się nad nim. W dłoni ścisnął porzucony pistolet. – Kim są te bestie? Z jakim szatanem się zadałeś?

– Bestie! – Marek roześmiał mu się w twarz. Pociski magicznym sposobem omijały kapłana. Kilka poszarpało mu sutannę, to wszystko. Śmigwały naokoło niego, trafiały jego braci i siostry w milczeniu stawiających czoła śmierci, odmawiających pogodzenia się z umieraniem. – Ty mówisz o bestiach!

– Bóg ci wybaczy, ja nie mogę. Ściągnąłeś na ziemię zagładę. – Ojciec płakał. Przytknął lufę do czoła Marka, jakby bał się, że spudłuje. Odbezpieczył. – Przeklinam cię, diable, przeklinam cię, szatanie. W imię Boga, w imię Pana naszego...

Urwał. Zacharczał. Pochylił się nad Markiem, naciskając bronią coraz mocniej i mocniej. Lufa przejechała po czole związanego, złościąc w nim krwawą bruzdę. A Ojciec upadł na twarz, plecami do nieba. Sterczała mu z nich strzała: długa, smukła. Piękna.

I nagle było po wszystkim. Ucichła kanonada, tylko pojedyncze strzały rozlegały się jeszcze, ale i one dogasały. Ktoś podniósł Marka, zaczął przecinać mu więzy. Darek.

– Musieliśmy improwizować, gdy cię złapali – sapał. – Kurde, nie wiedzieliśmy, co robić. Kapitan wymyślił numer z negocjacjami. Żebyśmy zdążyli ich otoczyć.

– Kapitan?

– Facet w kapeluszu. O kurde, chłopie, nie patrz tam.

Oczywiście Marek spojrział. Ta fajna drobna laska siedziała nad trupem Ojca. Rozwaliła mu czaszkę siekierą, by dostać się do jego mózgu.

– No, są trochę dziwni – przyznał Darek.

– Jadźka?

– Uciekła z taką jedną. Tam – machnął ręką w kierunku lasu. – Nie strzelaliśmy za nimi. Zgodnie z obietnicą.

– Dziękuję.

Rozcierał dłonie obolałe od więzów. Schylił się po broń upuszczoną przez Ojca. Zastanawiał się, czy brać któryś z plecaków. Chyba warto. Przyda mu się nóż, siekiera, no i trochę zapasów.

– Hej, co robisz, chłopie? – zdziwił się Darek.

– Potem pogadamy – rzucił przez ramię Marek. – Kiedyś.

Już biegł. Na razie powoli, niezgrabnie. Minął Smugę, skinął mu głowę, a chłopak zasalutował jak żołnierz. Zawołał coś, ale Marek nie zrozumiał słów.

„Moglibyśmy trochę odpocząć” – zasugerował Doktorek.

Marek zignorował go.

„Ona jest w berserku – przypomniał Kruchy. – A klecha zdechł. Może się już nie obudzić”.

Jego też zignorował. I jeszcze nowy głos, który mieszał się w jego głowie z tamtymi. Mówiący, że teraz rozumie już cały Boży zamiar. Marek pomyślał, że powinien się tym przejąć. Może kiedyś. Gdy znajdzie na to czas.

Biegł. Złapał swój plecak. Ten z podstawowym sprzętem. Wcisnął do niego pistolet. Przyspieszał. Wpadł pędem do lasu. Jeszcze ich nie widział. Nieważne. Kiedyś zobaczy.

Biegł. Zemsta nie wyszła, trudno. Niech ten dzieciak, Patryk, spoczywa w spokoju. Może kiedyś się za niego

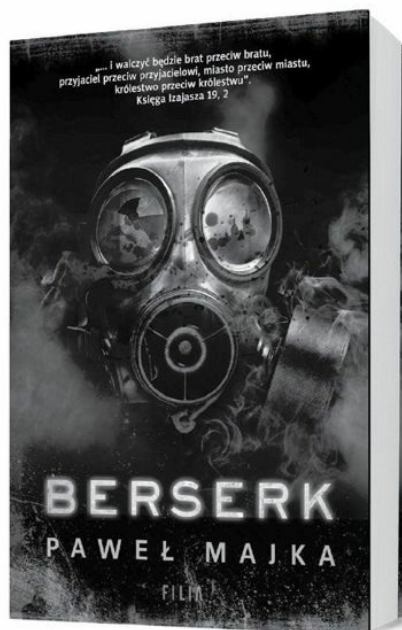
pomodli. Może to nawet będzie lepsze od pozabijania tamtych gnoi.

Teraz skupił się na biegu. Wyrównał oddech. Zgrał go z biegiem.

Ma nowy cel, by żyć, nową rzeczą, która go nakręci. Znajdzie Jadzkę. I jakoś obudzi.

Biegł.

- 1) Mk 6,11. [↩](#)
- 2) Rdz 3,19. [↩](#)
- 3) Mk, 1,17. [↩](#)



Poprzednia część serii.

**FILIA**



**Staliśmy się nieśmiertelni,  
czego więc powinniśmy się bać?**

**FILIA**